

Kod dostępu
do **Wyborcza.pl**
na weekend

WOLNA
SOBOTA

• Garton Ash. List miłosny do Europy • Za dużo mówimy o zdrowiu psychicznym • Ile można wydać na leczenie psa? • Głupie blondynki, pazerni Żydzi.



**WYSOKIE
OBCASY**
Paulina Przybysz.
Obywatelka
wszechświata

GAZETA

wyborcza

NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

Przegrywamy

MÓWI MUSTAFA SULEYMAN,
GŁÓWNY SPECJALISTA OD SZTUCZNEJ INTELIGENCJI W MICROSOFCIE

• Ilustrację sporządził program Copilot. Sztuczna Inteligencja nie poradziła sobie z szachownicą, więc może jest dla nas nadzieja

FOT. JAKUB PIOTROWSKI/COPILLOT

wydaje Agora SA
nr indeksu 348198

ISSN 0860-908X
9 770860 908167

23>

Wojna plemienna
Indianie kłócą się
o pamiątki
po przodkach



**Nie używajmy słowa
„wyklęci”**
Świetna książka o
powojennej partyzantce

Pogoda dla generałów
Alianci mogli lądować
w Normandii
6 czerwca

Agnieszka
Kublik

Jak obrona wolności słowa stała się karykaturą

Instytucje nadzorujące i kontrolujące media publiczne są w głębokim kryzysie. Najgłębszym w swojej historii. Otóż Rada Mediów Narodowych i Krajowa Rada Radiofonii i Telewizji, instytucje państwowe, doradzają spółkom medialnym, jak zaskarżyć państwo. Znaczą działają antypaństwowo i wbrew interesowi mediów publicznych.

Tak naprawę, to działają wbrew sobie, jeśli trzymać się litery prawa. Ale te instytucje się nie trzymają.

Rada Mediów Narodowych to dziecko partyjnej chciwości. Projekt ustawy o RMN powstał pod koniec 2015 r., szybko został napisany, błyskawicznie przepchnięty przez Sejm. Nocą. Wedle projektodawców, RMN miała zapewnić mediom publicznym „ochronę ich samodzielności redakcyjnej i niezależności od władzy wykonawczej pod względem treści i formy przekazów”.

Jej kompetencje zostały ukradzione Krajowej Radzie Radiofonii i Telewizji. Po co taki myk prawny? Bo w KRRiT nie mogli zasiadać politycy, w RMN – mogli. I zasiedli. I wcale, a wcale nie broni-

li tam „niezależności od władzy wykonawczej”. Oni tę zależność zacieśniali.

Ograbienie KRRiT z jej prawa do kształtowania władz spółek medialnych Trybunał Konstytucyjny w 2016 r. uznał za niekonstytucyjne. Z tym,

że wtedy chodziło o przekazanie tych uprawnień członkowi rządu, a nie RMN, bo gdy do TK trafiła skarga, RMN jeszcze nie istniała.

Ale wyrok TK dotyczy – w konsekwencji – też Rady Mediów Narodowych. Prawnicy mówią więc o RMN, że to „organ pozakonstytucyjny”. I choć Trybunał Konstytucyjny w wyroku z 2016 r. kazał przywrócić stan zgodny z konstytucją, nie stało się to do dziś.

Właśnie mierzymy się z tego skutkami. Mierzą się media, przez obie te Rady nie lubiane – publiczne i komercyjne.

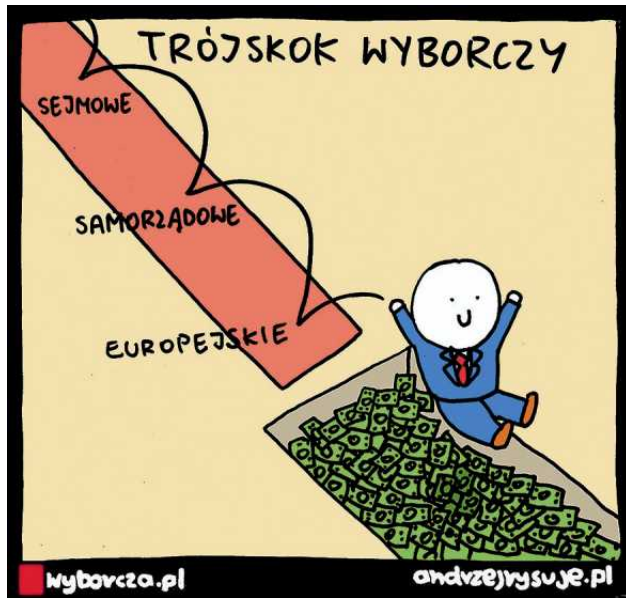
Parę dni temu Krzysztof Czabański, szef RMN i Maciej Świrski, szef KRRiT spotkali się z szefami rad nadzorczych spółek medialnych. Tych rad, które uznają za legalne. Bo wszystkie powołane przez Walne Zgromadzenie, czyli ministra kultury, są ich zdaniem, niezgodne z prawem.

Nie tylko się spotkali. Wręczyli szefom tych rad instrukcje, jak zaskarżyć decyzje Walnego Zgromadzenia spółek. Trzeba się spieszyć, bo jest na to czas do 29 czerwca (pół roku od decyzji WZ).

Jak to jest, jak się traci władzę? Wpływy? Pieniądze? Kontrolę?

Tak, jak w Radzie Mediów Narodowych i w KRRiT. Łamię się prawo w obronie własnych interesów. ●

Andrzej rysuje



Wielka ucieczka Miodobranie



Aita Prasad Gurung, czterdziestolatek, odcina plaster miodu wisząc 50 metrów nad przepaścią na drabinie uplecionej z pędów bambusa. Ten rój himalajskich pszczoł uciekł z wioski po pożarze. Aita znalazł je na klifie w pobliżu Taap w Lamjung, Nepal, 29 maja 2024 r

Więcej zdjęć z Polski i ze świata oraz niezwykłych galerii na [Wyborcza.pl/zdjecia](https://wyborcza.pl/zdjecia)

Kod dostępu do Wyborcza.pl



Podcast

Odpoczynek to prawo człowieka



NATALIA SARATA

socjolożka, feministka, założycielka Fundacja RegenerAkcja. Opowiada czy można być zmęczoną empatią lub współczuciem?

Czy można nauczyć się odpoczywać? Dlaczego odpoczynek jest formą oporu.

Śłuchajcie podcastu Agnieszki Jucewicz „Moja odwaga” na <https://wyborcza.pl/podcast>

Nowy obywatel

Słynny reżyser został Polakiem

Darren Aronofsky, nominowany do Oscara reżyser „Requiem dla snu” czy „Czarnego łabędzia”, dostał polskie obywatelstwo – donosi „Wprost”.

Informację potwierdził pełnomocnik reżysera, mec. Marcin Mamiński. Aronofsky miał otrzymać polski paszport miesiąc temu. Obywatelką Polski została też jego siostra Patti.

O obywatelstwo mogli się ubiegać dzięki polskiemu korzeniom. Babka reżysera wyemigrowała z Polski do Stanów Zjednoczonych.

Aronofsky wychował się w żydowskiej rodzinie na Brooklynie. Debiutował w 1998 r. „Pi”, chwalebny przez krytyków thrillerem o po-



grającym się w szaleństwie żydowskim matematykiem. Jego kolejnym filmem było głośne „Requiem dla snu”, teledyskowa, makabryczna adaptacja powieści Huberta Selby Jr. o czworgu popadających w uzależnienie nowojorczykach. Grająca w nim Ellen Burstyn została nominowana do Oscara, a krytycy porównywali „Requiem” do takich filmów jak „Trainspotting” czy „Las Vegas Parano”.

Za porażkę większość krytyków uzna-

ła „Mother!” z Jennifer Lawrence, który w 2017 r. miał premierę na festiwalu w Wenecji.

Aronofsky ma talent do obsadzania i prowadzenia aktorów: Natalie Portman i Brendan Frazer za role w jego filmach zgarnęli Oscary, a rola w „Zapaśniku” okrzyknięta została wielkim powrotem Mickey Rourke’a.

Jako reżyser ma na koncie jedną oscarową nominację – za „Czarnego łabędzia”. ●

Emilia Dłużewska

W poniedziałek „Duży Format”

Bóg mi Ciebie „dał i zadał”

Biblioteka Narodowa za 10 mln złotych kupiła w 2008 r. listy Jana Pawła II i jego przyjaciółki Anny Teresy Tymienieckiej. Do dziś nikt nie ma do nich dostępu.



Głosuj!

Gdyby Parlament Europejski nie był tak ważny,

Rosja nie inwestowałaby takich środków, by mu zaszkodzić

Wielński



Cisza wyborcza przed wyborami europejskimi wyjątkowo głucha. W chwili, gdy czytacie Państwo ten tekst, głosowanie za sobą mają już obywatele Holandii, gdzie posłów do Parlamentu Europejskiego wybierano w czwartek i w Irlandii, gdzie głosowano dzień później. W sobotę głosują Maltańczycy, Łotysze, Słowacy i Czesi, którzy mają na to dwa dni. Komisjom wyborczym w tych krajach nie wolno podać wyników wyborów aż do niedzielnego wieczoru, gdy wybory zakończą się w pozostałych krajach UE. A w sobotę ani tym bardziej w niedzielę w Polsce nie wolno pisać o wyborach w tych państwach i o exit-pollach. Trwa cisza wyborcza. Pisanie o holenderskich czy irlandzkich wyborach byłoby niedozwoloną agitacją.

Polska nie jest jedynym krajem UE, w którym przed wyborami obowiązuje cisza. W Czechach trwa ona trzy dni, w Hiszpanii pięć, a we Włoszech sondaży nie można publikować przez dwa tygodnie. Przepisy przepisami, życie życiem. Hiszpańska cisza nie obowiązuje hiszpańskojęzycznych mediów w Ameryce Południowej, jako pierwsze, jeszcze przed zamknięciem lokali o wynikach francuskich wyborów informują francuskojęzyczne gazety z Belgii i Szwajcarii. W Polsce za to jest bazarek, czyli internetowa giełda rzekomych przecieków z sondażowni, gdzie zamiast nazw partii podaje się nazwy owoców i warzyw. Zaś we Francji wyborczy bazarek nosi nazwę Radio Londyn, co nawiązuje do nadawanych z Wielkiej Brytanii audycji dla okupowanego przez Niemców kraju z czasów drugiej wojny światowej.

Jak w takich okolicznościach pisać na przedwyborczą sobotę tekst o polskich wyborach do Parlamentu Europejskiego? Można jedynie przypomnieć o co w nich chodzi. I że ich stawka jest o wiele większa niż wcześniej. Dlatego trzeba w nich wziąć udział.

Liczący 705 członków Parlament Europejski (po tych wyborach będzie miał 720 posłów), po parlamencie Indii druga co do wielkości legislatura świata, wyrósł na kluczową instytucję Zjednoczonej Europy. W odróżnieniu od Rady, w której zasiadają przywódcy państw członkowskich czy Komisji, do której każdy kraj członkowski nominuje swojego komisarza ma pełen demokratyczny mandat, gdyż jego skład obywatele Unii wybierają w głosowaniu.

W Parlamencie Europejskim nie ma narodowych frakcji, tylko partie europejskie. Niestety nie ma europejskiej listy wyborczej. Posłów wybiera się w wyborach krajowych. A w nich



• Czy Parlament Europejski jest ważniejszy od Sejmu? Bez dwóch zdań!

FOT. MATHIEU CUGNOT/EP

wyborcze kampanie dominują nie kwestie dotyczące funkcjonowania zjednoczonej Europy i rozwiązywania przez nią globalnych problemów, tylko czysta tematyka krajowa. Chętnie podałbym parę soczystych przykładów, ale cisza wyborcza na to nie pozwala. Proszę mnie jednak nie brać za naiwniaka. Mimo najszczerzejszych chęci nie potrafię sobie dziś wyobrazić skutecznej kampanii wyborczej, której motywem byłoby zagadnienie z czysto unijnej agendy, takie jak chociażby rozszerzenie UE.

Jest jak jest. Wynik wyborów to więc odzwierciedlenie politycznego status quo w 27 krajach UE, wybrani parlamentarzyści w dużej mierze to krajowi politycy, których awansowano albo zdegradowano do Brukseli. Przez następne pięć lat będą częściej pojawiać się w stolicach swoich krajów, w tamtejszych studiach telewizyjnych czy krajowych parlamentach niż w Strasburgu czy Brukseli, licząc, że ich krajowa polityczna kariera nabierze rozpędu lub go odzyska. Jest grupa posłów, którzy rozumieją w jakim miejscu się znaleźli i koncentrują się na europejskiej polityce i europejskich problemach. Patrzą w przyszłość i daleko poza granice swoich krajów. W nich pokładam nadzieję.

Na liście osiągnięć Parlamentu Europejskiego jest to, że Unia jako pierwsza na świecie uregulowała działanie sztucznej inteligencji. Już w październiku w życie wejdą przepisy, które ochronią obywateli EU przed np. bankami, które chciałyby używać sztucznej inteligencji do oceny zdolności kredytowej klientów na podstawie tego jak się zachowują, ubierają czy ich aktywności w internecie. Zabronią też używania AI identyfikowania twarzy przechodniów. Policja będzie mogła wykorzystywać sztuczną inteligencję do poszukiwania groźnych przestępców, ale tylko za zgodą sądu.

Treści wytworzone przez AI: czy to zdjęcia, muzyka, czy teksty będą musiały być odpowiednio oznaczone, tak by było jasne, że nie jest to dzieło człowieka czy prawdziwy film. Systemy AI, które będą dostępne w Unii będą musiały być zarejestrowane i będą nieustannie bada-

ne pod względem zagrożeń jakie mogą nieść.

Parlament zagrożeniami ze strony AI zaczął zajmować się jeszcze w 2020 r., zanim świat ogarnęła gorączka sztucznej inteligencji, a internet zaczęły zalewać generowane przez rozmaite systemy deep-fejki. W Parlamencie powstała m.in. specjalna komisja. W końcu kwestią zajęła się Komisja Europejska, która w odróżnieniu od Parlamentu ma inicjatywę ustawodawczą, czyli może proponować nowe prawne rozwiązania. Ich kształt musi zostać uzgodniony z Parlamentem i przez niego przegłosowany.

Czy z takim zagadnieniem poradziłoby jedno państwo? Nie. Za systemami sztucznej inteligencji stoją wielkie informatyczne koncerny z USA, które nie życzą sobie żadnych ograniczeń. Ich presji oparłyby się może duże europejskie kraje, ale małe państwa nie byłyby w stanie jej sprostać.

Unia Europejska i jej instytucje reprezentują 450 mln ludzi, to prawie 120 mln więcej niż liczy ludność USA i ponad 300 mln więcej niż ludność Rosji. Parlament ze swoimi dwiema siedzibami, komisjami, ekspertami, biurokracją jest potężną siłą, która ma chronić Europę przed globalnymi zagrożeniami. Ze względu na ciszą wyborczą ich listę ograniczyć tylko do sztucznej inteligencji. Na pytanie o znaczenie tej instytucji mogę jednak śmiało odpowiedzieć. Tak, Parlament Europejski jest ważniejszy od Sejmu, bo zajmuje się o wiele bardziej poważnymi rzeczami. Tylko, że nie zawsze to widać.

Początki były dość skromne. 10 sierpnia 1952 r. po raz pierwszy zebrało się 78 członków Zgromadzenia Europejskiej Wspólnoty Węgla i Stali, zrzeszającej Francję, Niemcy i Wło-

Wybrani parlamentarzyści w dużej mierze to krajowi politycy, których awansowano albo zdegradowano do Brukseli

chy organizacji, która była prekursorem dzisiejszej wspólnoty. 78 członków zgromadzenia delegowały parlamenty krajów członkowskich. Ich rola była jedynie doradcza i faktycznie doradzali. To w Zgromadzeniu wypracowano m.in. plan rozszerzenia wspólnego rynku węgla i stali na inne obszary gospodarki, który stał się podstawą do stworzenia Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej. Nazwa Parlament Europejski pojawiła się po raz pierwszy w 1962 r.

W 1979 r. po trwających kilka lat przygotowaniach, negocjacjach i spisywaniu traktatów odbyły się pierwsze wybory europejskie. Do obsadzenia było 410 miejsc, frekwencja w dziewięciu krajach tworzących wówczas Wspólnotę wyniosła aż 62 proc. (dla porównania w 2019 r. głosowała jedynie połowa obywateli UE). Wygrali chadecy z 28 proc. poparciem, niespełna 27 proc. dostali europejscy socjaldemokraci, w parlamencie znaleźli się też komuniści, liberalowie.

Pierwszą przewodniczącą Parlamentu została francuska polityk Simone Veil, była minister zdrowia, podczas wojny więźniarka KL Auschwitz-Birkenau i KL Bergen-Belsen. Parlament rósł wraz ze zjednoczoną Europą, aż dobił do dzisiejszej wielkości. Razem z liczbą posłów przybywało mu kompetencji.

W latach 70. Parlamentarzyści dostali wpływ na budżet wspólnot europejskich, w latach 80. na obsadę komisji europejskich. Obecny traktat pozwala parlamentowi odrzucić kandydaturę na szefa Komisji Europejskiej. Pięć lat temu zabrakło dziewięciu głosów, a taki scenariusz by się ziścił. Jak będzie teraz?

Wpływ parlamentu na życie Europejczyków jest przeogromny, co jednak powoduje, że trzeba parlament chronić przed wpływami z zewnątrz. W dawnych, spokojnych czasach problemem był lobbying. W dokumentach z prac parlamentarnych komisji dziennikarze znajdowali całe strony przepisane z kolportowanych przez lobbystów wrzutek.

Ostatnia afera korupcyjna, za którą stał Katar (w jej efekcie aresztowano jedną z wiceprzewodniczących parlamentu) pokazuje, że posłowie w Brukseli wcale nie są bardziej odporni na pokusy niż ich koledzy w krajowych parlamentach. Teraz do tych problemów dochodzi wojna hybrydowa z Rosją, która instytucji unijnych nie omija. Wśród asystentów polityków GRU i FSB instalują szpiegów i agentów wpływów. Hakerzy nieustannie próbują przebić się przez zabezpieczenia parlamentarnych serwerów i dostać do europejskich tajemnic. Trwa wymierzona w posłów kampania dezinformacji. Cóż, gdyby Parlament Europejski nie był tak ważny Rosja nie inwestowałaby takich środków, by mu zaszkodzić...

To dobry wniosek na koniec. Jutro po prostu trzeba iść zagłosować w wyborach do Parlamentu Europejskiego. ●

Bartosz T. Wielński

WYBIERZMY NASZĄ EUROPE

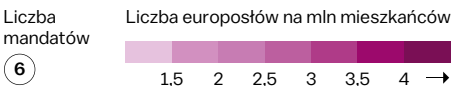
Nasz parlament

Za moment my, Europejczycy, będziemy mogli wybrać swój parlament.
Czy wiesz czym jest, jak działa i jakie ma kompetencje ta ważna instytucja Unii Europejskiej?

Wawrzyniec Święcicki

Podział mandatów w 2024 r.

Liczba posłów do Parlamentu Europejskiego wybieranych w poszczególnych państwach jest powiązana z liczbą ich mieszkańców, z pewną nadreprezentacją krajów mniej ludnych. Według ustaleń Traktatu lizbońskiego parlament może liczyć 750 posłów plus przewodniczący bez prawa głosu. Na jedno państwo może przypaść nie więcej niż 96 i nie mniej niż 6 mandatów. Po najbliższych wyborach liczba miejsc w Parlamencie Europejskim wzrośnie z 705 do 720. Oznacza to, że niektóre kraje wybiorą o kilku europosłów więcej niż obecnie (Polska zyska jeden mandat).



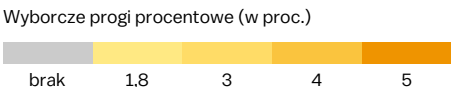
Ordynacje wyborcze

Wybory do Parlamentu Europejskiego są przeprowadzane z zastosowaniem procedur ustalanych przez państwa członkowskie. Krajowe systemy wyborcze mogą się znacznie różnić, ale muszą zapewniać proporcjonalną reprezentację elektoratu w parlamencie. Różnice dotyczą dopuszczalnego dolnego progu wieku kandydatów, wysokości minimalnych progów procentowych dla partii politycznych oraz metody głosowania i liczenia głosów. Dominują modele głosowania preferencyjnego oraz głosowania na zamknięte listy. Metodę głosu przechodniego stosują tylko Irlandia i Malta.



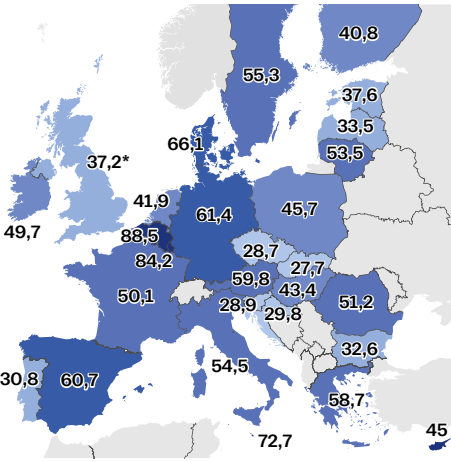
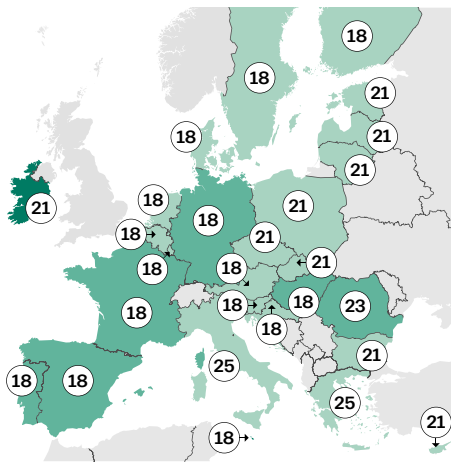
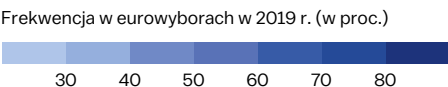
Progi procentowe

Czternaście krajów członkowskich UE wymaga od partii politycznych przekroczenia progu procentowego, umożliwiającego wejście do Parlamentu Europejskiego. W praktyce oznacza to, że głosy oddane na komitet, który nie osiągnie określonego wyniku procentowego w skali kraju, nie przełożą się na mandaty. W ten sposób w poprzednich eurowyborach w 2019 r. na darmo zagłosowało 1 377 621 wyborców (ponad 10 proc.).



Frekwencja

W ostatnich eurowyborach w 2019 r. największą frekwencję odnotowano w Belgii, gdzie głosowanie jest obowiązkowe (88,5 proc.), najmniejszą zaś w Słowacji (22,7 proc.). W Polsce frekwencja wyniosła 45,7 proc., czyli poniżej średniej w całej Unii Europejskiej (50,6 proc.). Na nasz kraj przypadają 53 miejsca w Parlamencie Europejskim. Polska jest podzielona na 13 okręgów wyborczych. Liczba mandatów możliwych do zdobycia w danym okręgu zależy od frekwencji. Na przykład w okręgu łódzkim w 2004 r. wybrano czworo parlamentarzystów, w 2014 r. tylko dwoje, a obecnie jest ich troje.



Parlament

Europosłowie są wybierani na pięcioletnią kadencję. Wszyscy pracują w ramach 20 komisji stałych. Dodatkowo parlament może w trakcie kadencji powołać komisje specjalne oraz śledcze. Na prace w komisjach posłowie i posłanki przeznaczają od jednego do dwóch tygodni w miesiącu. Raz na miesiąc parlament zbiera się w Strasburgu na czterodniową sesję. Dodatkowe posiedzenia odbywają się w Brukseli.

Grupy polityczne

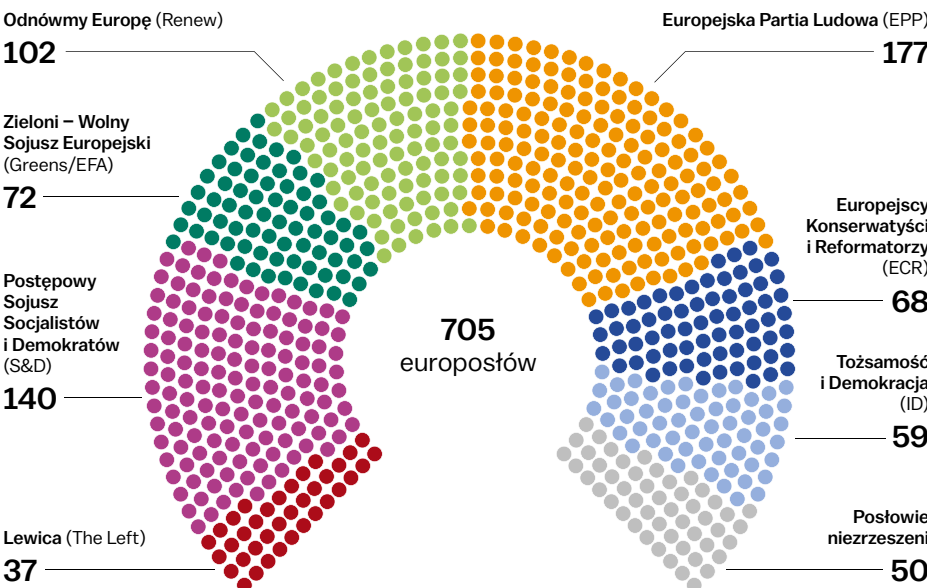
W Parlamencie Europejskim posłowie działają w ramach grup politycznych zrzeszających polityków o podobnych poglądach. Grupę może utworzyć minimum 25 posłów, reprezentujących co najmniej 25 proc. państw członkowskich. W Parlamencie Europejskim mijającej kadencji jest 7 grup politycznych. Niektórzy deputowani pozostają niezrzeszeni, ostatnio było to 50 osób.

Zarobki i inne benefity europosłów

Zgodnie z obecnie obowiązującymi przepisami wynagrodzenie europosła wynosi 38,5 proc. wynagrodzenia podstawowego sędziego Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej. Ponadto przysługują im dodatki w postaci diety z tytułu kosztów ogólnych (wynajem i utrzymanie biura itp.) oraz diety pobytowej na pokrycie kosztów związanych z przebywaniem w Parlamencie Europejskim w celach służbowych.

Oficjalna siedziba Parlamentu Europejskiego mieści się w Strasburgu. Tu odbywają się sesje plenarne parlamentu.

Rozkład mandatów w Parlamencie Europejskim IX kadencji (kwiecień 2024 r.)



Polscy europarlamentarzyści zrzeszeni w grupach politycznych

- ECR – 27 osób z PiS i SP
- EPP – 16 osób z PO i PSL + 3 bezpartyjne
- S&D – 7 osób z Nowej Lewicy + 1 bezpartyjna
- Renew – 1 osoba z Polski 2050
- Greens/EFA – 1 osoba bezpartyjna

Miesięczne wynagrodzenie
10 075 euro brutto
(ok. 7854 euro netto).

Dieta z tytułu kosztów ogólnych
4950 euro
kwota ryczałtowa

Dieta pobytowa za czas pracy w PE
350 euro
dziennie

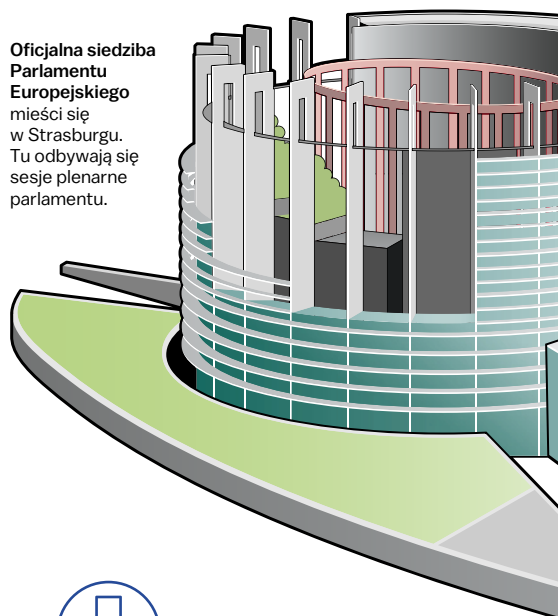
Samochód służbowy do dyspozycji na terenie Brukseli i Strasburga

Zwrot kosztów podróży służbowych – ceny biletów lub wydatków na benzynę

Zwrot części kosztów leczenia w wysokości 2/3 poniesionych na ten cel wydatków

Odprawa europosła może otrzymywać przez okres od 6 do 24 miesięcy

Prawo do dodatkowej emerytury w wysokości 3,5 proc. wynagrodzenia za rok pracy w PE



WYBIERZMY NASZĄ EUROPE

Główne instytucje europejskie

Parlament Europejski
Jest jedną z siedmiu głównych instytucji europejskich, przy czym jedną, której skład wybierają bezpośrednio obywatele państw członkowskich. Głównym zadaniem Parlamentu jest tworzenie unijnego prawa i opracowywanie budżetu UE we współpracy z Radą Unii Europejskiej i Komisją Europejską. Ponadto Parlament wybiera i nadzoruje niektóre europejskie instytucje.

Komisja Europejska
Proponuje i wdraża unijne przepisy, zarządza budżetem Unii i reprezentuje ją na arenie międzynarodowej.

Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej
Dokonuje wykładni prawa unijnego i rozstrzyga spory z tym związane.

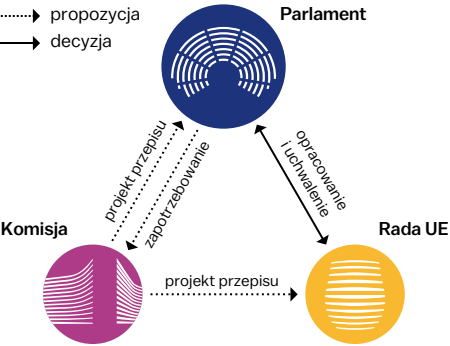
Rada Unii Europejskiej
Bierze udział w tworzeniu unijnego prawa. W jej obradach uczestniczą ministrowie państw członkowskich.

Europejski Bank Centralny
Prowadzi wspólną politykę monetarną w strefie euro, dba o stabilność wspólnej waluty euro.

Rada Europejska
Składa się z szefów państw lub rządów. Wskazuje priorytety i kierunki działania Unii Europejskiej.

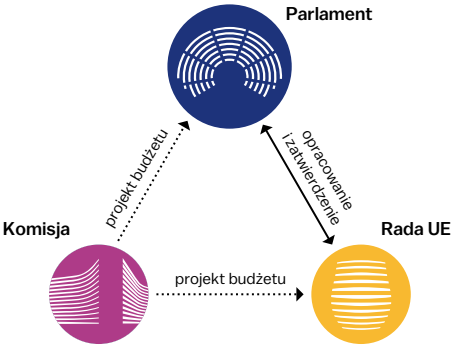
Trybunał Obrachunkowy
Kontroluje gromadzenie i wydawanie funduszy europejskich.

Rola parlamentu w tworzeniu prawa



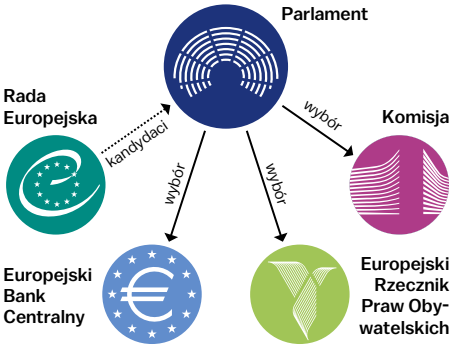
Nowe przepisy może zaproponować wyłącznie Komisja Europejska. Robi to z własnej inicjatywy lub na wniosek parlamentu. W ramach zwykłej procedury ustawodawczej projekt trafia do Parlamentu Europejskiego i Rady UE, które wspólnie opracowują ostateczny kształt przepisów i uchwalają je, jeśli osiągną porozumienie.

Rola parlamentu w tworzeniu budżetu



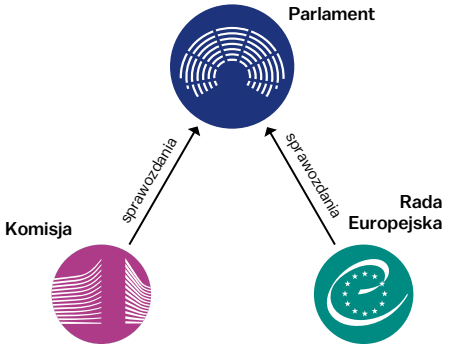
Projekt budżetu opracowuje Komisja Europejska. Jednak jego ostateczny kształt powstaje w wyniku porozumienia między europosłami i Radą UE. Europarlament bierze również udział w decydowaniu o wieloletnich ramach finansowych UE. Ostateczne decyzje podejmuje w tym przypadku Rada UE, ale musi dostać zgodę parlamentu.

Uprawnienia wyborcze parlamentu



Parlament Europejski wybiera przewodniczącego Komisji Europejskiej z kandydatów zaproponowanych przez Radę Europejską oraz głosuje nad składem reszty komisji. Powołuje również Europejskiego Rzecznika Praw Obywatelskich oraz konsultuje wybór prezesa Europejskiego Banku Centralnego.

Obowiązki nadzorcze parlamentu



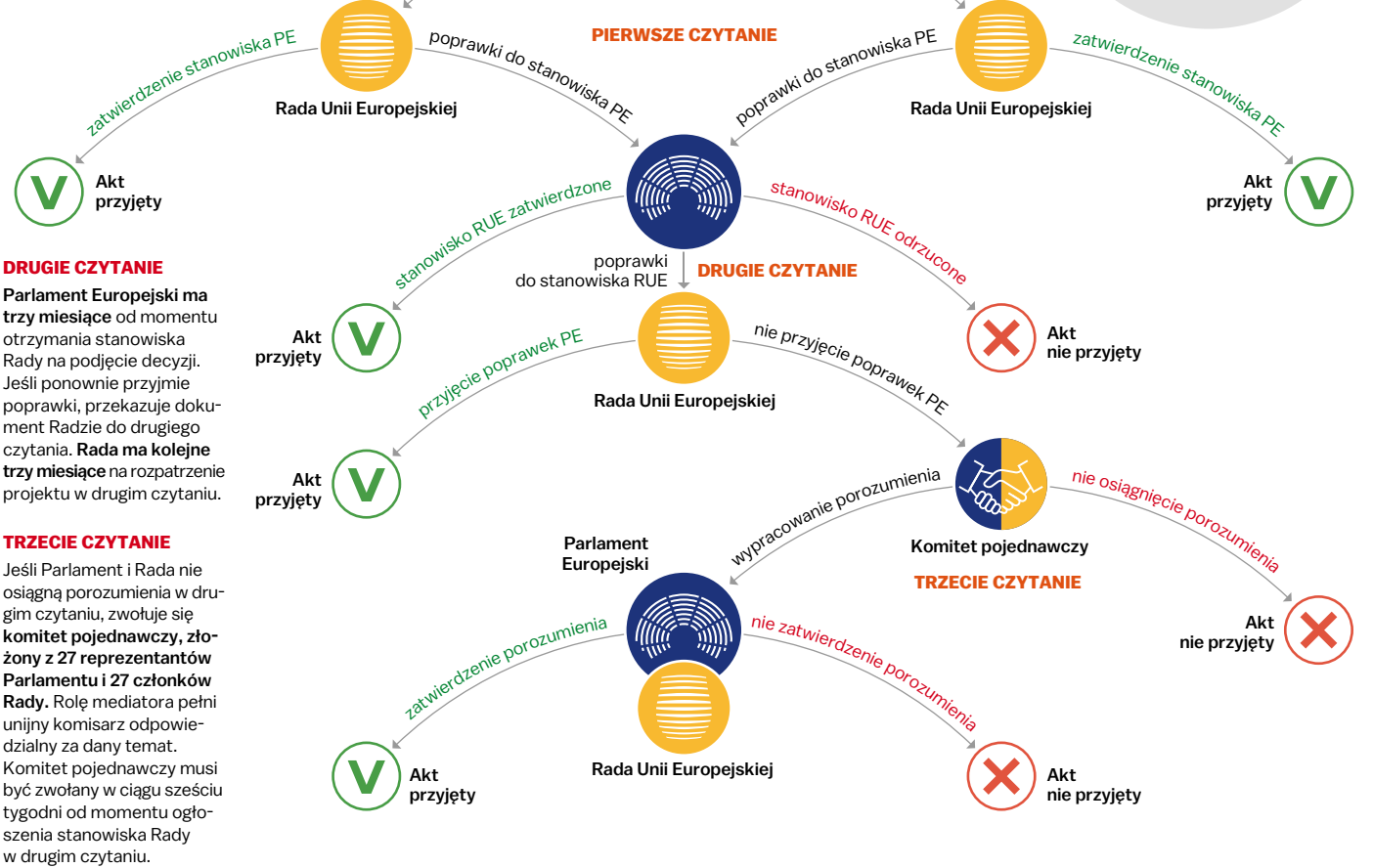
Parlament Europejski sprawuje nadzór nad Radą Europejską i Komisją Europejską. Przewodniczący Rady przedstawia parlamentowi sprawozdanie z każdego szczytu. Raz do roku sprawozdanie parlamentowi składa także Komisja Europejska. Jej członkowie mają również obowiązek odpowiadania na pytania posłów.

Prawo unijne

Prawo unijne dzieli się na dwie zasadnicze części: **prawo pierwotne** – traktaty przyjęte przez państwa członkowskie regulujące ramy prawne, w jakich może działać Unia Europejska; **prawo wtórne** – wszystkie przepisy wytworzone przez unijne instytucje na podstawie traktatów unijnych – rozporządzenia, dyrektywy, decyzje, zalecenia i opinie. Traktat o funkcjonowaniu Unii Europejskiej przewiduje dwie ścieżki tworzenia unijnego prawa: **zwykłą procedurę ustawodawczą** oraz **specjalną procedurę ustawodawczą**. W tym drugim przypadku rola parlamentu jest ograniczona, a ostateczne decyzje podejmuje tylko Rada UE. W przypadku **procedury zgody**, parlament może tylko przyjąć lub odrzucić wniosek ustawodawczy, przy **procedurze konsultacji** – może zaproponować poprawki.

Zwykła procedura ustawodawcza

PIERWSZE CZYTANIE
Komisja Europejska kieruje projekt do pierwszego czytania w **Parlamencie Europejskim oraz w Radzie UE**. Parlament musi zająć stanowisko w pierwszej kolejności, a następnie przekazać je Radzie UE. Rada UE decyzje w sprawie projektu podejmuje najczęściej w drodze głosowania większością kwalifikowaną (55 proc. państw, reprezentujących 65 proc. ludności UE). W sprawach mniejszej wagi (np. proceduralnych) wystarczy większość zwykła, natomiast w tych uznanych za delikatne obowiązuje zasada jednomyślności.



Stosunek Polaków do UE
Według najnowszego badania Eurobarometru ponad połowa Polaków (51 proc.) ma pozytywny obraz UE. Od jesieni 2023 r. liczba ta wzrosła o 4 punkty proc. Więcej Polaków (60 proc.) dobrze ocenia nasze członkostwo w UE, choć tu nastąpił spadek ocen o 2 punkty proc. Z kolei z najnowszego badania think tanku GLOBSEC wynika, że 20 proc. Polaków opowiada się za wyjściem Polski z UE. Większymi eurosceptykami w naszym regionie są tylko Słowacy (21 proc.) i Czeši (25 proc.).

Procent uważających, że dzięki członkostwu w UE Polska bardziej liczy się na świecie
80

Odsetek Polaków pozytywnie oceniających nasze członkostwo w Unii Europejskiej
60

Procent Polaków, którzy dziś zagłosowaliby za pozostaniem w Unii Europejskiej
73

Odsetek uważających, że UE dyktuje Polsce co ma robić, a nasz kraj nie ma na to wpływu
53

Część Polaków przekonana, że UE zagraża ich własnym wartościom i tożsamości
22

Procent Polaków, którzy dziś zagłosowaliby za opuszczeniem Unii Europejskiej
20

• Projekt WYBIERZMY NASZĄ EUROPE współfinansowany jest przez Unię Europejską w ramach programu dotacji Parlamentu Europejskiego w dziedzinie komunikacji.
• Wszelkie informacje i wypowiedzi zawarte w tekstach przedstawiają wyłącznie poglądy ich autorów. Parlament UE nie uczestniczył w przygotowaniu materiałów, nie odpowiada za ich treść i nie może być pociągany do odpowiedzialności za pośrednie lub bezpośrednie szkody mogące wynikać z realizacji projektu.



• Kijów, 8 grudnia 2004 r. Wielka, proeuropejska demonstracja podczas pomarańczowej rewolucji

• FOT. DAMIAN KRAMSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

List miłosny DO EUROPY

Krytykujecie ją? To zapraszam do Kijowa, Kiszyniowa i Tbilisi, tam naprawdę w nią wierzą.

Z **PROF. TIMOTHY GARTONEM ASHEM**, BRYTYJSKIM HISTORYKIEM, ROZMAWIA **ANDRZEJ BRZEZIECKI**

TIMOTHY GARTON ASH: (pokazuje na telefonie zdjęcia ruin i pożaru): Proszę zobaczyć, właśnie zbombardowano drukarnię „Vivat” w Charkowie, gdzie drukowano moją książkę. Z takim trudem udało się ją przełożyć i wydrukować w obleżonym mieście... Pewnie część nakładu „Homelands” przepadła, ale najlepsze są informacje o wielu zabitych cywilach!

ANDRZEJ BRZEZIECKI: Miejmy nadzieję, że nie był to ostatni rozdział do pana książki o Europie, w której apeluje pan o solidarność z Ukrainą. Czy w związku z tymi informacjami tęskni pan za latami 90. XX w., kiedy w Europie, zwłaszcza tej części, która aspirowała do Unii Europejskiej, panowała nadzieja?

To rzeczywiście był czas wielkich nadziei i dynamicznego rozwoju Europy. Teraz, w drodze na Ukrainę odwiedzam Rzeszów – pierwszy raz byłem tam w 1981 r., gdy trwał strajk rolników. Miasto było po-

nure i biedne – dziś jest nowoczesne i ciągle się rozwija. Polska jest krajem sukcesu, którego źródła tkwią w reformach lat 90. XX w. To był skok cywilizacyjny. Ale do tamtej epoki nie ma powrotu i ja za nią nie tęsknię, bo to był także czas pełen iluzji i złudzeń, jakich ofiarą padli liberalowie, tacy jak ja.

Choć wtedy dyskutowano nad teorią Francisca Fukuyamy o końcu historii, to moim zdaniem przekonanie, że wszystko idzie w dobrym kierunku, pojawiło się później – dopiero w pierwszej dekadzie XXI w. W latach 90., gdy kraje takie jak Polska, Czechy i Węgry rażąco szły do NATO i UE, wierzono, że na Zachodzie możliwe jest życie zawsze dobre i bezpieczne. Sam w to wierzyłem, ale pewności nie mieliśmy – i właśnie dopiero później uznaliśmy, że nic złego nas już nie spotka. To była nasza europejska *hubris*.

To było po atakach z 11 września 2001 r. Zbierając materiały do „Homelands” i potem pisząc tę książkę zorientowałem się, że ataki na WTC i Waszyngton były punktem zwrotnym w dziejach Stanów Zjednoczonych i Bliskiego Wschodu, ale nie dla Europy – nawet gdy potem zaatakowano Madryt i Londyn. W Europie punktem zwrotnym był rok 2008, gdy wybuchły kryzysy – ekonomiczny i strefy euro, a Moskwa zaatakowała Gruzję. Wtedy dotarło do nas, że nie wszystko idzie w dobrym kierunku.

Gdy my cieszyliśmy się z „powrotu do Europy”, na Bałkanach trwała wojna, poka-

zywano ją w telewizji, jeździli tam reporterzy, ale w Polsce chyba lekceważono ten konflikt – ot, wypadek przy pracy, czyli powszechnej demokracji.

To błąd, który popełniamy stale. Nawet pewien bośniacki pisarz opowiadał mi, że gdy teraz wybuchają wojny w innych częściach świata, Bośniacy, mimo swych doświadczeń, nie poświęcają im wiele uwagi.

W „Homelands” wiele miejsca poświęca pan reżimom na południu Europy, które upadły całkiem niedawno. Polacy przyzwyczajeni do napięć na linii Wchód-Zachód chyba niezbyt współczuli Hiszpanom, Portugalczykom i Grekom. Nawet życie w Jugosławii za Tito wydawało się lepsze od tego, co mieliśmy w PRL.

Gdybyśmy dziś powiedzieli młodemu Europejczykowi, że pół wieku temu nasz kontynent był zdominowany przez dyktatorów, chyba by nie wierzył. A przecież cała Europa Środkowa i Wschodnia oraz Związek Radziecki i te kraje na południu były pod autorytarnymi rządami. Dopiero z tej perspektywy widzimy, jakim wspaniałym wynalazkiem jest zjednoczona, spokojna i dostatnia Europa.

Tyle że jakoś mało kto się cieszy i ekscytuje tą Europą...

Tak? To zapraszam do Kijowa, Kiszyniowa i Tbilisi – tam ludzie naprawdę wierzą w Europę tak, jak Polacy 40 lat temu. Choć rzeczywiście najmniej wiary w Eu-

ropę jest w samym jej środku. „Homelands” zostało już przetłumaczone na ponad 20 języków i w ramach promocji odwiedziłam mniej więcej tyle krajów. Zauważyłem, że optymizm i entuzjazm dla integracji europejskiej panuje na peryferiach i w małych krajach jak Irlandia, Portugalia czy Estonia. Natomiast im bliżej centrum UE – we Włoszech, Niemczech, Francji czy w Holandii, tym smutniej i sceptyczniej.

Twórcy UE mieli jasne wizje – dziś ich brak. Putin ma swoją wizję imperium i brutalnie ją realizuje. Czy w Europie są politycy rangi ojców założycieli UE? Czy kimś takim może być Emmanuel Macron?

Macron jest intelektualistą i myśli strategicznie o Europie. Podzielał jego wizję „Europe-puissance”, czyli Europy jako potęgi. Taka potęga jest potrzebna nie tylko ze względu na Rosję Putina, ale także na wypadek powrotu Donalda Trumpa do Białego Domu. Sam Macron jednak bez wsparcia Berlina, ale także Warszawy niczego nie osiągnie. Niestety jego pozycja we Francji jest słaba. Partia Marine Le Pen, Zjednoczenie Narodowe ma, według sondaży, dwa razy większe poparcie.

Filozof Michel Sandel, liberal, szukając przyczyn sukcesów populistów, wykazuje, że zachodnie elity oderwały się od społeczeństw i zgrzeszyły arogancją.

Absolutnie się z tym zgadzam. Ekonomiczna przewaga elit, zwłaszcza w USA, drażni biedniejszych. Ale w Europie chodzi także o poczucie kulturalno-psychologicznej wyższości. W Wielkiej Brytanii to jest klasowe, w Polsce wskazuje się na proeuropejską inteligencję czytającą m.in. „Gazetę Wyborczą”, w Czechach mówi się o „praskiej kawiarni”. Wszędzie jednak chodzi o te same wielkomiejskie elity z dyplomami wyższych uczelni i znające języki. I jeśli PiS mówił o potrzebie redystrybucji prestiżu, to było w tym trochę prawdy.

Ale broni pan Rafała Trzaskowskiego, któremu wytykano znajomość obcych języków i któremu zaszkodził wpis o tym, jak w Natolinie z Bronisławem Geremkiem rozmawiał o Edgarze Morinie. To oczywiście, że trzeba się uczyć języków i kształcić. Absurdem jest oskarżanie Trzaskowskiego o brak patriotyzmu, jak to czynili populiści, z tego powodu, że zna języki. Zwracam tylko uwagę na linię podziału, która dzieli społeczeństwa – jedna ich część zna obce języki, druga nie. Wykształcone elity z różnych krajów, koncentrując się na integracji Europy i świetnie komunikując się między sobą, zapomniały o drugiej. Mam nadzieję, że już rozumiemy ten błąd.

Bronisław Geremek, jest jedną z ważniejszych postaci w „Homelands”. Jest też ważny dla polskich liberałów, jako, najpierw dysydent i strateg „Solidarności”, a potem polityk i dyplomata. Chyba jednak nie doceniamy jego europejskiego znaczenia – a on przecież nie tylko wprowadzał Polskę do UE, ale miał też ambicję Wspólnotę kształtować. Kiedyś szedłem z nim korytarzem w Sejmie. Geremek przystanął i powiedział z błyskiem w oczach, że dla niego Europa jest czymś w rodzaju platońskiej esencji. Idea Europy jest stała, niezmienna i należy do niej wytrwale dążyć. Naprawdę wierzył w Europę – zjednoczoną, ale różnorodną. Był też, jako historyk i polityk, realistą. Gdy Francuzi i Holendrzy odrzucili w referendum projekt konstytucji europejskiej, stwierdził: „Narody nie chciały konstytucji”. Rozumiał, że UE musi liczyć się z poczuciem tożsamości narodowej i nie może narodom niczego narzucać. Politycy w UE muszą stale zarządzać napięciem między słusznymi decyzjami na szczeblu europejskim a demokratyczną polityką, która ma charakter narodowy. Zapominano o tym w Brukseli.

Bronisław Geremek za wcześnie odszedł. Wspaniała biografia – od getta warszawskiego do Parlamentu Europejskiego. Co symboliczne odszedł, jadąc do Brukseli i w momencie, kiedy wydawało się, że wszystko się udało. Mógł być spełniony.

Co by pan mu powiedział, gdyby stanął przed panem i zapytał, co się działo w Europie przez ostatnie półtorej dekady? Staralbym się mu wytłumaczyć, dlaczego doszło do wzrostu znaczenia populistów i wojny w Ukrainie, wskazując na wspomnianą *hubris* liberałów. Dziś widać, że nie odebraliśmy właściwych lekcji z historii. Przecież wszyscy wiedzieliśmy, że imperia próbują się odradzać, a my naiwnie oczekiwaliśmy, że Rosja postąpi inaczej. Uważaliśmy też, że jeśli działa wolny rynek, państwo prawa i wolność, to tak będzie zawsze – a o to wszystko trzeba stale walczyć.

Geremek, tak jak Helmut Kohl, Margaret Thatcher czy François Mitterand należeli do pokolenia pamiętającego okropności wojny. Czy to ma znaczenie, że dziś większość z nas nie wie, co to wojna? Osobiste doświadczenie z lat 1939-1945, okupacji, czy także dyktatury – prawicowej albo komunistycznej – okazało się potężnym „silnikiem pamięci”, który napędzał tamto pokolenie polityków do wysiłków na rzecz pokoju i integracji. Brakuje nam dziś doświadczenia osobistego takiej gorszej Europy. Można mieć 30 lat i znać jedynie Europę zjednoczoną, pokojową i bogatą. To

wspaniale, ale zarazem nienormalne. Bo z perspektywy historycznej to nienormalne, że mogliśmy aż tyle lat żyć normalnie! Pokolenie Geremka, Kohla, Tadeusza Mazowieckiego czy Václava Havla zdawało sobie sprawę, jak niezwykle jest wieloletni pokój i dlatego tak o niego zabiegali. Teraz trwa wojna w Ukrainie, ale bezpośrednio Europejczyków, zwłaszcza na Zachodzie, nie dotyczy. To ważne pytanie – czy sama kultura, książki, filmy, muzea, szkoły i uniwersytety mogą nowym pokoleniom pomóc zrozumieć potrzebę utrzymywania tej „nienormalnej” sytuacji, w której nikt nie ginie i nie leje się krew.

Gdzie pan będzie 6 czerwca? Oczywiście na plażach Normandii, tam, gdzie mój ojciec lądował 80 lat temu o godzinie 7.30, by zakończyć koszmar wojny. Trzy dni później obywatele UE, czyli już niestety nie ja, będą wybierać posłów do PE. Trzeba robić wszystko, mobilizować się, głosować, aby już nie musieć walczyć z bronią w rękę, jak mój ojciec.

Pisze pan, że oś Londyn-Paryż-Berlin dobrze działała, ale po Brexicie trzeba zalać lukę po Wielkiej Brytanii, wymieniać pan w tym kontekście Włochy i Hiszpanię, ale nie Polskę...

Książkę pisałem przed 15 października 2023 r., gdy Polską rządili eurosceptyczni populiści. Zwycięstwo demokratycznej opozycji było dla mnie najszcześniejszym dniem w polityce w ubiegłym roku. Teraz Polska ma okazję reaktywować Trójkąt Weimarski, który mógłby *de facto* stanąć na czele UE. Donald Tusk, jako premier i były przewodniczący Rady Europejskiej może odgrywać kluczową rolę – trochę jako pośrednik między Macronem a Olafem Scholzem. Nie jest tajemnicą, że relacje między przywódcami Francji i Niemiec nie są najlepsze. Macron ma wizję, o której mówiłem, Tusk ma wolę, bo chce wprowadzić Polskę z powrotem do grona najważniejszych państw w Unii. Brakuje woli i wizji w Niemczech, a bez Niemiec nie istotnego w Europie wydarzyć się nie może. Tam jednak zbyt długo biznes miał i ma prymat w zarządzaniu państwem, przez co wykluczał istnienie prymatu właściwej polityki gospodarczej – także między narodowej. Potrzebujemy Niemiec, które będą w stanie przyczynić się do śmiałych reform Europy w kierunku zdolności do obrotu swych wartości w świecie oraz dalszego rozszerzania.

Czy Polska jako kraj przyfrontowy przypomina RFN z lat 80. XX w.? Nie. Polacy mają świadomość, że trzeba popierać Ukrainę i walczyć o wolność, podczas gdy w RFN wtedy protestowano przeciw rozmieszczaniu w kraju amerykańskich rakiet. Zresztą już wówczas Polska wyróżniała się. Przyjechałem tu po pierwszej wizycie Jana Pawła II, ulice były tak samo szare jak w NRD, ale w sercach Polaków był entuzjazm i wola walki. Dlatego tak mnie wasz kraj zafascynował.

Wspomniał pan, że premier Tusk chce wprowadzić Polskę do centrum Unii. Czy kraj leżący poza limesem rzymskim i Europą karolińską, ma szansę odgrywać kluczową rolę w UE? Te granice wciąż są ważne. Bronisław Geremek odpowiedziałby panu, że przecież ówczesne polskie ziemie należały do Europy ottońskiej. Gdy w Akwizgranie odbierał nagrodę Karola Wielkiego, wygłosił wykład, którego sednem było przejście od Europy karolińskiej do ottońskiej. To właśnie ta druga się spełniła w UE i Polska jest jej pełnoprawnym członkiem.

Jądrem UE jest strefa euro, w której Polski nie ma – także z woli liberałów. Wspólna waluta nie jest tylko sprawą ekonomiczną, stała się elementem tożsamości europejskiej. Z Ukrainy do Polski dotarłem teraz przez Litwę i muszę powiedzieć, że czuć tam, że euro buduje wspólnotę europejską. Oczywiście, byłoby wspaniale gdy-

Parafrazując Churchilla: dzisiejsza Europa jest okropna, ale to jest najlepsza Europa, jaka nam się kiedykolwiek przydarzyła. Jeśli się nie zmobilizujemy, wszystko możemy stracić

by Polska weszła do strefy, ale pamiętajmy, że małym krajom jest łatwiej przyjmować wspólną walutę. W przypadku większych proces trzeba dobrze ekonomicznie przygotować, aby nie było jak we Włoszech czy w Hiszpanii.

Budulcem Europy przez wieki było chrześcijaństwo, „ojcami założycielami” UE byli politycy chadeccy. Dziś chrześcijanie mogą mieć gorzką refleksję, że stworzyli Europę, która oddala się od Boga. Nie byłoby Europy bez chrześcijaństwa, ale to nie znaczy, że dziś musi być ona niezmiennie i tylko chrześcijańska. Trzeba mieć świadomość historii, tego skąd pochodzimy, ale nie da się powstrzymać wielokulturowości. Poza tym ważnym składnikiem europejskości jest Oświecenie i duch tolerancji. Nowoczesne państwo nie może narzucać konserwatywnych obyczajów, ale w Europie musi też być miejsce dla tzw. tradycyjnej rodziny chrześcijańskiej. Uważam, że sprawy związane z obyczajowością i seksualnością dobrze zostawić państwu i liberalizm obyczajowy niekoniecznie musi być głównym ideowym przesłaniem UE. Byłbym ostrożny w podkreślaniu tematu obyczajowości przez UE, bo będzie to budzić znowu skojarzenia, że Europa jest pomysłem liberalnych elit. Mogłoby to dostarczyć amunicji wrogom integracji. Liberalna Europa musi być dla wszystkich, nie może oznaczać wolności tylko dla liberałów.

Władimir Putin, chcąc nie chcąc, pomógł Ukraincom stać się świadomym narodem – czy pomoże także Europejczykom zacieśnić więzy? Ukraina jako państwo suwerenne powstała etapami. W latach 1990-91 Ukraińcy uzyskali formalną niepodległość, potem, podczas pomarańczowej rewolucji w 2004 r. domagali się prawa do europejskiej wyboru. Bez tych setek flag UE na Majdanie w 2004 r., zapewne nie byłoby Euro-majdanu 10 lat później. Od 2022 r. mamy ostatni etap — Ukrainastaje się państwem nie tylko w oczach własnych mieszkańców, ale także, co ważne, w oczach świata. Czy Europejczycy z powodu zagrożenia ze strony Putina przyspieszą integrację? Mam nadzieję, że tak – ale to pytanie nie tylko o Unię, lecz i o NATO. Boje się, jak to będzie wyglądać, jeśli sytuacja na Ukrainie się pogorszy, a władzę w Waszyngtonie zgarnie Trump? Obawiam się, że nie da to efektu jednoczącego – w Europie uformuje się „partia Trumpa” z Viktorem Orbanem i Giorgią Meloni na czele. Także w Europie Wschodniej niektóre kraje mogą zacząć się orientować na USA, bo nie będą miały pewności, czy Europa ich obroni, a Stany Zjednoczone to potęga militarna. Wreszcie – w krajach takich jak Włochy czy Niemcy pojawiają się głosy, że potrzebne są rozmowy z Moskwą, że trzeba jej coś zaoferować kosztem Ukrainy.

Albańska pisarka i intelektualistka Lea Ypi nazwała pana książkę poruszającym listem miłosnym do Europy, ale czy w obliczu tych zagrożeń nie boi się pan, że „Homelands” okażą się raczej mową pogrzebową nad trumną idei europejskiej?

To nie jest mowa pogrzebowa! Jeśli już, to przepowiednia Kasandry, ostrzeżenie skierowane do Europejczyków, aby bronili tego, co udało im się zbudować. Parafrazując słowa Winstona Churchilla: dzisiejsza Europa jest okropna, ale to jest najlepsza Europa, jaka nam się kiedykolwiek przydarzyła. Jeśli się nie zmobilizujemy – poczynając od obrony Ukrainy – i jeśli nie będziemy brali udziału w życiu politycznym UE, choćby lekceważąc wybory do PE, wszystko możemy stracić. Rozpad UE nie jest prawdopodobny, ale dość prawdopodobne jest powolne jej obumieranie. Podobnie było ze Świętym Cesarstwem Rzymskim w ostatnich dekadach istnienia w XVIII w. Był cesarz, istniały instytucje, odbywały się ceremonie, ale życie było już gdzie indziej. Boję się takiego powolnego ochładzania relacji wewnątrzunijnych. Będziemy wtedy jak człowiek w wannie, który nie zwrócił uwagi, że woda jest coraz chłodniejsza i zorientujemy się już, gdy będzie zupełnie zimna.

Po brexicie jest pan już poza tą wanną... I czuję się z tego powodu okropnie. Brexit był największą klęską polityczną mojego życia. Teraz jestem Europejczykiem z brytyjskim paszportem i bardzo mnie to smuci.

Możliwe jest odkręcenie całej brexitowej hecy? W lipcu będą u nas wybory i, jak się mówi na Wyspach, „I will eat my hat” – zjem swój kapelus, jeśli konserwatyści wygrają. Wierzę, że następnym premierem będzie Keir Starmer, lider Partii Pracy. Powrót do UE wymaga wielu kroków – najpierw małych, potem śmielszych. Europa jest w kryzysie bezpieczeństwa i paradoksalnie to będzie szansa dla takich brytyjskich Europejczyków jak ja. Wielka Brytania może być ważnym elementem systemu bezpieczeństwa w Europie – a dziś kwestią bezpieczeństwa jest wszystko: internet, energetyka, informacja. za kilka lat może przyjąć czas na rozmowy o powrocie do wspólnego rynku i unii celnej i wtedy nie wykluczyłbym, że pojawi się dyskusja o pełnym powrocie do UE. Ale to także zależy od samych Europejczyków – w tym od Was, Polacy! Tylko jeśli UE, także dzięki wyborom 9 czerwca do PE, będzie znowu dynamiczna i atrakcyjna, Brytyjczycy będą chcieli do niej wrócić. ●



FOT. MACIEK JAŻWIECKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Prof. Timothy Garton Ash

• (ur. 1955) jest historykiem i publicystą. Zajmuje się głównie historią Europy po 1945. Profesor w St. Antony’s College na Uniwersytecie Oksfordzkim i członkiem rzeczywistym Instytutu Hoovera na Uniwersytecie Stanforda. W 2017 r. otrzymał Nagrodę Karola Wielkiego; jest także m.in. laureatem dziennikarskiej Nagrody Orwella. Wydał m.in. „Teczka. Historia osobista” (Kraków 2006), „Historia na gorąco: eseje i reportaże z Europy lat 90” (Kraków 2000). Jego najnowsza książka *Homelands. Historia osobista Europy* (Kraków 2024) trafiła właśnie do księgarń.

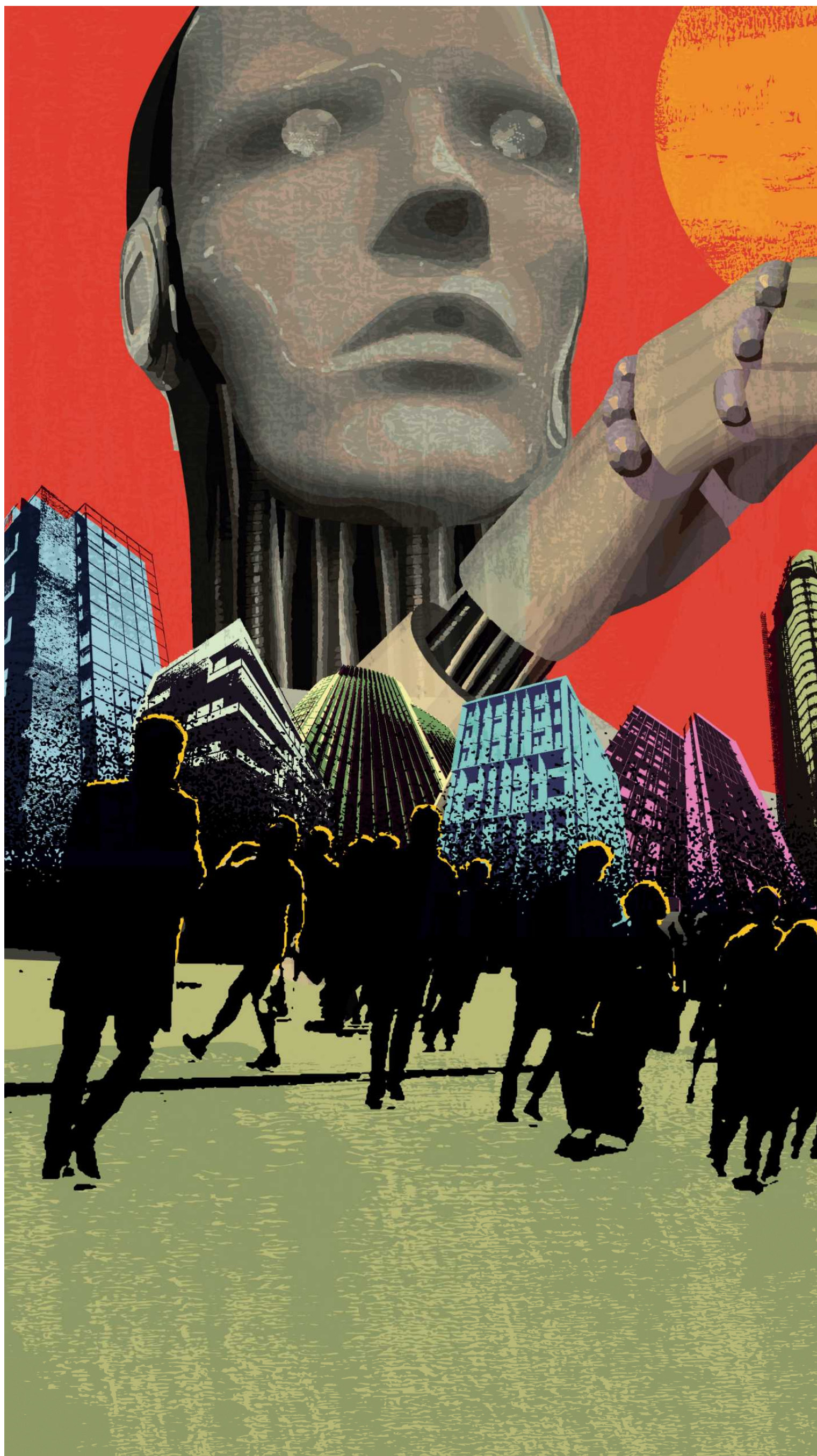


CO
SIE
ŚNI

AI

Suleyman zrozumiał, że problemy, przed jakimi stoi nasza cywilizacja, przerastają rozum człowieka i trzeba szukać pomocy w mocach nadludzkich.

Piotr Cieśliński





19

marca Mustafy Suleyman ogłosił w serwisie X:

„Dzisiaj dołączam do Microsoftu, będę kierować wszystkimi konsumenckimi badaniami i produktami związanymi ze sztuczną inteligencją, włącznie z Copilotem, Bingiem i Edgem.”

Na początku maja zapowiedział, że przeprowadzi Microsoft z ery komputerów osobistych, których ta firma była pionierem, do epoki „inteligencji osobistej”. A zacznie się to od największej aktualizacji systemu Windows w czterdziestoletniej historii firmy. Ten najpopularniejszy system operacyjny na świecie ma być teraz zespólny ze sztuczną inteligencją, służyć każdemu użytkownikowi jako osobisty cyfrowy asystent.

Na konferencji TED w Vancouver rozciął wizję, która jeszcze kilka miesięcy temu byłaby uznana za szaloną i utopijną:

„Wszyscy wkrótce będziemy mieli osobistych asystentów AI o nieograniczonej wiedzy, niemal doskonałym IQ, a także wyjątkowym EQ [emocjonalna inteligencja]. Będą mili, wspierający i empatyczni. Będiesz nosił w kieszeni spersonalizowanego nauczyciela, lekarza, stratega biznesowego i trenera – 24 godziny na dobę.

Będą towarzyszącymi, powiernikami, współpracownikami, przyjaciółmi i partnerami, tak różnorodni i wyjątkowi, jak my wszyscy. Będą nie tylko dla ludzi – choć może to zabrzmieć dziwnie, każda organizacja, od małych firm, przez organizacje non-profit, po rządy krajowe, każde miasto, budynek i obiekt będą reprezentowane przez unikalną interaktywną osobowość.

Zamówią jedzenie na wynos i poprowadzą elektrownię. Będą wchodzić w interakcje z nami i, oczywiście, ze sobą nawzajem. Będą mówić każdym językiem, odczytywać każdy wzór danych z czujników, kamer, mikrofonów, analizować strumienie informacji z całego świata, znacznie przewyższających to, co każdy z nas mógłby skonsumować w ciągu tysiąca wcieleń.”

W styczniu tego roku w Davos podczas dorocznego spotkania Światowego Forum Ekonomicznego Suleyman wyszedł na scenę wraz z dyrektorem zarządzającym Międzynarodowego Funduszu Walutowego Kristaliną Georgiewą i ministrem spraw zagranicznych Ukrainy Dmytro Kulebą, aby dyskutować o globalnych implikacjach i zagrożeniach związanych z rozwojem sztucznej inteligencji.

– Ta technologia może być głównym motorem szerzenia dobrobytu i pomyślności w nadchodzących latach. Ogromną pomocą w stawianiu czoła cywilizacyjnym wyzwaniom – od opieki zdrowotnej i edukacji po zmiany klimatyczne. Dzięki AI będziemy mieli znacznie większe szanse, by im sprostać – powtarza w mailu do „Wyborczej”.

W połowie maja ukazało się polskie tłumaczenie jego bestsellerowej książki „Nadchodząca fala. Sztuczna inteligencja, władza i najważniejszy dylemat ludzkości w XXI wieku”.

Kończący w tym roku 40. rok życia brytyjski menedżer – syn urodzonego w Syrii londyńskiego taksówkarza i brytyjskiej pielęgniarki – znalazł się właśnie u szczytu kariery.

Wyniosła go ta sama fala, o której pisze w swojej książce. Globalna ekspansja i masowe rozprzestrzenianie się dwóch nowych technologii:

AI i biologii syntetycznej, które wkrótce dadzą ludzkości potężne – niemal boskie – możliwości albo... przyniosą katastrofalne, dystopijne skutki. A może obie te rzeczy na raz.

Mustafa Suleyman szuka pomocy w mocach nadludzkich

Co ciekawe, Mustafa Suleyman nie jest programistą, informatykiem, matematykiem, czy neurokognitywistą. Zanim trafił do branży IT, był społecznikiem i aktywistą, a po tro-

sze biznesmenem. Studiował filozofię i teologię na Oksfordzie, ale wytrzymał tam tylko rok, zrezygnował z nauki, bo – jak dziś zapewnia – chciał zająć się czymś bardziej praktycznym. Był jednym z tych 19-latków, który marzą o tym, aby zmienić świat, tu i teraz, a nie filozofować i rozdzielać włos na czworo.

Wraz ze swoim przyjacielem ze studiów założył telefoniczną infolinię dla młodzieży muzułmańskiej, która wkrótce stała się jednym z największych przedsięwzięć w zakresie wsparcia zdrowia psychicznego dla muzułmanów w Wielkiej Brytanii. Wynajął wózek inwalidzki i z kolegami jeździli nim po całym Londynie, wydając na koniec przewodnik po stolicy Wielkiej Brytanii dla niepełnosprawnych.

Ale po kilku latach doszedł do wniosku, że praca w organizacjach charytatywnych daje wprowadzić satysfakcję, ale małą szansę na poważny wpływ i zmiany.

Potem jeszcze krótko pracował jako specjalista ds. praw człowieka u Kena Livingstone’a, burmistrza Londynu, ale uznał, że ten urząd nie jest gotowy na radykalne działania. Założył Reos Partners – firmę konsultingową, mającą rozwiązywać konflikty społeczne i wspierać globalne zmiany systemowe w takich kwestiach, jak produkcja żywności, odpady czy różnorodność. Pracował jako negocjator, mediator i facylitator dla m.in. Organizacji Narodów Zjednoczonych, rządu holenderskiego, funduszu WWF czy Shela.

Opuścił jednak Reos Partners na początku 2010 r. po tym, kiedy konsultacje i negocjacje klimatyczne ONZ w Kopenhadze, w których przez rok brał udział, poniosły spektakularną porażkę. Na tym szczycie klimatycznym nie doszło do podpisania porozumienia.

Sfrustrowany Suleyman doszedł wtedy do wniosku, że problemy, przed jakimi stoi nasza cywilizacja, przerastają rozum człowieka i trzeba szukać pomocy w mocach nadludzkich. Czyli sztucznej inteligencji.

– Pracowałem w doradztwie i polityce i coraz częściej widziałem, jak tradycyjne instytucje zawodzą, próbując stawić czoła największym naszym wyzwaniom. Jednocześnie obserwowałem, jak nowe technologie z łatwością i szybkością docierają do setek milionów użytkowników – mówi nam Suleyman. – Chciałem wykorzystać tę wielką skalę rozprzestrzeniania się i rozmiar wpływu. Dlatego postawiłem na sztuczną inteligencję, choć w tamtym czasie było to niemożliwe i wielu uważało, że wręcz niemożliwe.

Trzech marzycieli zakłada Deep Mind

Nagły zwrot w kierunku AI był nie tylko skutkiem frustracji i poczucia bezradności. Miał w tym udział także przypadek, ale z gatunku tych, które wykorzystują najlepsi.

Los bowiem sprawił, że w dzieciństwie poznał Demisa Hassabisa, starszego brata jego najlepszego przyjaciela ze szkoły.

Hassabis jest geniuszem, już jako dziecko grał w szachy na poziomie arcymistrza, sam nauczył się programować i projektować popularne gry wideo, dzięki czemu zarobił na chesne w Cambridge, gdzie przez trzy lata studiował informatykę. To mu nie wystarczyło, bo w projektowanych grach strategicznych i symulacyjnych jako jeden z pierwszych stosował sieci neuronowe i algorytmny sztucznej inteligencji. Skończył więc jeszcze kurs neurobiologii poznawczej w University College London, gdzie szukał inspiracji, jak ulepszyć AI.

Suleyman i Hassabis jeszcze w czasach szkolnych sporo ze sobą rozmawiali. – Obaj chcieliśmy zmienić świat. On już wtedy przekonywał, że musimy zbudować te wielkie komputerowe symulacje, które pewnego dnia będą modelować całą złożoną dynamikę naszych systemów finansowych i rozwiązać wszystkie najtrudniejsze problemy społeczne. Ja byłem zdania, że trzeba ruszać w świat i już teraz próbować dokonać realnej zmiany – mówi Suleyman.

Jednak po twardym zderzeniu z realnym światem, wrócił do pomysłu Hassabisa.

Komputerowy geniusz postawił sobie za cel odkrycie św. Graala dziedziny AI – a więc zbudowanie ogólnej sztucznej inteligencji

(AGI, artificial general intelligence). Takiej, która miałaby lepsze zdolności poznawcze niż najbardziej inteligentni ludzie.

Maszyny zdolne do uczenia się, planowania przyszłości i być może także obdarzonej świadomością. – Chcę ją rozwinąć tak, by rozwiązała wszystkie nasze problemy, takie jak głód, choroby, bezdomność czy globalne ocieplenie. To będzie program Apollo XXI wieku – mówił Hassabis w „Wired”.

– Klimat, ekonomia, choroby to niezwykle skomplikowane, wzajemnie oddziałujące systemy. Ludzie po prostu nie są w stanie przeanalizować wszystkich danych i nadać im sensu. Najpewniej istnieją fizyczne granice tego, co mogą zrozumieć mózgi ekspertów. Sztuczna inteligencja ich wspomóż, otworzy nową epokę odkryć – sekundował mu Suleyman.

Suleyman, Hassabis i nowozelandczyk Shane Legg (jeden z pionierów prac nad AGI, którego Hassabis spotkał na University College London) pod koniec roku 2009 założyli w Londynie start up o nazwie Deep Mind, którego celem było ni mniej, ni więcej, tylko stworzenie sztucznego mózgu.

Jeśli sztuczna inteligencja wykorzysta zaledwie ułamek swojego potencjału, następna dekada będzie najbardziej produktywna w historii ludzkości

– Wszystko wskazuje na to, że nasz mózg jest biologiczną maszyną liczącą i możemy odtworzyć jego działanie. W ciągu dziesięciu, może 15 lat stworzymy maszynę myślącą na poziomie noworodka. W pełni funkcjonalny system to tylko kwestia czasu. Mamy wokół ponad 7 mld działających prototypów, czyli nas samych – zapowiadał Hassabis.

Google płaci 400 mln funtów za niedochodowy start-up

W tamtym czasie taka deklaracja była czymś science-fiction. Nawet eksperci w dziedzinie AI pukali się w głowę. Tym niemniej trójka marzycieli przekonała poważnych inwestorów, aby włożyli spore pieniądze. W Deep Mind zainwestowali m.in. Elon Musk (twórca SpaceX czy Tesli), Peter Thiel (jeden z założycieli Facebooka i Jaan Tallinn (współzałożyciel Skype).

W ciągu kilku lat głębokie sieci neuronowe Deep Mind – logiczno-matematyczne struktury, które naśladują działanie ludzkiego mózgu – osiągnęły zdumiewające rezultaty. Kluczem do sukcesu okazały tzw. algorytmy uczące się przez wzmacnianie (ang. Reinforcement Learning).

Proces programowania takiej sieci przypomina uczenie się żywego mózgu. Do tego stopnia, że do opisu „uczenia maszynowego” używana jest terminologia zaczerpnięta z psychologii – istnieją na przykład pojęcia sprzężenia zwrotnego i nagrody. Połączenia między sztucznymi neuronami są wzmacniane (lub osłabiane) przez przykłady, trening i zbierane doświadczenie.

Większość dzisiejszych systemów sztucznej inteligencji polega w wstępnym programowaniu maszyn. Naszym pomysłem jest zaprogramowanie ich tak, aby mogły uczyć się samodzielnie. Jest to o wiele potężniejsze, w ten sposób uczą się systemy biologiczne – wyjaśniał Hassabis.

Sztuczna inteligencja Deep Mind zaczyna więc od minimalnego zestawu umiejętności i początkowo działa na oślep, metodą prób i błędów. Ale błyskawicznie uczy się strategii postępowania, która przynosi najlepsze efekty. Dochodzi do poziomu, na którym bije profesjonalistów i ekspertów.

Pierwszy algorytm, zwany Deep Q-network, nauczył się grać w 49 stare gry wideo, znane z konsol Atari 2600 z końca lat 70. zeszłego wieku. Brzmi to mało spektakularnie, dopóki nie dodamy, że w algorytmie nie zo-

stały zakodowane reguły tych gier. Program sam się ich domyślił – miał do dyspozycji tylko obraz z konsoli, informację o wyniku oraz funkcjach poszczególnych ruchów joystickiem.

Suleyman wspomina, że obserwowanie na żywo postępów algorytmu robiło piorunujące wrażenie, nawet na samych jego twórcach. Zapowiadało to rewolucję.

To częściowo wyjaśnia, dlaczego w 2014 r. firmę przejął Google – płacąc gigantyczną kwotę 400 mln funtów, choć start-up nie miał jeszcze żadnego źródła przychodów – nie skomercjalizował algorytmu, nie wypuścił na rynek żadnego produktu.

Program wygrywa w „StarCrafta II”

Drugim powodem tego wówczas największego europejskiego przejęcia był Suleyman. Jeśli Hassabisa można nazwać mózgiem przedsięwzięcia, Suleyman był jego motorem. Odpowiadał za logistykę, komunikację i biznes. Wciąż obmyślał, jak zastoso-ować AI do rozwiązywania praktycznych problemów. Wydawało się, że pod skrzydłami potężnego Google’a stanie się to dużo szybciej.

Przejęcie Deep Mind przez Google’a zelektryzowało zaś innych globalnych graczy w dziedzinie AI. Nagle wszyscy zaczęli mówić o sztucznej inteligencji, jedni z nadzieją, inni ze strachem.

Ten właśnie moment może być w przyszłości przyjmowany za początek globalnej rywalizacji w celu zbudowania sztucznego mózgu. Jeśli oczywiście będzie jakaś przyszłość.



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Już pod patronatem Google’a Deep Mind stworzył program AlphaGo, który pokonał legendarnego koreańskiego mistrza Lee Se-dola w starej dalekowschodniej grze planszowej Go. Ta gra była jednym z największych wyzwań dla sztucznej inteligencji, bo w szachy czy warcaby już od dawna człowiek przegrywał.

Kolejna wersja AlphaZero potrafiła uczyć się sam „od zera”, bez sięgania po wiedzę zdobytą i opracowaną przez ludzi. Ten program grał sam ze sobą i w ciągu ledwie 70 dni zdobył arcymistrzowskie umiejętności. Odkrył strategię, do których mistrzowie gry w Go dochodzili przez kilkanaście wieków, a także takie, o których ludzie nie mieli dotąd pojęcia.

Kolejną grą, w której Deep Mind zakończył supremację ludzi, była „StarCraft II”. Kultowa komputerowa gra strategiczna czasu rzeczywistego, która położyła podwaliny pod lukratywny e-sport. Jej fabuła dotyczy konfliktu pomiędzy trzema galaktycznymi rasami: terranami (wywodzą się od ludzi wygnanych z Ziemi), zergami (przypominają szybko mutujące roje owadów) oraz protosami (to wojownicy zaawansowani technologicznie i obdarzeni mocami paranormalnymi). Gracz wciela się w jedną z tych ras i – jak to w grze – stara się wyeliminować wszystkich przeciwników

Środowisko twórców sztucznej inteligencji uważało tę grę za rodzaj testu, który sprawdza zaawansowanie programów AI i ich zdolność do zastępowania człowieka.

Dlaczego? Z kilku istotnych powodów:

- „StarCraft” nie ma jednej najlepszej strategii wygrywającej. Program musi więc bez przerwy się uczyć i doskonalić strategię.

- W przeciwieństwie do takich gier jak szachy czy Go, gdzie gracze mają przed oczami całą planszę i znają dokładny aktualny stan rozgrywki, w „StarCraft” gracz dysponuje wysoce niepełną informacją. Niektóre informacje o przeciwniku są przed nim ukryte i musi je aktywnie odkrywać.

- Gra toczy się w czasie rzeczywistym – nie jest więc tak jak w szachach, czy w Go, że ruchy graczy następują na przemian. Tutaj musimy dotrzymywać kroku przeciwnikowi, który nas atakuje i realizuje swoją strategię, nie czekając na nasze decyzje i ruchy. Naukowcy oszacowali, że w każdej chwili sztuczna inteligencja ma do wyboru średnio jedno z setek milionów trylionów (10 do potęgi 26) możliwych posunięć!

- Każda podjęta przez gracza decyzja, nawet na wczesnym etapie gry, może mieć długofalowy i z góry nieprzewidywalny efekt dla wyniku rozgrywki.

Słowem, w tej grze jest trochę jak w prawdziwym życiu, gdzie musimy podejmować decyzje nie mając pełnej wiedzy, zmagając się z czasem i konkurencją. Mimo to stworzony przez Deep Mind program StarAlpha osiągnął w „StarCraft II” poziom mistrzowski.

Uczył się podobnie jak AlphaZero, grając sam ze sobą. Kolejne edycje stawały się coraz lepsze dzięki selekcji naturalnej – wersje, które zwyciężały, przechodziły do kolejnych etapów. Naukowcy stworzyli też specjalną „Lige”, w której grało ze sobą kilka programów. Wśród nich był ten, który był liderem i miał się stać niezwykły. Reszta była nastawiona na wyłapywanie słabych stron lidera. Po to, by można było je wyeliminować.

Niedawno AI zwyciężyła już z człowiekiem w walkach powietrznych na niebie – w gonitwie prawdziwych myśliwców

MUSTAFA SULEYMAN

Można wzruszyć ramionami i rzec, że to tylko gra wideo. Ale sztuczna inteligencja, która z sukcesem rywalizuje z profesjonalistami w złożonym świecie wirtualnym, za chwilę może już także stawić czoło problemom świata realnego.

Rok temu w „Nature” opublikowano algorytm, który po raz pierwszy pokonuje nas w sterowaniu dronami sportowymi w rzeczywistym świecie, a niedawno AI zwyciężyła już z człowiekiem w walkach powietrznych na niebie – w powietrznej gonitwie prawdziwych myśliwców.

AI chce zjeść nasze dane

Suleyman zaprzął algorytmy Deep Mind do analizy zużycia energii w centrach obliczeniowych i danych Google’a. Znalazł sposoby na zmniejszenie energochłonności obliczeń, tylko o kilkanaście procent, ale w skali całej firmy była to pokaźna oszczędność. Rozwijał też dział zdrowia -

AI miała pomóc lekarzom w diagnozowaniu chorób, dużo łatwiej i szybciej znajdować niepokojące sygnały w wynikach badań.

Ale Deep Mind po raz pierwszy zderzył się tu z problemem ochrony prywatności i dostępu do danych. Żeby AI stała się lekarzem doskonałym, trzeba było ją wyszkolić – nakarmić strumieniem danych z kartotek milionów pacjentów brytyjskiej służby zdrowia NHS. Suleyman obdił się tu od ścian.

Łatwiej poszło z innym praktycznym zastosowaniem. Sztuczna inteligencja Deep Mind nauczyła się przewidywać kształty, w jakie zawijają się łańcuchy białek, podstawowy budulec życia.

„Życie jest formą istnienia białka...” – pisała Agnieszka Osiecka i nie ma w tym wie-

le przesady. A o tym, jak działają i co robią białka decyduje ich struktura 3D. Dekady zajęło naukowcom opisanie tylko niewielkiej liczby białek, tymczasem program AlphaFold 2 błyskawicznie ustalił trójwymiarowe struktury prawie wszystkich 20 tys. białek spotykanych w ludzkich komórkach i tkankach. Dwa lata później skompletował przewidywane kształty ponad 200 mln białek, wszystkich, jakie znamy dziś na Ziemi.

Naukowcy z DeepMind szkolili swoją AI na tysiącach znanych struktur białek, w czym pomogły dane z Europejskiego Laboratorium Biologii Molekularnej, międzyrządowej organizacji badawczej, finansowanej ze środków publicznych.

AlphaFold stał się podstawowym narzędziem dla setek tysięcy naukowców w laboratoriach i na uniwersytetach na całym świecie. Umożliwia m.in. projektowanie szczepionek, leków i nowych terapii. Najnowsza umożliwia także modelowanie innych kluczowych biomolekuł, w tym kwasów nukleinowych (DNA i RNA).

Podobne samouczące się systemy od kilku lat wkraczają do naszego życia, znajdują się w produktach, usługach i urządzeniach, z których korzystamy każdego dnia. Systemy uczenia głębokiego szukają nowych leków, analizują wyniki badań lekarskich i stawiają diagnozy, zarządzają ruchem ulicznym i sieciami energetycznymi, kierują samochodami i optymalizują trasy żeglugowe, modelują klimat i przewidują reakcje rynków finansowych. Za kilka lat modele AI będą w stanie rozmawiać, rozumować i działać w tej samej rzeczywistości, w której funkcjonują ludzie. Staną się organicznie wplecione w naszą tkankę społeczną.

Nowe narzędzia otwierają możliwości, z których wciąż nie do końca zdajemy sobie sprawę.

– Jeśli sztuczna inteligencja wykorzysta zaledwie ułamek swojego potencjału, następna dekada będzie najbardziej produktywna w historii ludzkości – mówi Suleyman.

Oczywiście AI można zastosować także w złych celach, np. do stworzenia broni biologicznej, dezinformacji i deep fake’ów. Także do planowania i wygrywania wojen, tyle że już tych prawdziwych, a nie między fikcyjnymi rasami w wymyślonych galaktykach gry wideo.

AI zalewa świat niczym fala tsunami

Gdy wizjonerzy AI przedstawiali świetlaną przyszłość, powiększała się grupa ekspertów, którzy byli zaniepokojeni błyskawicznym i niekontrolowanym wzrostem możliwości AI.

– Ludzie często przeocząją kluczowy fakt: to, że jest ona wzmacniaczem siły. Odzwierciedla ludzkie mocne i słabe strony. Największe ryzyko wynika z tego, że może zostać wykorzystana przez złych ludzi – twierdzi Suleyman i nie jest w tym odosobniony.

Słynny kosmolog Stephen Hawking mówił na konferencji Web Summit w Lizbonie w listopadzie 2018 roku: „Sukces w stworzeniu skutecznej sztucznej inteligencji może być najdonioślejszym wydarzeniem w historii naszej cywilizacji. Albo najgorszym. Po prostu jeszcze tego nie wiemy”.

A kiedy się dowiemy? Problem polega na tym, że rozwój nowej technologii jest tak błyskawiczny, że ta wiedza może dotrzeć do nas za późno.

AI rozprzestrzenia się i zalewa świat niczym fala tsunami.

Mustafa Suleyman przekonuje w swojej książce, że ta ekspansja nie jest niczym nowym. Każda podstawowa technologia, jaką wcześniej wynaleziono – od kilofów po plugi, ceramikę po fotografię, telefony i samoloty – z biegiem czasu staje się tańsza i łatwiejsza w użyciu i rozprzestrzenia się szeroko. Tak było z prasą drukarską i książkami, silnikiem spalinowym, czy internetem.

– Jednym z kluczowych wzorców, jakie obserwujemy w przypadku sztucznej inteligencji, jest to, że innowacje, które w chwili pojawienia się są bardzo trudne do wdrożenia lub kosztowne, po chwili szybko i szeroko się rozprzestrzeniają. Stają się znacznie tańsze i bardziej dostępne dla szerokiego grona osób – mówi Suleyman.

Dodaje, że rozwój AI wspomagają bardzo silne bodźce geopolityczne, komercyjne, akademickie i badawcze.

– Nie ma łatwego sposobu, aby ktokolwiek nagle zamknął sztuczną inteligencję w pudełku albo pokierował jej kierunkiem – mówi.

Wyścig napędza rywalizacja między państwami. USA boją się, że zostaną wypędzone przez Chiny, Europa nie chce zostać w tyle.

Biznes traktuje nową technologię jak być albo nie być. Kto się nie pospieszy, przepadnie, nie zgarnie sutej premii dla zwycięzcy. Firma, która jako pierwsza wprowadza nowy produkt, staje się długofalowym liderem rynku tylko dlatego, że była pierwsza. Liczy się czasem nawet różnica tygodni.

Takie firmy jak Microsoft, Google, Amazon czy Meta doskonale zdają sobie z tego sprawę, bo każda z nich wyrosła po wygranej w podobnym wyścigu.

„Firmy z Doliny Krzemowej, które kiedyś z wielką ostrożnością podchodziły do potencjału sztucznej inteligencji, dziś odblokowały hamulce” – pisał rok temu „New York Times”. Wcisnęły pedał gazu pod wpływem szoku, jakim było publiczne udostępnienie w internecie ChataGPT w listopadzie 2022.

To druga data, kandydująca do początku ery AI.

ChatGPT należy do generatywnych AI, tzw. dużych modeli językowych, które są wytrenowane na ogromnych zbiorach danych i potrafią generować teksty, kody, obrazy, nawet wideo, a także konwersować z ludźmi.

„Kluczem do przyszłości informatyki jest zdolność prowadzenia konwersacji. Każda interakcja z komputerem jest dziś swoistą rozmową, tyle że używającą przycisków, klawiszy i pikseli do przekładania ludzkich myśli na kod czytelny dla maszyny. I oto ta bariera właśnie zaczyna się kruszyć.

Wkrótce maszyny będą rozumieć nasz język. To była i wciąż jest niezwykła perspektywa” – pisze Suleyman.

To perspektywa, dodajmy, która dosłownie oszołomiła wielkie korporacje.

„New York Times” cytuje obecnych i byłych pracowników Microsoftu i Google’a, a także wewnętrzne dokumenty obu firm, które pokazują, że niezwykły sukces ChataGPT skłonił je do podjęcia ryzyka i wypuszczenia nowych modeli językowych, mimo że programiści ostrzegali, że generują one błędne, nieprawdziwe, a nawet niebezpieczne treści. Co więcej, nikt nie potrafił wyjaśnić, dlaczego dany model generuje takie, a nie inne odpowiedzi, czasem myli się i oszukuje, czyli – jak zwykli mówić eksperci do AI – halucynuje. Nie było czasu na testy, kosztowne i pochłaniające sporo mocy obliczeniowych.

Jedno jest dzisiaj pewne: obie firmy były świadome tego, że ich chatboty mogą zachwiać podstawami nowoczesnych społeczeństw. W jaki sposób?

„Zalegą internet dezinformacją, wywrócą do góry nogami rynek pracy, w rękach takich ludzi jak Władimir Putin mogą poważnie zagrozić ludzkości” – ostrzegał poniewczasie Geoffrey Hinton, pionier w dziedzinie badań maszynowego uczenia sztucznej inteligencji, który w zeszłym roku odszedł z Google’a.

Latami wbudowywane w kulturę firm etyczne zasady, które miały pilnować, by nowatorskie technologie nigdy nie zaszkodziły ludziom, zeszedł na dalszy plan. Priorytetem stała się przewaga w wyścigu o prymat w przełomowej technologii.

Bez odzewu pozostał apel ponad tysiąca badaczy i liderów branży, wśród nich Ełona Muska i współzałożyciela Apple’a Steve’a Wozniaka, którzy wiosną 2023 r. wezwali, by na pół roku przerwać prace nad rozwojem nowych systemów AI. Opublikowali list, w którym ostrzegają, że stanowi ona „poważne zagrożenie dla społeczeństw i ludzkości”.

Można by tu dodać: historia się powtarza.

Czy damy radę powstrzymać globalne ocieplenie
Fale rewolucji technologicznych w przeszłości także wiązały się z negatywnymi skutkami, którym dopiero poniewczasie starano się zaradzić.

Kiedy kilkanaście tysięcy lat temu w neolicie nauczyliśmy się uprawiać ziemię i zaczęliśmy pędzić osiadły tryb życia, rozwój cywilizacji przyspieszył, ale ta wielka zmiana z początku wcale nie polepszyła warunków życia. Przeciętny przedstawiciel kultury zbieracko-łowieckiej miał bardziej zróżnicowaną dietę i spożywał więcej białka i kalorii niż ludzie z późniejszych kultur osiadłych. Co więcej, w wielkich skupiskach ludzkich łatwiej roznosiły się choroby. Osiedłość oznaczała więc uboższą dietę, więcej chorób i – przynajmniej z początku – krótsze życie.

Podobnie złudne były początkowo zyski rewolucji przemysłowej w XIX wieku. Na starcie spowodowała ona wielki i niekontrolowany exodus ze wsi do miast. Jednak życie przeciętnego mieszczucha było godne pożałowania – toczyło się w ciemnych suterenach, pośród tysięcy ton odpadków, końskiego łajna, zdechłych psów, kotów i szczurów, powodzi ścieków, szlamów i trujących substancji. W tym mało higienicznym świecie co chwila wybuchały epidemie cholery, grypy, tyfusu, gośćca, szkarlatyny, dyfterytu i ospy, zabijając dziesiątki tysięcy ludzi.

Dzisiaj walczymy z odroczonymi skutkami wykładniczego wzrostu, jaki ludzkość przechodzi w ostatnich dwóch stuleciach, wywołanych emisją gazów cieplarnianych zmian klimatu. Dzieci, które się teraz rodzą, prawdopodobnie będą żyły średnio krócej niż ich rodzice, po raz pierwszy od wielu pokoleń. Nie jest wcale pewne, czy damy radę powstrzymać globalne ocieplenie i jego katastrofalne następstwa. Ścigamy się z cza-

sem i jak na razie przegrywamy, ale od katastrofy dzieli nas prawdopodobnie jeszcze dekada. Wciąż ludzimy się, że zdążymy znaleźć rozwiązania – technologiczne, ekonomiczne, społeczne.

Fala AI wzbiera dużo gwałtowniej i jeśli odpowiednio wcześniej nie zaopatrzymy tej technologii w bezpieczniki, to gdy się ona wynaturzy, na korektę i wyjście z ostrego wirażu będzie za późno.

We wstępie do „Nadchodzącej fali” Mustafa Suleyman opisuje prezentację, jaką kilka lat po założeniu Deep Mind przygotował dla grona kilkunastu założycieli najbardziej wpływowych firm. Prezesom zarządów i specom od technologii pokazywał zestaw slajdów obrazujących potencjalne długofalowe skutki gospodarcze i społeczne wynikające z rozwoju sztucznej inteligencji.

Przekonywał m.in. że AI niesie wiele zagrożeń wymagających działań wyprzedzających, może doprowadzić do masowych zwolnień w całych sektorach gospodarki, zagrożeń prywatności, niebywalej koncentracji władzy, lawiny dezinformacji, czy posłużyć jako cyberbroń do szukania luk w zabezpieczeniach coraz bardziej uzależnionego od cyfrowych systemów świata.

Sluchacze przyjęli to z powątpiewaniem, wskazali, że AI wywoła raczej nowy popyt, stworzy nowe miejsca pracy, wyposaży ludzi w nowe kompetencje i sprawi, że będą jeszcze bardziej produktywni. Tak – przyznawali – istnieją pewne ryzyka, ale nie takie znowu straszne, w razie czego, poradzi my sobie. Przecież zawsze znajdowało się jakieś rozwiązanie.

– Tę powszechną reakcję, którą wtedy obserwowałem, nazwałem pułapką niechęci do pesymizmu. To błąd poznawczy pojawiający się wtedy, gdy ogarnia nas lęk przed konfrontacją z potencjalnie nieprzyjemnymi faktami – mówi Suleyman.

Naukowcy przestrzegają
Wie, co mówi, bo w Deep Mind odpowiadał za etyczną stronę technologii. Był też w 2016 r. jednym z założycieli organizacji non-profit „Partnerstwo na rzecz sztucznej inteligencji”, w której znaleźli się przedstawiciele najważniejszych graczy na rynku, m.in. Apple’a, Microsoftu, Google’a, Facebooka i Amazona, a która miała promować dobre praktyki i odpowiedzialne wykorzystanie sztucznej inteligencji. W istocie okazała się jednak tylko listkiem figowym, osłaniającym bezlitosne reguły kapitalizmu, które jak na razie rządzą biznesem AI.

Jego książka to apel o to, abyśmy nie wypierali zagrożeń i świadomie stworzy-

li mechanizmy, dzięki którym będziemy mieli zdolność monitorowania, ograniczania, kontrolowania, a potencjalnie nawet wycofywania się z używania AI (a także narzędzi biologii syntetycznej, która wraz z AI tworzy wyjątkowo niebezpieczną mieszkankę). Suleyman nazywa to zdolnością do powstrzymywania technologii. Celem nie jest zatrzymanie technologii, ale zapewnienie jej bezpieczeństwa i kontroli nad nią.

Jednocześnie przyznaje, że w dziejach ludzkości właściwie nie ma przykładów, na których można byłoby się wzorować. Technologie ogólnego przeznaczenia zwykle rozprzestrzeniały się w sposób niekontrolowany, a potencjalne zle skutki ujawniały się w praniu.

– Gdy zbudowaliśmy fabryki, były to z początku ponure i niebezpieczne miejsca pracy. Gdy trafiliśmy na ropę, w jedno stulecie zanieczyściliśmy całą planetę. Ale teraz może być inaczej, ponieważ wciąż jesteśmy na etapie projektowania i budowania sztucznej inteligencji, mamy więc potencjał i szansę, aby zrobić to lepiej, radykalnie lepiej – mówi Suleyman. – Wciąż stoimy za sterami, możemy budować taką AI, jaką chcemy. Jeśli więc jej twórcy będą podzielać demokratyczne wartości – a np. ja jestem im gorąco oddany – to zbudują AI, która poszerzy wolności obywatelskie i umocni globalny porządek.

– Ale potrzeba też silnych regulacji w prawie i zabezpieczeń umieszczanych w technologii – dodaje, bo jednak nie jest już tak naiwny, by wierzyć w same dobre intencje twórców i korporacji IT.

Suleyman proponuje z grubsza coś na podobieństwo międzynarodowego układu o nierozprzestrzenianiu broni jądrowej, bo najważniejszymi aktorami zdolnymi do trzymania w ryzach technologii są państwa narodowe, które są równocześnie najbardziej zagrożone nadchodzącą falą. To jedno nie wystarczy. Jego zdaniem trzeba umieścić bezpieczniki na wielu poziomach – poczynając od kodów komputerowych, systemów państwowego nadzoru, obowiązkowych audytów rządowych, testów bezpieczeństwa, zachęt biznesowych i podatkowych, a kończąc na masowych ruchach społecznych, wymuszających na rządach korzystne regulacje.

Żeby zminimalizować egzystencjalne zagrożenie, powinniśmy także unikać wyposażania systemów AI w potencjalnie groźne cechy, takie jak:

- * Autonomia;
- * Zdolność do korekty własnego kodu;
- * Zdolność do samoreplikacji;

– Nie możemy dopuścić do tego, aby takie potężne zdolności w jakiś sposób pozostawały poza radarem – mówi Suleyman.

Problem w tym, że te propozycje na razie są wołaniem na puszczy. W porównaniu z ogromem potencjalnych zagrożeń prowadzone dziś badania nad bezpieczeństwem i etyką AI to kropla w morzu potrzeb. Jak zauważa Suleyman, grono badaczy bezpieczeństwa AI wzrosło z około stu ekspertów w najlepszych laboratoriach świata w 2021 roku do trzystu-czterystu w 2022 r. Jest to szokująco mała liczba, uwzględniając to, że obecnie kilkadziesiąt tysięcy badaczy zajmuje się rozwojem systemów AI.

20 maja pismo „Science” opublikowało list grupy naukowców, wśród nich laureaci Nagrody Turinga – Yoshua Bengio i Geoffrey Hinton, a także znany historyk Yuval Noah Harari, którzy tak jak Suleyman apelują o ściślejszą kontrolę AI, podając konkretne kroki do podjęcia:

– Firmy technologiczne i agencje finansujące badania powinny być zmuszone inwestować w bezpieczeństwo sztucznej inteligencji co najmniej jedną trzecią swoich budżetów przeznaczanych na badania i rozwój AI.

– rządy powinny narzucić bardziej rygorystyczne standardy i oceny bezpieczeństwa sztucznej inteligencji

– w szczególności powinny powołać szybko działające organy nadzorujące AI (takie jak na przykład FDA, czyli Agencja Żywności i Leków, która dopuszcza leki na rynek). Firmy zajmujące się sztuczną inteligencją musiałyby udowodnić, że?? ich systemy nie mogą wyrządzać szkód.

„Na pierwszy rzut oka powstrzymanie tej technologii nie wydaje się możliwe. A jednak dla dobra nas wszystkich musi być możliwe” – pisze Suleyman. Ale pobrzmiewa w tym jednak bezradność.

Jeśli bowiem mówi to jeden z najlepiej ustosunkowanych i poinformowanych graczy w tej dziedzinie – były wiceprezes Google’a ds. AI, a obecny główny specjalista od sztucznej inteligencji w Microsoftzie – to chyba czas zacząć się bać. ●



„Nadchodząca fala. Sztuczna inteligencja, władza i najważniejszy dylemat ludzkości w XXI wieku”

Mustafy Suleymana i Michaela Bhaskara ukazała się wydawnictwie „Szczeliny”

REKLAMA

Kraj/34320309

**HYUNDAI**
Official Partner



Co Jest Grane
Festival LAB
14—15.06

14—15 czerwca
Centrum Sztuki Współczesnej Zamek Ujazdowski | Warszawa

Na festiwal zaprasza Was marka Hyundai



Agnieszka Jucewicz

Uzy nie za duzo mówimy o zdrowiu psychicznym?" - takie pytanie postawiła niedawno dziennikarka „The New York Times’a” Ellen Barry po tym, jak przyjrzała się badaniom wskazującym na potencjalnie negatywne skutki szeroko pojętej psychoedukacji.

To ciekawe pytanie w niektórych środowiskach budzi odruchowe oburzenie. I wątpię, żeby szybko pojawiło się na przykład jako tytuł wystąpienia na którejś z licznych konferencji poświęconych zdrowiu psychicznemu w Polsce, choć w kuluarach już zdarza się je słyszeć.

Echo tego pytania usłyszałam w ciągu ostatnich dwóch lat nie raz. Choćby w wypowiedzi psychoterapeutki Joanny Sadzawickiej-Olczak: „Pojęcia medyczne, terapeutyczne przenikają do głównego nurtu od kiedy zaczęto leczyć ludzi psychoterapią, czyli od jakiś stu lat. Jednak coraz częściej używane są do opisu zjawisk, które ich nie potrzebują. I to jest niepokojące.”

Czy u brytyjskiej neurolożki Susan O’Sullivan: „Niepokoi mnie, że coraz częściej traktujemy każde ludzkie cierpienie w kategoriach medycznych. W jakimś sensie łatwiej jest dziś powiedzieć: „Mam de-

CIEMNA STRONA PSYCHOEDUKACJI

W szkole zaserwowano jedenastolatkom przegląd zaburzeń psychicznych i osobowości – dziewczynka uznała, że ma schizofrenię.



PHOTO: GETTY IMAGES / KLAUS VEDFELT

Dziś mówi się o rodzicach- kosiarkach, którzy usuwają sprzed dzieci wszelki stres i przykrości.

Podobne poszerzenia znaczeń można prześledzić w przypadku takich terminów, jak „uzależnienie”, „depresja”, „narcyzm”, czy „napady paniki”.

Jaki może być tego skutek? Na przykład taki, że osoby w gruncie rzeczy zdrowe i jakoś radzące sobie zaczęły postrzegać siebie jako osoby zaburzone, wymagające profesjonalnej pomocy.

W odniesieniu do pojęcia „trauma” Haslam tłumaczy to tak: „Słowa jakich używamy do opisanego i nadania sensu ludzkiemu doświadczeniu mają konsekwencje. Konsekwencje traktowania osobistego wydarzenia w historii życia jako traumy z pewnością będą inne niż traktowanie go jako kryzysu, tragicznego błędu, wyzwania czy pouczającego doświadczenia.

Jak napisał Ian Hacking: „każdy z nas staje się nową osobą, gdy na nowo opisujemy przeszłość”. I ludzie, którzy wierzą, że noszą głęboką i określającą ich ranę psychiczną, rzadziej mają nadzieję na przyszłe wyzdrowienie, rzadziej rozpoznają i wykorzystują swoją sprawczość”.

Czy to znaczy, że osób strauumatyzowanych tak naprawdę nie ma? Absolutnie, nie. Czy nie kryje się za tym próba zakwestionowania, czy też zbagatelizowania czyjegoś cierpienia? Zupelnie nie, jest w tym raczej chęć dopasowania do tego cierpienia adekwatnego wsparcia, które niekoniecznie musi od razu oznaczać terapię, czy farmakoterapię.

Czy mówiąc to nie wracamy do starego i jakże niesprawiedliwego pokrzykiwania, że „każdy jest kowalem własnego losu”, a więc „trzeba się wziąć garść”? Przeciwnie, w nawoływaniu do przywrócenia pojęciom ich znaczeń jest także troska. Bo jeszcze jedną konsekwencją poszerzania pojęć może być to, że osoby, którym głębokie cierpienie psychicznie uniemożliwia funkcjonowanie, a czasem wręcz życie, znikną nam z pola widzenia.

Susan O'Sullivan tak mówiła o tym w wywiadzie dla „Wolnej Soboty”: „Powszechność rozpoznania w jakimś sensie umniejsza cierpienie tych osób, może też ograniczyć im na przykład dostęp do leczenia.”

Sprowadzanie też każdego cierpienia do kryzysu psychicznego sprawia, że tracimy z horyzontu systemowe problemy, choćby kwestię nierówności społecznych, fatalną politykę mieszkaniową, czy prekaryjne warunki pracy, które te trudności i to cierpienie mogą generować.

Kryzys staje się wtedy wyłącznie sprawą człowieka, który się z nim zmagają, a kluczowe staje się znalezienie dla niego pomocy. Oczywiście, jest to bardzo ważne, natomiast przez to, że systemowe braki pozostają nietknięte, kryzysy tylko się nawarstwiają.

A przecież trudno jest dyskutować, dlaczego w ostatnich latach tak wzrosły rozpoznania zaburzeń lękowych i depresji na przykład, bez dotykania tego co wokół, czyli kryzysu klimatycznego, humanitarnego, zagrożenia związanego z konfliktem zbrojnym, inflacji czy obłędnego tempa życia.

Odpowiednie dać rzeczy słowo

W zeszłym roku w „New Ideas in Psychology” pojawił się artykuł brytyjskich psychologów Lucy Foulkes i Jacka L. Andrews, o ciemnej stronie psychoedukacji.

Badacze pisali we wstępie: „W ciągu ostatniej dekady, w świecie zachodnim, podejmowano szeroko zakrojone wysiłki mające na celu zwiększenie świadomości społecznej na temat problemów zdrowia psychicznego.

Na przykład w Wielkiej Brytanii – w telewizji, w radio i w internecie – promowa-

no kampanie społeczne; w szkołach, na uniwersytetach i w miejscach pracy miały miejsce interwencje dotyczące zdrowia psychicznego; a celebryci i inne osoby publiczne opowiadały o swoich doświadczeniach związanych z tego rodzaju trudnościami.

Te zbiorowe działania nazywamy „wysiłkami na rzecz podnoszenia świadomości na temat zdrowia psychicznego” i, przy najmniej częściowo, odniosły one sukces pod względem ograniczenia napiętnowania (zaburzeń psychicznych – red.), poprawy wiedzy na temat zdrowia psychicznego i zwiększenia chęci szukania pomocy.

W tym samym okresie wzrosła liczba zgłaszanych problemów ze zdrowiem psychicznym, w tym lęków, depresji, zaburzeń odżywiania i samookaleczeń. Istnieje wiele wyjaśnień tego wzrostu – w tym zwiększone korzystanie z mediów społecznościowych, wpływ polityki oszczędnościowej, zwiększone nierówności w dochodach, presja edukacyjna u młodych ludzi, oraz liczne trudności spowodowane pandemią Covid-19. W tym artykule przedstawiamy hipotezę, która mówi, że paradoksalnie akcje uświadamiające są jeszcze jednym czynnikiem stojącym za wzrostem problemów ze zdrowiem psychicznym.”

Andrews tak rozwija tę hipotezę: „Z rosnącej świadomości na temat zdrowia psychicznego wynikają głównie dwie rzeczy. Po pierwsze- dzięki temu potrafimy lepiej zidentyfikować, nazwać i zrozumieć różne problemy psychiczne. I to jest bardzo dobre.

Ale po drugie, możemy zacząć interpretować różne przejściowe trudności- na przykład obniżony nastrój, czy codzienne, niewygodne emocje – jako problemy związane z załamaniami zdrowia psychicznego. Uznać je za patologiczne, choć tak naprawdę w danych okolicznościach są adaptacyjne. Na przykład lęk, czy poczucie rozbięcia, kiedy pokłóćmy się z kimś bliskim, są czymś normalnym.

Problem zaczyna się, kiedy ten stan się przedłuża i uniemożliwia dobre funkcjonowanie. Co się dzieje dalej? Kiedy coraz więcej osób zaczyna interpretować przejściowe trudności jako kryzysy psychiczne i to zgłaszać – wysiłki związane z informowaniem i edukowaniem na ten temat się zwiększają.

Co dla części osób jest korzystne, bo na przykład decydują się sięgnąć po pomoc, ale dla innych – nie, ponieważ ta grupa, znów, zaczyna postrzegać zwykłe, ludzkie problemy jako kryzys. I mamy efekt błędnego koła.”

Dodatkowy kłopot pojawia się wtedy, kiedy akcje uświadamiające nie idą w parze z dostępem do pomocy. Pytam badacza, czy moja intuicja jest słuszna. – Dokładnie tak się może dziać – potwierdza. – w naszej hipotezie to też uwzględniliśmy, że może dojść do pewnego rodzaju samospelniającej się przepowiedni.

To znaczy osoby, które postrzegają trudności przez jakie przechodzą jako poważny kryzys psychiczny, właśnie z braku dostępu do profesjonalnej pomocy, mogą zacząć mieć realne problemy psychiczne. Bo na przykład ich poziom lęku będzie tylko rósł.”

Jakie jest z tego wyjście?

– Na pewno, warto wprowadzić regulacje dotyczące kampanii społecznych wokół zdrowia psychicznego. Nie wiem, jak jest w Polsce, ale w Wielkiej Brytanii w zasadzie wszystko jest dozwolone. Fundacje, instytucje, czy inne podmioty realizujące takie kampanie nie mają żadnych wytycznych – wyjaśnia Andrews. I zaznacza: – Jestem pewien, że wszystkim przyświeca-

ją dobre intencje, ale to nie wystarczy. Potrzebujemy przemyślanych wskazówek, w oparciu o porządne badania.

Przydałaby się też pogłębiona dyskusja o tym, jak rozmawiamy o zdrowiu psychicznym, w jaki sposób używamy pewnych słów i pojęć. Tak, żebyśmy przestali mówić, kiedy coś nas zasmuca, że jesteśmy w depresji, czy że coś nas strauumatyzowało, kiedy się zdenerwowaliśmy.

Albo, że mamy zaburzenia obsesyjno-kompulsyjne, jeśli lubimy porządek i rutynę. Nie, to poważne zaburzenie psychiczne, które czasem sprawia, że ludzie nie są w stanie wyjść z domu albo podjąć pracy. Na marginesie, proszę zauważyć, że samo sformułowanie „zdrowie psychiczne” z jakiegoś powodu dla wielu osób stało się synonimem „złego stanu zdrowia psychicznego”.

#depresja

– W londyńskim metrze jakiś czas temu można było trafić na plakaty z wylistowanymi objawami zaburzeń lękowych, z dopiskiem „Jeśli występuje u ciebie jeden z nich, poszukaj pomocy. Natychmiast!”.

Jeden z tych objawów to było, na przykład, „poczucie nadmiernego zdenerwowania” albo „poczucie dyskomfortu w nowej sytuacji społecznej.” Większość z nas tak się czuje w takiej sytuacji, nie oznacza to jednak, że wszyscy cierpimy na ciężkie zaburzenie lękowe – opowiada Andrews.

Media społecznościowe umożliwiły rozprzestrzenianie alarmistycznego przekazu i to na dużą skalę. Filmów, czy „rolek” pod tytułem „Pięć najważniejszych objawów ADHD”, „Trzy najczęstsze objawy depresji”, czy „Masz te objawy? To może być zaburzenie afektywno-dwubiegunowe” jest masa i cieszą się ogromną popularnością, bo osoby przeżywające różne trudności, szczególnie młode, często z braku alternatyw, właśnie w mediach społecznościowych szukają podpowiedzi i wsparcia.

Autorami takich treści w znaczącej większości nie są profesjonalści (choć to też niestety nie jest gwarancją jakości przekazu), a influencerzy i influencerki, którzy może i mają dobre chęci, ostatecznie jednak na kryzysie psychicznym zbijają kapitał, choćby ten w postaci „polubień” i nowych obserwatorów.

No i nikt tych treści nie weryfikuje. Są za to strony, które podpowiadają, jak najlepiej sprzedać „psychologiczny kontent”. Według Tophashtags.com na Tik-Toku do filmików z hasztagiem depresja najlepiej dodać następujące: #zdrowie #zdrowiepsychicznie #mentalhealthmatters #zdrowiepsychicznejestwazne #motywacja #trennerpasji #dlaciebie #dc #przejmowanie #depresjazabija. A na Instagramie: #opisy #zycie #cytat #uczucia #cytaty #psychologia #autorskie #samobójstwo #wiersz #ból.

Mindfulness nie dla każdego

Andrews zauważa, że kolejną ziemią niczyją są interwencje dotyczące zdrowia psychicznego prowadzone w szkołach.

W Wielkiej Brytanii, podobnie zresztą jak w Polsce, nie jest uregulowane – kto, do kogo, w jaki sposób, jakim językiem – ma mówić o zdrowiu psychicznym.

– Właściwie w każdej brytyjskiej szkole realizuje się w tej chwili jakiś program, czy projekt na rzecz zdrowia psychicznego- mówi. – Nauczyciele, dyrektorzy czują, że powinni to robić. Wymaga też od nich tego Ofsted (Office for Standards in Education, Children's Services and Skills- brytyjska agencja rządowa ds. edukacji).

Często wygląda to tak, że nauczyciel po prostu znajduje coś w sieci i na podstawie tego prowadzi lekcję, która ma wspierać

zdrowie psychiczne. Albo słyszy, że zajęcia z „mindfulness” mogą być pomocne, choć już wiemy, że niekoniecznie.

To znaczy, takie zajęcia bywają pomocne w przypadku dorosłych. Zwłaszcza, jeśli prowadzone są „jeden na jeden” i kiedy ktoś się na nie dobrowolnie zdecydował. Ale prowadzenie ich w grupie dzieci, które ich nie wybrały, może przynieść odwrotny skutek. Wiemy też z badań, że absolutnie nie powinny z nich korzystać na przykład osoby z zespołem stresu pourazowego. - mówi Andrews.

W 2022 roku grupa brytyjskich psychologów opublikowała raport z przełomowego badania dotyczącego treningu uważności („mindfulness”) wprowadzonego w wielu brytyjskich szkołach. Badaniem objęto 84 placówki i ponad osiem tysięcy dzieci, które uczestniczyły w dziesięciu lekcjach, od 30 do 50 minut każda, ucząc się, jak obserwować fizyczne doznania z ciała, bieżące myśli i oddech.

Wyniki raportu są zaskakujące, żeby nie powiedzieć druzgocące. Okazało się, że taki program adresowany do wszystkich uczniów nie dość, że ogólnie nie poprawił ich stanu psychicznego to jeszcze po jego zakończeniu osoby, które wyjściowo miały jakieś problemy – na przykład zaburzenia lękowe z napadami paniki, czy depresję – miały się gorzej.

Jak napisała Ellen Barry: „Naukowcy biorący udział w badaniu spekulowali, że takie programy szkoleniowe „uwrażliwiają na niepokojące myśli”, zachęcając uczniów do siedzenia z mroczniejszymi uczuciami, ale jednocześnie nie przynoszą żadnych rozwiązań, zwłaszcza w przypadku problemów społecznych takich jak rasizm czy ubóstwo”.

Andrews dodaje: – Przed wprowadzeniem tych zajęć nikt nie „prześwietlił” uczniów pod kątem tego, czy nie mają przypadkiem zespołu stresu pourazowego. Nie pytano ich też, jak się mogą czuć z tym, że kiedy zamkną oczy, żeby skupić się na oddechu ich koledzy i koleżanki mogą się im przyglądać, i tak dalej.

W zajęciach brały udział całe klasy bez względu na to, jaka atmosfera w nich panowała i jaki był w nich na przykład poziom przemocy rówieśniczej. Trudno sobie wyobrazić, że ktoś kto siedział obok swojego oprawcy mógł w pełni z takiego treningu skorzystać.

Psycholog Lucy Foulkes powiedziała dziennikowi „The New York Times”: „Zajęcia z mindfulness wdrożono w wielu szkołach. Organizacje, które je oferują, zarabiają na tym. I bardzo trudno jest się przebić z naukowym przekazem na ich temat.”

Lepiej pograć w piłkę

Niedługo po opublikowaniu tego raportu Andrews przedstawił wyniki swoich badań. Przeprowadzono je na ponad trzech tysiącach uczniów australijskich szkół, którzy uczestniczyli w zajęciach opartych na założeniach terapii behawioralno – poznawczej, 40 minut co tydzień przez sześć tygodni.

Uczniowie, w dużym skrócie, uczyli się jak przeformułować nieadaptacyjne przekonania i myśli na temat siebie i świata na bardziej sprzyjające i jak w rezul-

tacie zmienić swoje zachowanie. Badacze wykazali, że po skończonym programie uczestnicy zajęć mieli się gorzej od uczniów, którzy nie brali w nich udziału, i zgłaszali więcej negatywnych objawów.

Pytam Andrews, czy może dzięki takim zajęciom dzieci uczą się rozpoznawać różne stany i emocje, również te nieprzyjemne, a „pogorszenie” wynika ze zwiększonej świadomości.

Odpowiada: – Rzeczywiście, wiedza uczestników tych zajęć o zdrowiu psychicznym się zwiększyła, ale to nie miało wpływu na nasilenie objawów. Sprawdziiliśmy to. Powody mogą być inne, na przykład ko- ruminacje.

Ruminacje to nawracające, obsesyjne myśli i wątpliwości, które dotyczą negatywnych wydarzeń albo postrzeganych jako takie.

– Nastolatki robią to też w grupie rówieśniczej – wyjaśnia Andrews. – Po takich zajęciach mają większą skłonność, żeby wspólnie „wałkować” negatywne myśli, co może je nasilać. Zwłaszcza, jeśli w zasięgu ręki nie widać pomocnych rozwiązań.

tencjalnie więcej. Zastanawiamy się wspólnie od czego to jeszcze może zależeć: od wsparcia, jakie uczniowie otrzymują w domu, od podejścia do zdrowia psychicznego w ich środowisku, od ekonomicznej sytuacji rodzin.

Zanim powstaną jasne wytyczne, co w takich interwencjach jest bezpieczne, co się sprawdza, a co nie, jeszcze wiele czynników należałoby przeanalizować. – Póki co, wydaje się, że chcąc dobrze, trochę się z tym wszystkim pospieszyliśmy- podsumowuje psycholog.

W kwietniu tego roku psychologowie Carolina Guzman- Holst, Rowan Streckfuss Davis, oraz Jack L. Andrews i Lucy Foulkes opublikowali artykuł pt. „Scoping review: Potential harm from school- based group mental interventions.”

Przeanalizowali w nim 117 raportów z psychologicznych interwencji szkolnych i doszli do wniosku, że niecałe 9% z nich wywołało jakieś negatywne skutki.

Kiedy pytam Andrews, czy bicie na alarm nie jest w takim razie trochę na wyrost, odpowia-

wieśniczą, w innych – nie. Okazało się, że w tych pierwszych w ciągu roku poziom konfliktu udało się zmniejszyć o 30%. Co o tym zdecydowało? Badacze zaprosili do realizacji programu uczniów, którzy byli lubiani i cieszyli się autorytetem wśród rówieśników. – W psychologii to naprawdę imponujący wynik- podkreśla Andrews.

ADHD czy demoralizacja

Spytałam Cezarego Żechowskiego, psychiatrę ze Środowiskowego Centrum Zdrowia Psychicznego dla Dzieci i Młodzieży na Woli, który od lat pracuje z nastolatkami, czy nie uważa, że u nas też za dużo się już mówi o zdrowiu psychicznym?

– Decydujące jest to, jakim językiem o tym rozmawiamy- mówi. – Język, który jest głównie specjalistyczny przesuwając tok tej dyskusji w kierunku zmedykalizowanego- technicznego, a odrywa od doświadczenia konkretnego człowieka. Od jego cierpienia, od tego, że jest ono zawsze jakoś powiązane z jego historią osobistą, a czasem i społeczną. Co jest nie tylko redukujące, ale może być też niebezpieczne.

bardziej, odpowiada bez wahania: – Zmniejszenia potężnej presji edukacyjnej.

Czas poświęcony na zabawę został niezwykle ograniczony. Liczba lekcji często jest olbrzymia, ilość materiału do opanowania – mordercza.

Brakuje też miejsc, gdzie młodzież mogłaby wspólnie spędzać czas w fajny, zdrowy sposób, na przykład klubów zainteresowań, czy osiedlowych świetlic.

Potrzeba zabawy to popęd, czyli system emocjonalno- motywacyjny. Poprzez zabawę z innymi dziecko rozwija swój umysł i kompetencje społeczne. Uczy się budować przyjaźnie, klócić się, godzić. Jeśli ta potrzeba nie zostanie zaspokojona to młodzież znajdzie sobie do jej realizacji inną drogę, na przykład zażywając środki psychoaktywne, które pobudzają te same systemy neurobiologiczne.

Kolejną pilną sprawą według Żechowskiego jest kwestia neuro-różnorodności. Rozpoznań ADHD i autyzmu wśród dzieci i nastolatków przybywa, a ich mózgi inaczej przyswajają informacje.

Przestańmy mówić, kiedy coś nas zasmuca, że jesteśmy w depresji, albo, że mamy zaburzenia obsesyjno-kompulsyjne, jeśli lubimy porządek i rutynę.

Jaki może być inny powód pogorszenia się stanu psychicznego osób biorących udział w zajęciach? – Na przykład taki, że jak ustaliliśmy, stan psychiczny ok. 30% uczestników już na wstępie nie był dobry. A wtedy takie profilaktyczne zajęcia, czyli delikatna interwencja, mogą być traktowane jako terapia.

Budują się wobec nich duże oczekiwania, w związku z czym na koniec niektórzy mogą mieć takie poczucie: „Ok. Jak miałem obniżony nastrój, czy duży lęk tak nadal je mam, czyli te zajęcia nic mi nie dały. Może to oznacza, że mój stan jest beznadziejny? Co w efekcie może prowadzić do pogorszenia.”

Wnioski na przyszłość? – Na pewno nie polecałbym wprowadzania do szkół uniwersalnych interwencji, „dla wszystkich”, dopóki lepiej nie rozpoznamy mechanizmów, które sprawiają, że coś może pójść nie tak.

Nieco lepsze wydają się konkretne zajęcia dla osób z konkretnym problemem. Te pierwsze są często narzucone odgórnie, co też ma znaczenie, jeśli chodzi o ich efektywność. – tłumaczy Andrews. I podkreśla, że planując takie interwencje szczególnie trzeba zwrócić uwagę na te osoby, które już mają jakieś problemy psychiczne.

– Dużą część tej grupy będą stanowić dziewczynki, bo to one częściej dziś zgłaszają tego typu problemy. One też mają większą skłonność do ko-ruminacji.

Czynników, które mogą mieć wpływ na to, że te same zajęcia poprowadzone w jednej szkole, czy klasie spełnią swoją funkcję, a w innej narobią szkód, jest po-

da: – Po pierwsze, te raporty miały bardzo różną jakość, niektóre fatalną. A wśród tych najlepszych, najmniej stronniczych, już 30% wskazało na negatywne efekty jatrogenne (wynikające z podania się danym oddziaływaniom- red.).

Poza tym, proszę zauważyć, że gdybyśmy przeprowadzali badania nad skutecznością jakiejś interwencji dotyczącej raka, na przykład nad nowym lekiem, to gdyby się okazało, że nawet u niewielkiego procenta osób stan się pogarsza, takie badania zostałyby przerwane.

Jak wynika z powyższego artykułu ponad połowa z przeanalizowanych interwencji nie przyniosła żadnego efektu. Tyle czasu – uczniów, nauczycieli, osób projektujących te interwencje, tyle zaangażowania, pieniędzy i nic?

– Wygląda na to, że korzystniej byłoby, gdyby uczniowie, którzy wzięli udział w tych zajęciach, poszli pograć w piłkę albo poszli gdzieś pogadać – mówi Andrews.

– Jedną z przyczyn, że takie interwencje niczego nie wnoszą może być to, że nie są one tworzone we współpracy z młodymi ludźmi. Coraz częściej, na szczęście, się to robi. Na przykład osoby, które projektują interwencję psychologiczną dla danej szkoły, najpierw rozmawiają z uczniami, pytają o ich potrzeby, itd. Ale nie jest to jeszcze powszechna praktyka.

Andrews odsyła mnie do badań psycholog Elisabeth Levy Paluck, która w 2016 roku przeprowadziła eksperyment w 54 amerykańskich szkołach.

W jednym wdrożono program mający zmniejszyć przemocy rów-

Pierwsze programy profilaktyczne zaburzeń odżywiania się wprowadzane w różnych miejscach na świecie, w tym w Polsce, były skoncentrowane właśnie na objawach. Specjaliści chodzili do szkół i opowiadali dzieciom, jak przebiega anoreksja, a jak bulimia, itd.

Z badań przeprowadzonych na zakończenie tych programów, jasno wynikało, że one szkodzą, ilość objawów wśród dzieci się pod ich wpływem zwiększa. Można powiedzieć, że w jakimś sensie te programy „uczyły” dzieci i młodzież tych objawów. Ale wystąpił tam też jeszcze jeden proces – osoby, które brały w nich udział zaczynały się definiować poprzez bardzo wąski zasób specjalistycznej wiedzy, jaką dostały. I taki programów się już dzisiaj nie robi.

W programach drugiej fali informacje o objawach zostały bardzo zredukowane, a więcej się w nich mówiło o tym, jak radzić sobie ze stresem dnia codziennego. – kontynuuje psychiatrę. – I ta fala była obojętna. To znaczy nie miała wpływu na wzrost zaburzeń odżywiania się.

No i wreszcie pojawiły się programy trzeciej fali, które w dużym stopniu koncentrowały się na przekazach medialnych. Na tym, jak te przekazy potrafią zniekształcać rzeczywistość, a przez to i naszą ocenę – obrazu siebie, swojego ciała. Uczyły też krytycyzmu wobec nich i dystansu. I to okazało się najbardziej skuteczne. Proszę zauważyć, że te programy praktycznie abstrahowały od zaburzeń odżywiania się.

Kiedy pytam Żechowskiego, czego jego zdaniem dzieci i nastolatki potrzebują dziś naj-

– Część osób dobrze funkcjonuje w świecie werbalnym, ale są osoby, które lepiej funkcjonują w świecie wizualnym albo wizualno- przestrzennym, co należy uwzględnić w programie nauczania, bo ten, który mamy niektórych z niego eliminuje.

I nauczyciele, nie mając podstawowej wiedzy, czasem nieświadomie, uczestniczą w prześladowaniu takiego ucznia. Bo na przykład są zdania, że jego problemy z zachowaniem biorą się z tego, że jest zdemoralizowany – mówi psychiatrę.

– No i potrzebujemy jeszcze dwóch ważnych rzeczy. Destygmatyzacji rodzin. Bo mamy głęboko zakorzenione przekonanie, że wszystkie problemy dzieci są przez rodziców, co tylko sprawia, że ci rodzice czują się winni.

Oraz mądrej psychoedukacji, która będzie skierowana przede wszystkim do tych, którzy mają do czynienia z młodzieżą.

Dzieciom też się coś przyda, bo fajnie jakby umiały pewne rzeczy nazwać, ale to powinny być inne programy. Takie, które uczą empatii, komunikacji, które będą ograniczały przemoc rówieśniczą i wspierały relacje między dziećmi. Jakaś podstawowa wiedza o zdrowiu psychicznym też jest potrzebna, ale trzeba to dobrze przemyśleć i sprawdzić, co już zostało przebadane. Bo jeśli będziemy w kółko mówić o depresjach i próbach samobójczych, to za chwilę młodzi ludzie będą tak siebie definiować.

Rodzice helikoptery i kosiarki

Lucyna Kicińska podaje przykład szkodliwego informowania o zdro-

wiu psychicznym, z jakim zetknęła się niedawno, potwierdzając to, co mówił Żechowski o profilaktyce skupionej na objawach:

– Spotkałam się z rodziną mieszkającą w Hiszpanii. Dziewczynki w tej rodzinie, nastolatki, chodzą do szkoły, w której zajęć wokół zdrowia psychicznego jest w tej chwili więcej niż lekcji matematyki. Ostatnio, na jednym z nich zaserwowano jedenastolatkom medyczny przegląd różnych zaburzeń psychicznych i zaburzeń osobowości, co spowodowało, że jedna z tych dziewczynek uznała, że ma schizofrenię.

Nie jest to zaskakujące. Auto-diagnostują się nie tylko studenci psychologii na zajęciach z psychopatologii. Robi to większość z nas słysząc, czy czytając o różnych objawach. Tylko, że dzieci, którym nic nie dolega mogą popaść przy tej okazji w przerażenie i zacząć się auto-etykietkować.

Dzieci, które są w jakimś kryzysie mogą sobie „dobrać” objawy, których jeszcze nie mają i uznać, że ten ich kryzys jest ogromny. A jeszcze inne, przytłoczone takimi treściami, mogą zrobić całkowity odwrót od tematu zdrowia psychicznego i nie chcieć w ogóle się nim zajmować. Także na pewno nie jest to właściwy model psychoedukacji. - mówi.

Na rodziców taki alarmistyczny przekaz „jest bardzo źle, a pomocy nie ma”, a także ten skupiony na objawach, może działać podobnie.

– Rodzice na tego typu medialne doniesienia, czy raporty, mogą zareagować albo obezwładniającym przerażeniem albo przeciwnie – zaprzeczeniem, które najczęściej wynika z rodzicielskiej miłości i z podświadomej chęci chronienia dziecka przed tym całym „dramatem”, który się wieszczy” – rozwija pedagogka.

Pytam Kicińską o najbardziej skuteczny model profilaktyczny.

– To model społeczno-psychologiczny – odpowiada. – Jego istotą jest rozwijanie uniwersalnych umiejętności psychologicznych i społecznych, które umożliwiają budowanie tożsamości, rozwijanie wrażliwości na potrzeby własne

i innych, oraz umiejętności radzenia sobie z presją i ze stresem.

W tym modelu uwzględnia się też poznawanie norm i zasad kierujących życiem społecznym. A także uczy, jak ujawniać problemy i szukać pomocy. Tak, by nie brnąć w nie w samotności.

Nacisk kładzie się na umiejętność poszukiwania bezpiecznych relacji w rodzinie i poza nią, bo pozytywna grupa odniesienia może uchronić przed kryzysem. Jednym słowem, jest to model skoncentrowany na rozwiązaniach.

Kicińska zwraca też uwagę, że wiele medialnych narracji dotyczących zdrowia psychicznego dzieci i młodzieży jest zorientowana na to, by zabezpieczyć je przed doświadczaniem jakichkolwiek napięć, czy kryzysów. „Brak dyskomfortu” to stacja docelowa w tej podróży.

– Tylko to tak, jak byśmy wyrzucili teraz do kosza całą psychologię rozwojową- denerwuje się.

– A przecież każdy człowiek, żeby móc przejść z fazy dziecka do fazy nastolatka, a potem z fazy młodego dorosłego do fazy osoby dorosłej musi przejść przez różne kryzysy rozwojowe i mierzyć się z napięciem.

Bo mówiąc brutalnie, życie nie jest bajką. Składa się z wielu nieprzewidywalnych, a czasem bardzo trudnych wyzwań.

„Wymowianie” dzieci z sytuacji, które są wymagające i stresogenne powoduje, że nie nabierają one bardzo potrzebnych umiejętności do radzenia sobie z podobnymi sytuacjami w przyszłości. Kiedyś mówiło się o rodzicach- helikopterach, którzy „krążyli” nad dziećmi i je kontrolowali. Dziś mówi się o rodzicach- kosiarkach, którzy usuwają sprzed dzieci wszelki stres i przykrości.

Pytam jeszcze Lucynę Kicińską, czy projekty dotyczące zdrowia psychicznego – profilaktyczne i interwencyjne- prowadzone w szkołach powinny podlegać jakimś ogólnym regulacjom. – Jak najbardziej- odpowiada.

– Ważne, żeby takie programy były tworzone przez ekspertów natomiast, moim zdaniem, to nie oni powinni je w szkołach realizo-

wać, tylko przeszkoleni przez nich nauczyciele i pedagodzy. Specjaliści z organizacji pozarządowych czy z ośrodków szkoleniowych mogą przyjść do szkoły i zrobić super zajęcia, tylko ich słabością jest to, że potem z tej szkoły wychodzą, co generuje kilka problemów.

Problem numer 1. W uczniach zostaje myśl: „Nasi nauczyciele się nami nie interesują, skoro zaprosili kogoś z zewnątrz”.

Problem numer 2. W nauczycielach rodzi się przekonanie: „Nie jesteśmy wystarczająco kompetentni, żeby pomóc naszym uczniom.”

– No i może być też tak, że na takich zajęciach uczeń zrozumie, że coś poważnego się z nim dzieje i chciałby o tym z kimś porozmawiać. Naturalnie ciągnie go do tego, żeby porozmawiać z prowadzącymi, ale co ma zrobić, kiedy po zajęciach te osoby idą do innej klasy albo do innej szkoły? – dopytuje pedagoga.

Jednocześnie, od Kicińskiej dowiaduje się, że wiele dobrego już się dzieje. Na przykład w ramach Narodowego Programu Zdrowia, który podlega pod Ministerstwo Zdrowia, pracuje się na odpowiednimi szkoleniami, programami i skryptami, ale póki co Ministerstwo Zdrowia sobie, Ministerstwo Edukacji sobie, organizacje pozarządowe sobie, a ośrodki szkoleniowe sobie.

– I mamy wielogłos, z którego trudno coś wybrać. Dlatego pomysł, żeby powstała porządna lista rekomendowanych programów dotyczących zdrowia psychicznego opartych o naukowe dowody to tak naprawdę klucz do profilaktyki.- podsumowuje Kicińska. ●

• 10-11 czerwca w Warszawie odbędzie się IV Kongres Zdrowia Psychicznego, w którym uczestniczą specjaliści i osoby z doświadczeniem kryzysu psychicznego. Cezary Żechowski wraz z Angeliką Friedrich poprowadzą panel dyskusyjny „Rola szkoły w profilaktyce zdrowia psychicznego”, a Lucyna Kicińska weźmie udział w panelu „Zarządzanie zmianą. Co trzeba zrobić, żeby wreszcie wprowadzić dobrą opiekę psychiatryczną”. Więcej na <https://kongreszp.org/pl/>

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Wadim Żuk*

A na wojnie, jak na wojnie,
Płonie dom i ogród płonie,
Rozpłynęło się graffiti
Krwiał na ścianie nadwęglonej.

A na wojnie, jak na wojnie,
Nagle dziurka w plecach zionie.
W samiuteńkim środku ciała,
Jak w przejrzałym już kawonie.

A na wojnie, jak na wojnie,
Gzy i muchy krążą rojnie,
Będzie uczta u owadów
W dzień, co w blasku świtu tonie.

Rakiet klucz na nieboskłonie.
A ty mów przez sen spokojnie:
– To nie do mnie, to gdzieś dalej.
To do kogoś w innej stronie.

17 LIPCA 2022

przeł. Zbigniew Dmitroca

FOT. SIERGIEJ NIECHŁUDOW



*Wadim Żuk

– ur. w 1947 r., rosyjski aktor, scenarzysta, poeta, autor piosenek i dramatów, prezenter telewizyjny i radiowy. We wrześniu 2020 r. podpisał list popierający protesty na Białorusi. Mieszka w Moskwie.

wyborcza

magazyn wyborczej WOLNA SOBOTA

REDAKCJA:
ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00;
E-mail: redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania.
Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@agora.pl

REDAKTOR NACZELNY:
Adam Michnik
PIERWSZY ZASTĘPCA,
REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Roman Imielski;

ZASTĘPCY: Aleksandra Sobczak, Bartosz T. Wielński;
WOLNA SOBOTA: Mirosław Maciorowski (szef), Marek Markowski (zastępca), Ewa Wierzchorek, Jan Cywiński, Łukasz Grzymisławski
GRAFIKY: Paweł Kapusta, Jacek Konarski, Tomasz Lebiada, Agata Łuszcz, Jakub Piotrowski, Łukasz Rudnikowski
FOTOEDYCJA: Marta Błażejowska

WYDAWCA: Wyborcza sp. z o.o., ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa; NIP: 521-403-30-11

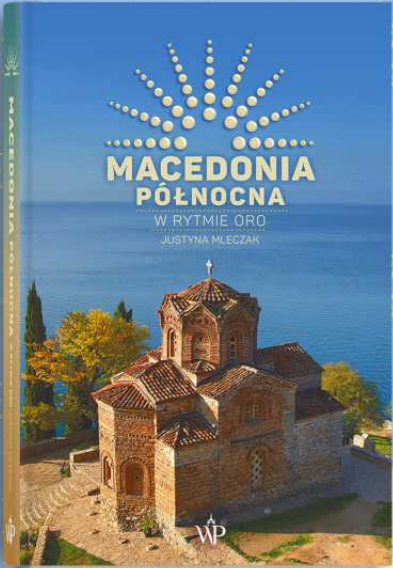
DRUK: Wyborcza sp. z o.o.

PREZES ZARZĄDU:
Wojciech Bartkowiak
CZŁONKOWIE ZARZĄDU: Mikołaj Chrzan, Joanna Kwas
Biuro reklam i ogłoszeń:
reklama@agora.pl; 22 555 55 55, faks: 22 555 54 44
Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.



REKLAMA

Kraj/34320323



Od Jeziora Ochrydzkiego po tajemniczy bazar w Skopje!

Odkryj Macedonię Północną razem z Justyną Mleczak

ZAMÓW KSIĄŻKĘ NA wydajenamsie.pl

Wydaje nam się

Wydawało się, że ubiegłoroczna inicjatywa Rafała Betlejewskiego związana ze zbieraniem podpisów pod petycją do Sejmu postulująca zakaz spowiedzi dzieci to czysta prowokacja, która jak wiele innych umrze śmiercią naturalną.

Tak się jednak nie stało.

Albo pójdę do piekła

Wiele lat wcześniej, zanim Betlejewski zaczął zbierać podpisy, na rzecz prawnego zakazu tej praktyki wypowiadali się m.in. zmarły niedawno religioznawca prof. Zbigniew Mikołajko który widział w spowiedzi mechanizm wdrutowywania u bezbronnego penitenta poczucia winy, oraz prof. Tadeusza Bartoś, który spowiadanie dzieci nazwał „okrutnym rytuałem”.

Ale to właśnie Betlejewski sprawił, że dyskusja na ten temat nabrała rumieńców. Spowiedzi bronił Andrzej Wielowiejski, Tomasz Dostatni i Tomasz Terlikowski, wsparli natomiast Betlejewskiego m.in. Magdalena Środa, Jacek Dehnel, który uważał, że spowiedź jest „narzędziem tresury”.

Sam na łamach „Wyborczej” pisałem, że spowiedź to miejsce, w którym księża pedofile typują ofiary, zbierają na ich temat informacje, testują ich uległość, badając jak daleko mogą się posunąć, wreszcie molestują werbalnie. Niestety, polskie prawo nie uwzględnia szerokiej gamy zachowań, które w gruncie rzeczy są molestowaniem seksualnym: erotyczne podteksty w trakcie spowiedzi nie wyczerpują znamion przestępstwa.

Mam przed oczami wstrząsający opis pisarki Sylwii Kubryńskiej, związany z tym doświadczeniem: „Znów skulię się na kolanach przed wielkim mężczyzną z zachrypniętym od surowości głosem i będę się krztusić, będę się palić ze wstydu, będę się kajać z powodu, którego właściwie nie rozumiem. I tak cichym głosem, jakby mnie nie było, jakbym w ogóle znikła, jakbym się pod ten konfesjonał zapadła, jakbym starła się w proch wieki, będę odpowiadać na srogie pytania obcego faceta, będę się kruszyć przed jego dociekliwością: »ale sama, czy z kimś?!«, »ale jak często?!«, »jak długo«, »gdzie?!«, »dokładnie!«. A potem, wracając do kościelnej ławki, będę łykać lzy z upokorzenia i niemocy, bo za co to – przecież tak naprawdę nic złego nie zrobiłam.

Albo pójdę do piekła”.

Spowiedź dla posłusznych

Problem jest szerszy. Spowiedź bowiem to punkt wyjścia nad ogólną refleksją na temat ochrony praw dzieci w Kościele. Czy ktoś w ogóle je pyta, co czują, klęcząc karnie przez obcym mężczyzną, któremu zgodnie z oczekiwaniami bliskich mają opowiadać o swoim wstydzie?

Nie tak dawno jasno na temat wypowiedział się prof. Stanisław Obirek, który pokazał zupełnie inną paletę argumentów: to właśnie

GDY PRZEMOC JEST MIŁOŚCIĄ

Objawy traumy religijnej to zaniżona samoocena, zero-jedynkowe myślenie, perfekcjonizm czy nieumiejętność podejmowania decyzji

Artur Nowak



u krótkich konfesjonałów dokonuje się proces podporządkowania społeczeństwa klerowi i hamowania demokratycznych przemian w naszym kraju. Właśnie dlatego leży w interesie nas wszystkich, by tę praktykę na nowo przemyśleć.

Pójdźmy dalej. A co jeśli te przekonania, które zgodnie z milcząca wolą rodziców, które ma służyć dziecku, są szkodliwe? Na szczęście konstytucja daje na to pytanie odpowiedź. Jak stwierdza w art. 72: „Każdy ma prawo żądać od organów władzy publicznej ochrony dziecka przed przemocą,

okrucieństwem, wyzyskiem i demoralizacją”.

To dość zadziwiająca niekonsekwencja. Wszak prawo, stojąc na straży dobra dzieci, zakazuje im do pewnego wieku oglądania niektórych filmów czy uczestnictwa w pewnych zabawach. Słusznie uważa się, że wchłanianie przez dziecko obrazy mogą również budzić w nich lęk. Obcowanie ze scenami przemocy poluzowuje próg tolerancji wobec agresji, przez co dochodzi do zjawiska banalizowania aktów przemocy i akceptowania jej w życiu społecznym. Si-

ła okazuje uniwersalnym atrybutem zdobywania i utrzymywania władzy, a niechybnie czekające kara przyucza do posłuszeństwa wobec najsilniejszego.

Biblia na indeksie

Prawo stanowe w Utah zakazuje rozpowszechniania w szkołach książek „pornograficznych i nieprzyzwoitych”. Tamtejszy sąd uznał, że Biblia zawiera treści przemocowe nieodpowiednie dla młodszych uczniów. To efekt skargi jednego z rodziców w grudniu 2022 r., w której twierdził, że Bi-

blia zawiera opisy takich zjawisk jak „kazirodztwo, onanizm, zoofilia, prostytutka, wreszcie okaleczanie narządów płciowych” oraz określił ją jako „jedną z najbardziej przesiąkniętą seksem ksiąg na świecie”.

Zakaz dotyczy szkół podstawowych i gimnazjalnych z których zniknęły Bibliie. Decyzja została jednak uchylona. Co ciekawe, na kanwie krytyki zakazu, który ma tworzyć nowy indeks ksiąg zakazanych, doszło do farsy, która uderzyła w autorów zakazu, którymi są tak naprawdę konserwatyści mający alergię na każdą inną orientację seksualną niż hetero, dbający o to, żeby reglamentować wiedzę o przyjemnościach cielesnych. Zakpił z nich nowojorski komik Walter Masterson. Znalazł książkę kochaną przez większość konserwatystów, ale która zgodnie z wytycznymi opracowanymi przez prawicowych purytanów powinna trafić na indeks. W trakcie zebrania zarządu okręgu szkolnego Central Bucks w Pensylwanii, wymachując Biblią, pomstował na jej treści, domagając się, by jej zakazać: „Ta książka jest pełna jawnych aktów przemocy seksualnej. Celebryzuje masowe zabójstwa i jest wykorzystywany do indoktrynacji naszych dzieci”.

Szwajcarski nauczyciel zaangażowany w ruch wolnomyślicielski Valentin Abgottspom jest zdania, że młodzież nie powinna czytać Biblii, o ile nie ukończyła 16. roku życia. Szereg przykładów okrucieństwa opowiedzianego na kartach tej książki wskazuje Roman Zając w książce „Biblia. Początek”. Przytoczę kilka z nich.

Dawid znany z tego, że pokonał Goliata, jest zabójcą. To on uśmiercił męża Batszeby, z której pozostawał w intymnej relacji. Uriasz, wierny żołnierz Dawida, musiał zginać, by w Batszeba mogła mu się oddawać bez żadnych ograniczeń.

W Księdze Sędziów znajdziemy opowieść o pewnym lewicie, który po ciemku wracał z żoną do domu i zatrzymał się na noc pewnym mieście. Mieszkańcom to się nie spodobało, postanowili zgwałcić przybysza. Starzec, który u którego nocowali przyjezdni, zaproponował w zamian swoją małoletnią córkę oraz żonę lewity: „Oto jest tu córka moja, dziewica, oraz jego żona, wyprowadzę je zaraz, obcujcie z nimi i róbcie, co wam się wyda słuszne, tylko mężowi temu nie czynicie tego bezceństwa” (Sdz 19, 23-24).

Bóg, który kocha cierpienie

W Polsce póki co nie toczy się na ten temat żadna dyskusja, choć są dobre powody, by ją wreszcie zacząć. W grudniu w 2021 r. jeden z przedszkolaków opowiedział rodzicom, jak to brał udział z innymi przedszkolakami w „ukrzyżowaniu Jezusa”, w trakcie którego uczestnicy zabawy udawali wbiwanie gwoździ w dłonie i stopy. Rzecz miała miejsce w przedszkolu w Gdyni.

Inna z matek wypisała dziecko z religii w przedszkolu. W liście do jednej z redakcji pisała, że dziecko „płacze wieczorem, że boi się, że wszyscy umrzemy i nie pójdziemy do nieba. Albo, że za bycie niegrzeczną szatan ją zabierze”.

Ale to tylko przykłady, o których dzieci mogą się dowiedzieć z katechez czy czytań w trakcie

mszy. Są jednak historie, które Kościół hołubi, przedstawiając je jako przykład tego, jak powinna wyglądać miłość człowieka do Boga. Kreśli je sam stwórca w Księdze Rodzaju, zwracając się do Abrahama: „Weź twego syna jedynego, którego miłujesz, Izaaka, idź do kraju Moria i tam złóż go w ofierze na jednym z pagórków, jakie ci wskażę”. Oczywiście to teksty, które należy czytać z uwzględnieniem ducha czasu, w których powstały. Czy naprawdę jednak należy uczyć dzieci, że ten idealny ojciec, który je kocha, ma prawo od nich oczekiwać śmierci kogoś, kto jest im najbliższy? O wychowa-

radość. Jakież poczucie winy ma dziecko, słysząc pieśń o Jezusie: „To nie gwoździe cię trzymały, lecz mój grzech”.
No i kwestia spowiedzi, do której wracam. Skoro Jezus już za nas umarł, by oczyścić nas grzechu, po co mamy się spowiadać? Przecież umarł i wycierpiał się za wszystkie nasze grzechy. Czy jego ofiara poszła na darmo?

Syndrom traumy religijnej
Wracając do słów Obirka, który twierdzi, że socjalizacja katolicka przyczynia się do: „hamowania demokratycznych przemian w naszym kraju” warto pochylić

gąc się pogodzić ze swoją preferencją.
O konsekwencjach socjalizacji religijnej pisze i mówi sporo psycholog Marlene Winell. To córka misjonarzy zielonoświątkowych, która od lat praktykuje w San Francisco. Specjalizuje się w przypadkach patologicznych form zaangażowania religijnego. Napisała kompendium dla osób porzucających religię: „Leaving the Fold” („Opuszczając owczarnię”). Wszelkie próby przejęcia kontroli nad swoim życiem wbrew woli Boga są grzechem.

Winell tłumaczy, że chrześcijański model rzeczywistości opiera się na mechanizmach, których niezbywalnymi elementami są lęk i strach przed konsekwencjami porzucenia wspólnoty. A także odrzucanie informacji z zewnątrz. Ludzie uformowani przez wspólnotę żyją w przeświadczeniu, że funkcjonują w świecie grzechu i zagrożeń, permanentnej „walki duchowej”, którą toczą złe i dobre duchy. Wierni potrzebują zbawienia, jednak sami nie są w stanie zapewnić go sobie. Należy więc okazać skruchę i oddać się działaniu Boga. Celem zaś życia uczynić służbą dla niego. Ludzie więc mają wierzyć i nie zadawać pytań. Wszelkie próby przejęcia kontroli nad swoim życiem wbrew woli Boga są grzechem.

Winell precyzyjnie kategoryzuje objawy traumy religijnej. Poznawcze to: dezorientacja, deficyty krytycznego myślenia, zanizowana samoocena, zero-jedynkowe myślenie, perfekcjonizm, nieumiejętność podejmowania decyzji. Wśród emocjonalnych wymienia depresję, lęk, samotność, problemy z odczuwaniem przyjemności. Wśród kulturowych objawów wskazuje nieznaną swobodę świeckiego świata.

Kościół wszak lansuje autorytarnej rodziny opartym na autorytecie ojca, który dzierży władzę dozując informacje o świecie. Taka rodzina, gdzie obraz świata jest narzucany, a nie wspólnie odkrywany, to naturalna wylęgarnia traum. Zewnętrzna religijność często nijak się ma do skrywanego deficytów. Jak wiemy, ojciec rodziny, który wiele wymaga od swoich dzieci, często jest zwykłym tyranem i przemocowcem.

Przemoc jest miłością
Szczególnie szkodliwa dla dzieci jest „doktryna grzechu pierworodnego i wiecznego potępienia”. To w istocie perpetuum mobile utrzymywania w nich poczuciu winy z którego nie ma wyjścia. Tak naprawdę chodzi o zawstydzenie. Tę podstępą strategię opisała Samantha Field, amerykańska blogerka, której rodzinny dom był pod wpływem funda-

mentalistycznego odłamu baptystów. Usprawiedliwienie przemocy rodziców wobec dzieci znalazła w Biblii: „Uczono mnie, że ludzie, którzy cię krzywdzą, brutalnie cię ranią, każdego dnia, przez lata, robią to, ponieważ cię kochają”. Jak zauważyła: „ci, którzy wierzą, że krzywdą wyrządzona przemocą, jest wyrazem miłości, nie mogą w ten sposób uważać swojej krzywdy za nadużycie. Oni już »wiedzą«, że jest to demonstracja miłości”.

Coraz więcej terapeutów szkoli się i specjalizuje w radzeniu sobie z RTS. Doświadczenia ofiar religii to: wykorzystanie strachu lub poczucia winy do kontrolowania zachowania, ślepe posłuszeństwo wobec autorytetów religijnych, kara za kwestionowanie lub wątplenie w przekonania religijne wreszcie zawstydzanie lub ostracyzm wobec tych, którzy nie przestrzegają norm religijnych.

Jak stwierdza przywołany artykuł 72 konstytucji: „W toku ustalania praw dziecka organy władzy publicznej oraz osoby odpowiedzialne za dziecko są obowiązane do wysłuchania i w miarę możliwości uwzględnienia zdania dziecka”.

Może więc zamiast twierdzić, że wychowanie religijne jest sprawą rodziców, warto o zdanie na ten temat zapytać dzieci? ●



FOT. JAKUB PORZYCKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Artur Nowak

• Adwokat reprezentujący ofiary pedofilii w Kościele, pisarz, publicysta. Współautor z Ireneuszem Ziemińskim książki „Chrześcijaństwo. Amoralna religia”. Wspólnie ze Stanisławem Obirkim wydali książki: „Gomora” i „Babilon. Kryminalna historia Kościoła”

„Uczono mnie, że ludzie, którzy cię krzywdzą, brutalnie cię ranią, każdego dnia, przez lata, robią to, ponieważ cię kochają”

niu tak wprost czytamy w Księdze Przysłów: „Karcenia chłopcu nie żaluj, gdy różgą uderzysz – nie umrze. Ty go uderzysz różgą, a od Szeolu zachowasz mu duszę”.

Czy jesteśmy w stanie wejść w skórę kilkulatek, który zostaje skonfrontowany z nagim, zmaltretowanym korpusiem z połamanymi gołeniami u nóg. Na dorosłych taki widok nie robi wrażenia. My zdążyliśmy się z nim oswoić. Ale jaką krzywdę zrobiły dzieci swoim rodzicom, że fundują im ten widok, nie pytając ich o zgodę?

Paradoksalnie rodzice uważają za swój obowiązek, by je z tym koszmarem oswajać. Efekt jest taki, że dziecko wyobraża sobie Boga jako starca lubującego się w cierpieniu. No bo jak mają inaczej wyjaśnić sobie, że ten „dobry Bóg” wysłał na śmierć swojego syna, aby oczyścić ich z grzechu. Jaki to ma sens? Im większe cierpienie, tym większa jego

się nad treściami, którymi posługuje się drugi po Jezusie architekt chrześcijaństwa Paweł z Tarsu. Kościół bardzo chętnie sięga do jego słów, naruszając dobra osobiste mniejszości seksualnych. W Liście do Rzymian apostoł rozważa homoseksualność w kontekście stricte religijnym, uważając, że jest ona karą zesłaną na ludzi za to, że nie oddają należnej czci Bogu. Paweł uważa tę zemstę za całkowicie uzasadnioną, przekonując, że na śmierć zasługują nie tylko ludzie oddający się praktykom homoseksualnym, lecz także ci, którzy homoseksualność tolerują. Ta groźna wypowiedź jest źródłem nieprzejednanej postawy Kościoła wobec osób nieheteronormatywnych. Powiedzmy wprost – to język nienawiści.

Na marginesie dodam, że niektórzy badacze uważają, że jako osoba homoseksualna Paweł uciekał się do takiego języka, nie mo-

piekła, czyni wielkie spustoszenie. To nie tylko nieumiejętność czerpania radości z pożycia seksualnego, zdrowego egoizmu, ale poczucie bycia kontrolowanym przez Boga – podglądacza, który skrzętnie odnotowuje każdy nasz występki.

Winell postawiła diagnozę, że wielu jej pacjentów cierpi z powodu „syndromu traumy religijnej” (RTS). Wyjaśnia, że praktyki religijne przestają coraz częściej być sprawą indywidualną. Chodzi o zadawanie cierpienia i krzywdzenia innych: zrywania związków z bliskimi, bicia dzieci czy też dyskryminowania gejów. Wskazuje na spustoszenie, które powoduje bezmyślna „szukanie woli bożej” zamiast brania odpowiedzialności za swój rozwój. W takich wyobrażeniach świat jest niebezpiecznym miejscem. To księstwo szatana, którego może pokonać tylko Bóg.

Wiecej niz listy miłosne: przepysznie zmyslowa rozmowa VIRGINII WOOLF i VITY SACKVILLE-WEST.

Prawdziwy rarytas dla miłośników literatury i epistolografii miłosnej.

Doskonale uzupełnienie portretu intelektualistki, literatki i ikony feminizmu, Virginii Woolf.

Gdyby Virginia i Vita miały smartfony, to zamiast tych wspaniałych śladów na papierze przelatywałyby nam przez palce strumienie erotycznych wiadomości z gierkami słownymi, niezrozumiałe emotikony, tweety z linkami do recenzji w magazynach literackich oraz niezliczone fotki psów. Ale na szczęście dla nas pisały, pisały i pisały...

fragment wstępu Alison Bechdel

Przełożyła Maria Olejniczak-Skarsgård



WYDAWNICTWO ALBATROS

Mateusz Mazzini

W ybacz, ale muszę odmówić. Dzięki za zainteresowanie mną i moim krajem, mimo wszystko wolę o tym nie rozmawiać. Mam rodzinę w Iranie, nie czułabym się komfortowo w czasie wywiadu. Jeszcze ich na coś narażę, nawet jeśli nieświadomie.

To refren, który usłyszę kilkanaście razy w ciągu ostatnich dni, przygotowując tekst o irańskiej diasporze. Nie pomagają oferty animowości w tekście ani zapewnienia, że nie będę nagrywał twarzy w czasie rozmowy. Dodają, że nie chcą rozmawiać o irańskiej polityce ani o przyszłości Islamskiej Republiki. Odnoszę wrażenie, że część osób, do których zagaduję, i tak mi nie wierzy.

Tyle wiem o tych, którzy w ogóle mi odpiszą, odpowiedzą na wiadomości. Zdecydowana większość nie zrobi nawet tego. W tej drugiej grupie znajdują się wieloletni znajomi ze studiów w Wielkiej Brytanii, towarzysze imprez i wspólnych wyjazdów, bliscy partnerzy biznesowi polskich przyjaciół.

Żadna inna społeczność, z którą zetknąłem się przez ponad dekadę pracy jako reporter, nie okazywała tyle lęku przy pierwszej próbie kontaktu.

Próbuję to racjonalizować poprzez bieżący kontekst polityczny. W końcu piszę do nich chwilę po śmierci prezydenta Ebrahima Raisiego, który zginął w katastrofie śmigłowca, więc polityka siłą rzeczy wisi w powietrzu w każdej rozmowie o Iranie. Mimo to staram się ich przekonać do rozmowy na różne sposoby – i napotykam na jeszcze inny problem.

Kondolencje prezydenta Dudy

– Jesteś z Polski? – pyta mnie niemiecko-irańska naukowczyni.

Jak większość członków diaspory, z którymi miałem kontakt, jest bardzo dobrze wykształcona. Fizyczna teoretyczna, wyklada na jednym z wiodących europejskich uniwersytetów. O kraju, w którym się urodziła, nie chce jednak rozmawiać za żadne skarby.

– Tak, mieszkam w Warszawie.
– Miałabym problem, żeby rozmawiać z Tobą o Iranie.
– Dlaczego?
– To kraj, którym rządzą religijni fundamentaliści, a wasz prezydent im składa kondolencje. Jeśli chcesz wiedzieć, co większość naszej diaspory myśli w tej chwili o rządzie w Teheranie, poszukaj sobie w internecie reakcji na współczucie Andrzeja Dudy.

Resztę dnia spędzam na podesłanych mi przez rozmówców i znajomych grupach i kanałach w mediach społecznościowych.

Duda, który w swoich kondolencjach dla irańskiego reżimu porównał śmierć Raisiego do katastrofy smoleńskiej, pisząc, że „niewiele narodów ma w swojej historii takie tragiczne karty. Ale my, Polacy, straszliwie doświadczeni w 2010 roku (...) znamy uczucie szoku i pustki”, nie zajmuje tam przesadnie dużo miejsca. Jeśli jednak już się pojawia, to spadają na niego gromy.

Diaspora irańska, zwłaszcza ta w Europie Zachodniej i Stanach Zjednoczonych, jest bowiem jednoznacznie przeciwna porządkowi, który w Iranie nastąpił po rewolucji 1979 r. Wielu z jej członków wyjechało zresztą z kraju właśnie w jej następstwie, nie chcąc żyć pod butem religijnych fanatyków. I jednocześnie – odmawiając rezygnacji z przywilejów, także tych materialnych, wynikających z rządów ostatniego szacha Iranu, Mohammada Rezy Pahlawiego. Iran przed islamskim przewrotem był wprawdzie krajem prozachodnim i pod wieloma względami otwartym na świat – ale też szalenie nierównym i mocno zoligarchizowanym.

PIĘKNY, PRZERAŻLIWIE DUSZNY KRAJ

Sara: w Iranie czuję się jak w ukrytej kamerze.
Na Zachodzie jestem niewidzialna



• Targi książki w Teheranie, 13 maja 2024r FOT. REUTERS/MAJID ASGARIPOUR

Dlatego w sporej części rozmów, które jednak udaje mi się odbyć z pierwszym i drugim pokoleniem emigrantów z Iranu, wybrzmiewa tęsknota za tym, co minione – nawet jeśli wspomniany przez nich Iran jest tylko wytworem nostalgii i wyobraźni, a faktycznie dawno już nie istnieje.

Egzekucja za pomaganie wrogom rewolucji

Tak było w przypadku Peymana, który prosi, by przedstawić go jako badacza historii najnowszej Bliskiego Wschodu. Dodaje przy tym, że to właściwie jego hobby, bo najwięcej czasu poświęca na prowadzenie rodzinnego funduszu inwestycyjnego.

On akurat urodził się już poza Iranem, w jednym z krajów ówczesnej Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej. Ma trzy paszporty, ale kilkakrotnie prosi, żeby nie podawać szczegółów. Ani kraju, w którym się urodził, ani pozostałych, których dokumentami się legitymuje.

O bieżącej sytuacji w Iranie też nie chce za bardzo rozmawiać. Tak będzie z każdym z moich rozmówców, choć nie każdy z nich będzie w stanie nazwać swoje lęki i zidentyfikować ich pochodzenie.

Niektórym chodzi o bezpieczeństwo rodziny, ewentualne problemy z cieszącą się złą sławą wśród migrantów Gwardią Rewolucyjną, najpotężniejszym elementem irańskiego aparatu bezpieczeństwa.

Inni wskażą na bliżej nieokreślone obawy o siebie samych, nawet jeśli na Zachodzie mieszkają od kilkunastu lat i z irańskimi władzami nie mają żadnej styczności.

Szybko przekonam się, że wśród członków tej diaspory paranoja odnośnie mocy sprawczych reżimu Ajatollahów jest wszechobecna, prędzej czy później da o sobie znać w każdej rozmowie.

Pejman zgadza się, by opowiedzieć historię swojej rodziny. Ojciec był inżynierem, pracował przy wydobywaniu ropy. Teoretycznie mógł więc zostać w kraju, nawet pod rządami Chomeiniego eksport tego surowca był kluczowy dla irańskiej gospodarki, pomimo błyskawicznego nałożenia przez Amerykanów sankcji na islamski reżim.

Pierwsze ograniczenia zostały wprowadzone już w listopadzie 1979 r., zaledwie dziewięć miesięcy po ostatecznym obaleniu monarchii. Popierający rewolucję studenci i młodzi bojownicy, spośród których wielu objęło później kluczowe stanowiska w rządzie, wtargnęło wówczas na teren ambasad amerykańskiej, biorąc 53 obywateli USA jako zakładników.

Waszyngton na chwilę zniósł sankcje w 1981 r., ale kilka lat później je przywrócił. Ostatnia przerwa rozpoczęła się w styczniu 2016 r., gdy w życie wszedł tak zwany Joint Comprehensive Plan of Action – porozumienie, na mocy którego Teheran wyhamował swój program nuklearny w zamian za otwarcie się zachodnich rynków na jego eksport, głównie w postaci ropy naftowej.

Reset potrwał jedynie 23 miesiące, bo Donald Trump odmówił ponownej certyfikacji irańskich postępów – i reżim znów zamknął się za podwójną gardą.

Rodziny Peymana to jednak za bardzo nie obchodziło, bo od 1979 r. nie wrócili do ojczyzny, nawet na chwilę. Mają tam krewnych, ale dalekich, coraz starszych.

Początkowo bali się nawiązać z nimi kontakt, bo wśród pierwszej fali emigrantów krążyły plotki, że irański wywiad spenetrował diasporę w całości i doskonale wie, kto gdzie układa sobie życie.

Krewnym takich uciekinierów, którzy mieszkali wciąż w ojczyźnie, groziła nawet natychmiastowa egzekucja za pomaganie wrogom rewolucji.

Przez pierwsze lata w rodzinie Peymana dominował więc strach, który potem – jak sam mówi – przerodził się w obojętność.

– Szybko zaadaptowaliśmy się do życia na Zachodzie. Jasne, nie będę ukrywać, byliśmy zamożni, to na pewno pomogło. Ale też nikt nie robił nam problemów, Europa już wtedy pełna była imigrantów z różnych części świata.

Niespecjalnie zresztą byłem przywiązany do mojej irańskiej tożsamości. Dla mnie to był odległy kraj z opowieści rodziców, do którego czułem cokolwiek raczej na siłę. Nigdy nie wróciłem, nie mam chyba nawet po co.

Dla rodziców byłby to wyrok śmierci, oni dość mocno opowiedzieli się przeciwko Chomeiniemu w czasie rewolucji. Ja po prostu nie widzę sensu tam być. To duszny kraj bez perspektyw. Piękny, ale przeraźliwie duszny.

Sara: mama nie chciała dla mnie takiego życia.

W podobnym tonie o Iranie mówi Sara, mimo że historia jej rodziny i emigracyjne doświadczenia są odmienne. Powtarza się właściwie tylko strach, zwłaszcza o rodzinę na miejscu. Przez tydzień waha się, czy w ogóle ze mną rozmawiać, podkreślając, że nie ma nic przeciwko mnie i mojej gazecie, ale trudno jest jej mi zaufać. Wreszcie zgadza się, ale co chwilę precyzuje, których szczegółów z jej życia nie mogą opublikować.

Z Iranu wyjechała kilkanaście lat temu, jako nastolatka. Decyzja została podjęta za nią przez rodziców. Do dzisiaj to zresztą punkt zapalny w relacjach rodzinnych – potem powie mi, że czasami myśli o powrocie do Iranu na stałe, ale za każdym razem, kiedy mówi o tym publicznie, natychmiast spada na nią fala krytyki. Krewni, których odwiedza, uważają taki krok za lekkomyślny, inni posuwają się do bardziej dosadnych określeń.

– Mama potrafi być bardzo uparta, to ona zdecydowała o moim wyjeździe. Chodziło jej głównie o edukację, na Zachodzie czekało na mnie po prostu więcej szans. Wiesz, w Iranie system jest w całości zabetonowany, zwłaszcza jeśli pochodzisz z rodziny bez koneksji.

Ludziom spoza tego ustroju ciężko sobie to wyobrazić, ale czasem nie jesteś w stanie nawet dostać się na kierunek studiów, o którym marzysz, bez względu na twoje oceny. Po prostu ci nie pozwolą, ktoś na górze podejmie taką decyzję. Mama nie chciała dla mnie takiego życia.

Na Zachód matka wyjechała razem z Sarą, zostały razem pięć lat. Potem wróciła do Iranu, do męża, który nie mógł emigrować, bo prowadził tam własną firmę. Wtedy też żyli jeszcze dziadkowie Sary, mama nie chciała zostawić ich bez opieki.

– Rodzice mówili mi, że mam jak najszybciej wystarać się o inny paszport. Zachodni, czyli silniejszy. Taki, z którym można coś osiągnąć, bo ten irański jest kompletnie bezużyteczny.

W pogoni za lepszą edukacją z Iranu wyjechała też Soraya, ale z nią w podróż udała się cała rodzina. Przez cały czas załamuje się jej głos. Przeprasza mnie, że jest „trudną bohaterką reportażu”, ale jest przekonana, że jeśli zostanie zidentyfikowana przez reżim Ajatollahów, jej rodzinę w Teheranie czekają konsekwencje. Jakie – nie umie sprecyzować.

Głęboko wdycha, gdy szuka właściwych słów. Z przypominającym lkanie tonem nie ma jednak co polemizować, nawet jeśli Soraya poza Iranem mieszka już prawie dwie dekady.

– Mówię w Farsi, rozmawiam w tym języku z rodzicami, ale temat Iranu czy cokolwiek z nim związanego pojawia się naprawdę rzadko. Kilka razy wróciłam, odwiedzałam rodzinę, ale nie mam konkretnej odpowiedzi na pytanie, czym to miejsce dla mnie jest.

Chyba najbardziej bym chciała, żeby Iran stał się bardziej popularny wśród turystów, bo w tej chwili wszyscy myślą, że to jakieś przekłète miejsce – a nasza przyroda jest przepiękna, z niczym nieporównywalna.

Na Zachodzie czuję się niewidoczna

Jak czują się obie kobiety, kiedy wracają do Teheranu?

Sara: bywam w Iranie regularnie, kilka razy do roku. Zawsze, kiedy tam jestem,

czuję się jak w ukrytej kamerze. Noszę hidżab, choć nie jestem w ogóle religijna. Ale wiem, że

ten reżim działa arbitralnie. Możesz wpaść w kłopoty przypadkowo, bez względu na to, czy zrobisz coś złego, czy po prostu jakiś policjant będzie miał gorszy dzień.

Soraya: Ja po prostu dostosowuję się do zasad, które tam panują. Wiem, że jeśli tego nie zrobię, to czekają mnie konsekwencje. To podstawa przetrwania w Iranie.

Sara: To uczucie, że ktoś non stop cię obserwuje, jest szczególnie silne w przypadku kobiet. Bo to takie natrętne wrażenie, ale bardzo dosłowne – bo naprawdę jesteś całą czas obserwowana. Nie umiem się do tego przyzwyczaić.

Na co dzień mieszkam w społeczeństwie wolnym, gdzie mam prawa i wiem, że one są respektowane. Kiedy jestem na Zachodzie – czuję się niewidoczna, w dobrym tego słowa znaczeniu. To taka odwrotność dyskryminacji. Nikt mi tu nie mówi, co mam robić, nie wtrąca się – ale ja też się nie wyróżniam, nie przyciągam uwagi.

W Iranie muszę być znacznie bardziej samoświadoma, bo jeden fałszywy ruch i po mnie.

Nie rzuca słów na wiatr. Kilka lat temu, kiedy odwiedzała rodzinę w Teheranie, została aresztowana przez policję moralności – ramię irańskiej tajnej policji odpowiedzialne za utrzymywanie właściwych norm moralnych w przestrzeni publicznej.

To właśnie funkcjonariusze tej służby doprowadzili do śmierci 22-letniej Mahsy Amini, która 16 września 2022 r. zmarła w szpitalnym szpitalu w nigdy niewyjaśnionych do końca okolicznościach.

Oficjalna wersja wydarzeń, przedstawiona przez rząd opowiadała o rzekomym ataku serca, po którym Mahsa zapadła w śpiączkę na komisariacie. Klóciło się to jednak z zeznaniami świadków, którzy widzieli, jak oficerowie biją dziewczynę do nieprzytomności. Powodem jej zatrzymania był nieprawidłowy ubiór – dokładnie tak samo, jak w przypadku Sary.

– Miałam niewyobrażalnie dużo szczęścia, bo z nimi nigdy nie jesteś w stanie przewidzieć reakcji. Byłam w Teheranie od kilku dni i trochę się jeszcze nie przestawiłam na tamtejsze zasady. Przywiozłam ze sobą ubrania, które były za krótkie jak na to, czego oczekuje policja moralności.

Od razu jak się zorientowałam, poszłam do sklepu kupić coś dłuższego. Nie zdążyłam, bo już tam mnie załapali, razem z dwiema innymi dziewczynami.

Sarze udało się uniknąć poważniejszych konsekwencji, dostała tylko pisemne pouczenie. Musiała się zobowiązać, że nigdy więcej takiego wykroczenia nie popełni.

Farshad. Suma wszystkich strachów

Znacznie mniej szczęścia w kontaktach z władzami miał Farshad, który z Iranu uciekł w 2013 r. Dziś mieszka w Australii, pracuje jako malarz przy wykończeniu mieszkań, choć studiował socjologię. Kiedy pytam, dlaczego zdecydował się opuścić ojczyznę, mówi wprost, że nie był w stanie być tam sobą.

– Wiem, że inni wyjeżdżają, bo szukają lepszego wykształcenia, albo bo przeszkadza im religia czy policja moralności. Dla mnie to była już suma wszystkich strachów, lęków, tych prześladowań. Zresztą bardzo wielu w moim pokoleniu myśli podobnie. Szukają sposobu, żeby się stamtąd wyrwać za wszelką cenę.

Zanim jednak wyjechał do Australii, próbował zmienić swój kraj od środka. Kiedy w 2009 r. na drugą prezydencką kadencję wybrany został Mahmud Ahmadiżad, wielu młodych Irańczyków, w tym on, nie uwiaryło w oficjalne wyniki wyborów.

Po kraju krążyły setki opowieści o dosypywaniu głosów, fałszowaniu podpisów. Środowiska studenckie stały się punktem zapalnym, z którego protesty rozprzestrzeniły się na inne części społeczeństwa.

Farshad został aresztowany przez Gwardię Rewolucyjną, spędził 35 dni

w więziennej celi z dwudziestoma innymi mężczyznami. Kiedy wychodził, dostał jasne komunikat: recydywa to co najmniej sześć miesięcy, zaostrozony rygor. A jak będziesz miał pecha, to zawieszysz, bo już wiemy, że nie popierasz Islamskiej Republiki – a za to grozi w Iranie śmierć.

– Wtedy wiedziałem, że muszę uciekać. Inni wykorzystywali swoje kontakty na Zachodzie, albo po prostu kupowali bilet lotniczy i już nie wracali. Ja musiałem sam stworzyć sobie szansę na lepsze życie.

Tego eufemizmu nie rozwinie. Prosi, żeby to uszanować. Precyzuje tylko, że w żadnym innym kraju nie mieszkał na stałe, zanim trafił do Australii.

W Iranie można doświadczyć wszystkich czterech pór roku jednocześnie.

Dla moich rozmówców Iran jest mieszaną tego, co usłyszeli od rodziców, zbierają pojedynczych ujęć zarejestrowanych umysłem podczas odwiedzin u krewnych. Mniej lub bardziej wyobrażonym miejscem, które nie istnieje w takiej formie, w jakiej o nim myślą.

I choć wszyscy wyraźnie podkreślają, że bez demokratyzacji i upadku religijnego reżimu nie ma mowy o ich dobrowolnym powrocie, każdy z nich bez trudu wskazuje powody, dla których jest dumny ze swojego irańskiego pochodzenia.

■
Usłyszałem: już wiemy, że nie popierasz Islamskiej Republiki – a za to grozi w Iranie śmierć.

■

Soraya: nigdy nie wstydziłabym się tego, że jestem Iranką. Tak się zresztą przedstawiam, jeśli ktoś pyta, skąd jestem. Wiele rzeczy związanych z tym miejscem napawa mnie dumą. Nasz dorobek w poezji, w matematyce. Historia, kultura.

Ale przede wszystkim to, że jesteśmy naprawdę mądrym narodem. Dlatego tym bardziej mnie boli, że świat nas traktuje niesprawiedliwie. Wiem, że w tej chwili o Iranie mówi się wyłącznie negatywnie. To typowe dla mediów, każdy news musi dotyczyć czegoś złego.

Ale mam wrażenie, że ludzie, którzy krytykują Iran, nie zastanawiają się nad tym, co mówią. To wielki kraj, 80 milionów mieszkańców. Nie każdy ślepo wierzy w ten reżim.

Peyman: Iran ma wiele do zaoferowania. Ale nie ludźmy się, nic się nie zmieni w tym kraju w najbliższych latach. Dyktatura jest doskonale zaprojektowana, oparta na aparacie terroru.

Poza tym to też nie jest tak, że prowadzą ją sami idioci. Ajatollahowie czy ludzie stojący na czele Gwardii Rewolucyjnej są bardzo inteligentni. Sobie samym zapewnili ogromne przywileje.

Stworzyli też całą grupę w społeczeństwie, która wierzy w ich bajki o złym Zachodzie i konieczności bycia dobrym muzułmaninem. Nie potrafię Ci powiedzieć, ilu tych ludzi jest, czy to milion czy siedem milionów. Ale to znacząca grupa, która będzie zawsze ich popierać.

Sara: dumą napawa mnie nasz narodowy sposób życia, który jest bardzo radosny. Mamy świetne poczucie humoru, nie mówiąc o wielkich zdobyczach cywilizacyjnych.

Ale ja wolę się koncentrować na bardziej przyziemnych sprawach. Jasne, ludzi z Iranu dokonywali wielkich odkryć, byli wybitnymi matematykami – jednak ja bardziej kocham te żarty, naszą kuchnię czy fakt, że w tym kraju można naprawdę doświadczyć wszystkich czterech pór roku jednocześnie.

Farshad: Czy jestem dumny z cokolwiek, co ma związek z Iranem? Jasne, że tak. Tylko że dzisiaj nie ma to większego znaczenia. Kocham to miejsce na ziemi, ale nienawidzę tego państwa, prowadzonego przez grupę dyktatorów.

Są takie momenty, że naprawdę wstyd mi się przyznać, skąd jestem. Przecież wszyscy oglądamy telewizję, słuchamy wiadomości. Wiadomo, że Ajatollahowie wspierają terroryzm na Bliskim Wschodzie, wysyłają sprzęt wojskowy Rosjanom.

Mnie jednak bardziej denerwuje to, że oni po prostu rujną mój kraj, zmuszając ludzi do wierzenia w te swoje zabobony.

Upadną również Ajatollahowie. Ale kiedy?

Nikt z nich nie jest wierzącym, praktykującym muzułmaninem.

Farshad porzucił religię, kiedy skończył 18 lat. Dziś budzi w nim tak wielką odrazę, że uważa praktykowanie jakiegokolwiek wiary monoteistycznej za objaw głupoty.

Soraya i Sara pochodzą z zsekularyzowanych rodzin, Islam nigdy nie był w ich życiu ważnym tematem. Peyman na pytanie o religię odpowiada śmiechem. Mówi, że trudno, żeby wierzył, skoro to właśnie fundamentalistyczna dyktatura wygoniła jego rodzinę z ojczyzny.

Czy mają nadzieję, że Iran będzie kiedyś demokratyczny?

Sara: nie wiem, kto miałby dokonać tej zmiany. Wszyscy moi znajomi, młodzi i dobrze wykształceni, albo już wyjechali albo planują zaraz to zrobić.

Niektórzy wyemigrowali dosłownie przed chwilą, rok czy dwa lata temu. Dla kobiet te protesty po śmierci Mahsy Amini były ważne, bo przecięły wszystkie linie podziałów społecznych: wiek, status majątkowy.

Ci, którzy zostają, rzadko robią to z wyboru. Czasem zdarza się ktoś, kto czuje się patriotą, nie chce opuszczać ojczyzny. Ale najczęściej po prostu brakuje im pieniędzy na podróż, albo nie mają jak się wydostać.

Soraya: Kiedyś byliśmy inni. Wierzyliśmy w demokrację, w ideały równości, było nam blisko do innych narodów. Nie do końca umiem sobie wyobrazić ścieżkę powrotu do tamtych czasów.

Farshad: Historia podpowiada, że każda autokracja kiedyś upada. Więc upadną również Ajatollahowie. Ale kiedy? Nie mam pojęcia. Może za 10, może za 200 lat.

Problem w tym, że Iran jest niesamowicie bogatym krajem dzięki naszemu zasobom naturalnym. Gaz, ropa, złoto, inne metale szlachetne. Oni to wiedzą, uwłaszczyli się na tym, to dla reżimu niekończące się źródło pieniędzy.

Jeśli połączysz potężne finanse z faktem, że jakaś część społeczeństwa mimo wszystko ich popiera, jesteś w stanie zrozumieć, dlaczego ten ustrój się trzyma tyle lat – nawet jeśli najlepsi już z tego kraju już uciekli.

Pod własnym imieniem

Na koniec rozmów pytam, na co są w stanie się zgodzić w publikacji. Soraya i Sara kategorycznie odmawiają podania prawdziwych imion, usuwają też większość szczegółów o rodzinie i miejscu, do którego wyjechały z Iranu. Peyman ma teoretycznie największy dystans do kwestii bezpieczeństwa, ale też nie chce pozwolić na opisanie szczegółów jego własnego życia.

To samo pytanie zadaje Farshadowi, na którego w ojczyźnie czekałoby pewne więzienie, a może nawet coś gorszego. Długo się zastanawia, w słuchawce rozlega się krępująca cisza. Odpowiada, zdecydowanym głosem.

– Możesz napisać wszystko, co ci powiedziałem. Tak, wszystko.

– Wiesz, że nie musisz tego robić. Na pewno mam podać Twoje prawdziwe dane osobowe?

– Tak. W końcu nie po to wychodziłem na ulicę, walczyłem o lepszy Iran, siedziałem w więzieniu, żeby nie móc teraz tego opowiedzieć pod własnym imieniem. ●

Chiny kontra Tajwan

ZAMIAST INWAZJI
BĘDZIE DŁAWIENIE

– Od pięciu do dziesięciu lat – twierdzi Miin Wu.

– Tyle wynosi nasza przewaga w rozwoju technologii i tyle mamy czasu na wykorzystanie obecnej prosperity, by wymyślić i zbudować jakąś kolejną kluczową przewagę.

Łukasz Grzymiśławski

TAJPEJ

Pan Wu mówi to w hallu biurowca firmy, którą zakładał dokładnie wtedy, gdy w Pekinie na placu Tiananmen czołgi rozjeżdżały marzenie o demokratycznych Chinach, natomiast na Tajwanie dopiero co zniesiono stan wojenny, obowiązujący od przegrania wojny domowej z komunistami w 1949 r., dopuszczono działalność innych niż Kuomintang partii politycznych i stopniowo wprowadzano wolność słowa.

Wu – sportowa marynarka narzucona na koszulę w kratę, ogorzała twarz nietknięta przez zabiegi kosmetyczne – reprezentuje pokolenie tajwańskich inżynierów, którzy opuścili kraj, gdy jego przemysł jeszcze nie miał nic wspólnego z branżą hi-tech, ale po zdobyciu dyplomów Stanforda czy Massachusetts Institute of Technology oraz doświadczenia w firmach takich jak Texas Instruments, wrócili, by wziąć udział w drugiej fazie tajwańskiego cudu gospodarczego. Wu zaangażował się – z błogosławieństwem rządu – w zachęcanie wykwalifikowanych emigrantów do powrotu, o co, jak mówi nienaganną angielszczyzną, było tym łatwiej, że „w tamtych czasach człowiek, dla którego angielski nie był pierwszym językiem, nie mógł zrobić w Ameryce takiej kariery, o jakiej by marzył”.

Dziś Macronix, którym kieruje Wu, dostarcza najbardziej zaawansowane układy scalone do każdego niemieckiego samochodu, każdej gry Nintendo, każdego pojazdu kosmicznego firmy SpaceX. Wu opowiada o tym, stojąc pod reprodukcjami okładek „Forbesa” ze swoją podobizną. Macronix nie jest tak znany jak TSMC, globalny potentat nr 1 w półprzewodnikach, monopolista w dostawach m.in. dla Apple’a, ale ich fabryki znajdują się obok siebie w Hsinchu Science Park niedaleko Tajpej. Pół godziny samochodem od dokładnie tego wybrzeża, na które desant od lat ćwiczy chińska armia.

Niezastąpiony czynnik ludzki

Dlaczego akurat Tajwan stał się tak ważnym elementem łańcucha dostaw światowego przemysłu opartego na półprzewodnikach? – Japonia była bezkonkurencyjna w latach 80. Ale brak konkurencji oznacza brak motywacji – tłumaczy Wu.

Fabryki na Tajwanie nie mogłyby funkcjonować bez udziału innych elementów

globalnego łańcucha przemysłu półprzewodników, w tym przede wszystkim bez projektów amerykańskiego Intela czy maszyn fotolitograficznych holenderskiej firmy ASML. – Ale naszą przewagą jest czynnik ludzki – mówi pan Wu, co brzmi z pozoru osobliwie w ustach kogoś, kto zbudował pierwszą na świecie w pełni skomputeryzowaną fabrykę chipów. – Produkcja to połowa procesu, reszta polega na kontroli jakości. Jeśli chip ma kierować systemami na pokładzie statku kosmicznego, musi być absolutnie niezawodny. Nad tym czuwa człowiek, ubrany w skafander, operujący w supersterylnym środowisku. Przez wiele godzin. My, Tajwańczycy, jeśli trzeba, potrafimy pracować po 15 godzin przez siedem dni w tygodniu – zapewnia Wu.

Tu jednak w nieskazitelnej narracji o tajwańskim cudzie pojawia się rysa. Bo pokolenie, które nie może pamiętać siermięgi czasów reżimu Czang Kaj-szeka i któremu etos pracy ich rodziców i dziadków wydaje się przestarzały, nie chce już pracować tak ciężko.

To jest jeden z problemów, przed którym stoi rządząca Tajwanem Demokratyczna Partia Postępowa (DPP). W styczniu wybory prezydenckie wygrał Lai Ching-te, co oznacza, że DPP osiągnęła bezprecedensowy sukces: trzecia kadencja z rządu należy do niej. Ale gdy przyjrzeć się bliżej, sytuacja polityka, który został zaprzysiężony trzy tygodnie temu, nie jest wcale aż tak do pozazdroszczenia.

Po pierwsze, DPP straciła w styczniu większość parlamentarną – na rzecz Kuomintangu, który z Chinami woli iść na miękko – i musi teraz polegać na kapryśnym wsparciu założonej raptem pięć lat temu lewicowej, a w oczach wielu populistycznej Partii Ludowej (TPP). Po drugie, nie był to pierwszy sygnał systematycznie spadającego poparcia: dwa lata temu DPP doznała bolesnej porażki w wyborach lokalnych, po których poprzedniczka Laia, prezydent Tsai In-wen, zrezygnowała z kierowania partią. Jej stery przejął właśnie Lai, z misją odświeżenia wizerunku DPP, chociaż on sam jest od dawna prominentną postacią tajwańskiej polityki – jako poseł, burmistrz dwumilionowego Tainanu, premier, wreszcie wiceprezydent.

Po trzecie, szybko zmienia się tajwańskie społeczeństwo. Owszem, rośnie poczucie tajwańskiej tożsamości, odrębnej od chińskiej – raptem kilka procent mieszkańców 24-milionowej populacji deklaruje, że nadal myśli o sobie jako Chińczykach. Ale z drugiej strony – co z punktu widzenia Zachodu, gdzie non stop pisze się o scenariuszach wojennych w Cieśninie Tajwańskiej, może się wydawać dziwne – kwestia

zagrożenia ze strony ChRL niemal w ogóle nie gra roli przy wyborczych urnach. Częściowo dlatego, że życie od siedmiu dekad w cieniu komunistycznego kolosa pozbaawiło ich strachu – to w Tajpej można usłyszeć od niemal każdego: ministra, dziennikarza czy sprzedawcy w sklepie „7 eleven”. Ale głównie dlatego, że mają inne palące problemy. To na nie stawia TPP i to ona zdobywa poparcie młodych ludzi na wyspie.

Na przykład w przeddzień inauguracji Laia TPP zorganizował wiec przed siedzibą DPP w Tajpej, domagając się realizacji obietnic składanych przez Tsai Ing-wen jeszcze w kampanii w 2016 r., a dotyczących poprawy sytuacji ekonomicznej młodej klasy średniej, która narzeka na niskie zarobki, niedostępność mieszkań, rosnące koszty życia i ogólnie pogłębiające się nierówności. Według TPP sytuacja wymaga zasadniczych reform – od systemu sprawiedliwości po media – łącznie ze zmianą konstytucji.

Ale na razie to inne protesty przyciągnęły uwagę świata. 28 maja parlament przyjął pakiet ustaw, które znacznie ograniczają prerogatywy rządu. Poza przyznaniem posłom opozycji dostępu do tajnych dokumentów rządowych oraz wpływu na kształt budżetu, w tym wojskowego, dodają one do kodeksu karnego zapis o „obrazie władzy ustawodawczej” i dają parlamentowi szerokie prawo do nakładania sankcji cywilnych i karnych na polityków za „brak współpracy i przejrzystości”. Przeciwno tym ustawom – a także sposobowi ich procedowania, z pominięciem czytań i debaty – odbywały się przed siedzibą parlamentu wielotysięczne manifestacje. Zwolennicy DPP, ale także wielu intelektualistów i prawników uważa, że przeforsowane przez KMT i TPP ustawy „są sprzeczne z konstytucją i osłabiają demokrację w imię partyjnych interesów”.

Tuż przed zaprzysiężeniem Laia w parlamencie doszło z tego powodu do regularnej bijatyki – rzeczy niewidzianej w Tajpej od 10 lat, kiedy to obywatelski Ruch Słoneczników zmusił Kuomintang do rezygnacji z ratyfikowania porozumienia handlowego z ChRL.

30-letnia mieszkanka Tajpej, zresztą pracowniczka publicznych mediów, mówiła mi podczas spotkania Laia z korpusem dyplomatycznym i zagranicznymi korespondentami, że ludzie z jej pokolenia odrzucają konserwatywny Kuomintang z definicji jako partię ancien regime’u, która nie rozumie, na czym polegają aspiracje młodych ludzi i skupia się na nostalgii starszego pokolenia nadal tęskniącego za „starymi Chinami” kontynentalny-

mi, natomiast do DPP zniechęca ich „obsesyjne” koncentrowanie się tej partii na kwestii niepodległości Tajwanu. A przecież wszyscy wiedzą, że planem maksimum jest utrzymanie status quo...

Status quo – to najpowszechniej znany łaciński termin na Tajwanie, gdzie cała klasa polityczna używa go do streszczenia swoich poglądów na temat przyszłości wyspy i funkcjonującej na niej Republiki Chińskiej (ROC). Ale oczywiście każdy rozumie to trochę inaczej.

To dotyczy nawet Kuomintangu, czyli spadkobierców nacjonalistycznego ruchu politycznego, który w 1912 r. zakończył erę mandzurskiej dynastii Qing i ustanowił Republikę Chińską. – W KMT ostro ścierają się różne frakcje, młodsza generacja jego polityków – jak obecny burmistrz stolicy, Chiang Wan-an, zresztą prawnuk Czang Kaj-szeka, przerwał karierę prawniczą w dużej kancelarii w kalifornijskim Palo Alto, by wejść do polityki i zapewne w końcu walczyć o prezydenturę – ma inne poglądy na relacje z Pekinem niż starszej daty wierzuszka partii – mówi mi Chris Buckley, przez ponad 20 lat korespondent „NYT” w Chinach, obecnie w Tajpej.

Za symboliczne dla złożonej relacji Tajwańczyków z kontynentem można uznać wyspy Kinmen, leżące 190 km od brzegu Tajwanu, ale tylko 5 km od chińskiej prowincji Fujian. W 1958 r. armia ROC odparła tu atak armii Mao Zedonga. Potem wznieśli tu stojące do dziś zapory antydesantowe. Z wysp wyraźnie widać skyline chińskiego miasta Xiamen, a z ustawionych na brzegu specjalnych głośników nadal płynie propagandowy przekaz. Miał być przeznaczony głównie dla pasażerów promów, które kursowały na Kinmen od 2001 r. Teraz pasażerowie promów to głównie Tajwańczycy, którzy udają się do Xiamen na tanie zakupy – w ubiegłym roku zrobiło to 700 tys. ludzi.

A pozostałe połączenia z kontynentem? Od czasu otwarcia bezpośrednich lotniczych nad Cieśniną Tajwańską 16 lat temu, Tajwańczycy do końca ubiegłego roku skorzystali z nich ponad 38 mln razy – to drugi najpopularniejszy kierunek wyjazdów, po Japonii. Ale stopniowo zmienia się struktura wiekowa podróżujących na kontynent – to ludzie coraz starsi. „Młodzi nie odwiedzają świątyń, nie szukają kojarzonych z przeszłością krajobrazów. Wolą destynacje zorientowane na efektowne zakupy, zabawę, jedzenie i dostarczanie z tego relacji na swoich profilach społecznościowych” – mówił „Taipei Times” Huang Cheng-tsung, profesor na Wydziale Turystyki Uniwersytetu Providence. Rekord padł w 2018 r.: ponad 4 mln wyjazdów do Chin.

– Czy wie pan, ile cyberataków każdego dnia odnotowujemy w tym kraju? – pyta Eve Chiu z Taiwan FactCheck Center. – **Milion. Średnio milion codziennie**



• **Prezydent Lai Ching-te w bazie wojskowej w Taoyuan 23 maja – trzy dni po swoim zaprzysiężeniu i kilka godzin po rozpoczęciu przez Chiny manewrów wokół Tajwanu**

FOT. REUTERS/ANN WANG

Dziś, rok po ponownym otwarciu granicy po pandemii, to 1,7 mln wyjazdów w skali roku. Także dlatego, że Pekin zakazuje zorganizowanych wycieczek na Tajwan, więc Tajwan zdecydował o podobnym zakazie. Mimo że przed pandemią turystyka przez cieśninę stanowiła 40 proc. całego ruchu lotniczego z i do Tajwanu.

Lekcja z Hongkongu

Na pytanie, czy Tajwańczycy poważnie traktują chińską propozycję „jednego kraju, dwóch systemów”, były już wiceminister spraw zagranicznych, Tien Chung-kwang mówi krótko: – Wystarczy spojrzeć, co stało się z Hongkongiem. Jeśli miał być przykładem, to Pekin po prostu skreślił, dostarczając nam pouczającą lekcję. Pod władzą Komunistycznej Partii Chin nigdy nie będzie żadnych dwóch systemów. Skupiamy się na walce z dezinformacją, sugerującą, że mogłoby być inaczej.

Poza tym na razie Tajwan kupia się na dostarczaniu światu 90 proc. spośród najbardziej zaawansowanych czipów. Chodzi zwłaszcza o te najmniejsze, w rozmiarze 3 nm – a wkrótce upakowane jeszcze ciałniej (dla porównania: średnica koronawirusa to ok. 100 nm) – bez których nie ma mowy o rozwoju systemów sztucznej inteligencji. M.in. dlatego prezydent Joe Biden już co najmniej dwukrotnie zakwestionował „strategiczną niejednoznaczność” USA wobec Tajwanu i otwarcie przyznał, że Amerykanie jednak będą bronić tego kraju w razie chińskiej agresji.

Ale ta przewaga Tajwanu jest krucha. Z jednej strony budowa fabryki czipów najwyższej generacji to koszt do kilkuset miliardów dolarów plus kosmiczne standardy precyzji i sterylności plus dostęp do odpowiednich zasobów wody niezbędnej do produkcji. Z drugiej jednak – inni też chcą mieć tę technologię. Gdy Vivek Ramaswamy ubiegał się jeszcze o nominację Republikańców na prezydenta, oznajmił, że USA powinny ochraniać Tajwan, dopóki nie

rozwiną całkowicie własnej technologii super zaawansowanych półprzewodników, a potem po prostu porzucić. A Ramaswamy to potencjalnie kluczowy urzędnik ewentualnej administracji Trumpa.

Catherine Hsu z tajwańskiego MSZ, na pytanie, czy Tajwan nie obawia się utraty swojego głównego atutu w „asymetrycznej rywalizacji”, odpowiada, że szefowie TSMC już raz wykazali się dalekosiężną wizją, gdy w latach 80. postanowili inwestować w półprzewodniki. „I teraz także im ufamy”.

Sinolog Marcin Jacoby mówił w rozmowie z „Wyborczą”: „Gdyby fabryki na Tajwanie zostały zniszczone, to wszystkie najbardziej zaawansowane firmy na świecie mają gigantyczny problem. Nie tylko Chińczycy, ale my wszyscy – koniec z łatwym dostępem do tysięcy kluczowych produktów. Świat wkroczyłby w najgłębszą recesję”.

Pekin o tym dobrze wie – i na tym polega „polisa ubezpieczeniowa” Tajwanu. Ostatnio agencja Bloomberg napisała, powołując się na anonimowego inżyniera z TSMC, że na dobrą sprawę nie trzeba wiele, aby od ręki uniemożliwić produkcję półprzewodników: wystarczy rozsyłać w odpowiednim miejscu fabryki worki mąki. A wtedy ewentualne odtworzenie sprzętu do produkcji zaawansowanych czipów zajęłoby lata. Pośrednio potwierdzał to w rozmowie z „Die Welt” Thomas Mikołajick, profesor nanoelektroniki na Uniwersytecie Technicznym w Dreźnie: „Maszyny ASML, każda warta ok. 200 mln dol., są niezwykle wrażliwe na najmniejsze zakłócenia sterylności. I tylko ci, którzy je zbudowali, mogą naprawić bardziej złożone problemy”. Mowa o urządzeniach, które po zdemontowaniu w hermetycznych warunkach mieszczą się w trzech boeingach 747 cargo.

Lai chce dążyć do posiadania przez Tajwan „zrównoważonego” środowiska przemysłowego, czyli wykorzystania sztucznej inteligencji, aby ułatwić rozwój sektorów bardziej tradycyjnych, w tym chemicznego, produkcji baterii i energii odnawialnej. Celem jest m.in. zbudowanie własnego przemysłu urządzeń zasilających, aby „ułatwić rozwój inteligentnych sieci i autonomicznych pojazdów elektrycznych”. „Nie

ma potrzeby, by wszystkie firmy rozwijały zaawansowane technologie, jak 2- i 1,4-nanometrowe półprzewodniki” – głosi nowa polityka Narodowa Rada Nauki i Technologii, która chce eksportować model „parków naukowych”, ale utrzymać centrum badawczo-rozwojowe i najbardziej zaawansowany know-how w kraju.

Etosem pracy pokolenia pierwszych demokratów

Lai w swoim przemówieniu inauguracyjnym skupiał się na potrzebie stabilności, której wymaga dalszy rozwój Tajwanu, o lekkomyślnej partyjnej walce, która, jeśli będzie eskalować, zostanie wykorzystana przez Pekin do torpedowania suwerenności Tajwanu. Lai natomiast widzi Tajwan jako główną siłę stabilizującą sytuację w regionie, ale osiągnięcie tej pozycji wiąże się dla niego w pierwszej kolejności z utrzymaniem innowacyjności i maksymalnej niezależności gospodarki. A to oznacza „ciężką pracę, wzajemną uprzejmość i hojność”. Indywidualne przetrwanie każdego Tajwańczyka zależy od solidarności całego społeczeństwa – przekonywał Lai. Czyli obywatele powinni być odpowiedzialni i nie przedkładać swojego osobistego interesu ponad dobro ogółu.

To w dużej mierze pasuje do etosu, z jakiego wyrasta nowy prezydent. Pochodzi z robotniczej rodziny, jest jednym z siedmiorga dzieci górnik, który zginął w wypadku w kopalni, gdy Lai miał niespełna dwa lata. Przed wyborami Lai mówił reporterowi „Time’a”, że „trudne życie nauczyło go determinacji”. Według wielu komentatorów, ta determinacja zostanie teraz w całości użyta w zwarciu z Chinami.

To można było usłyszeć między wierszami mowy Laia, wygłoszonej przed 20 tysiącami ludzi ze schodów pałacu prezydenckiego, który kiedyś był siedzibą japońskiego gubernatora: militarna presja Pekinu, groźby i dezinformacja nie mają sensu, nie będziemy dążyć do zadeklarowania niepodległości, bo chcemy zachowania status quo, czyli sytuacji, w której faktycznie jesteśmy suwerennym państwem. A ChRL powinna się z tym pogodzić i rozmawiać po partnersku. Ani słowa o tzw. „konsensusie z 1992 roku”, czyli uznaniu przez Pe-

kin i Tajpej, że istnieją tylko „jedne Chiny”, lecz pozostaniu obu stolic przy odmiennych interpretacjach tej zasady.

Kiedy 64-letni dziś Lai zaczynał studia, Tajwan był nadal krajem de facto autorytarnym, bez wolności słowa i z surowymi prześladowaniami krytyków reżimu. Krajem w zasadzie odizolowanym od świata i zacofanym, a teraz, jak sam Lai mówił w niedzielę dziennikarzom, to 20. największa gospodarka świata, kwitnąca demokracja liberalna z prosperującą branżą high-tech i otwartym społeczeństwem. Otwartym w bardzo zachodnim sensie tego słowa: w 2019 r. Tajwan stał się pierwszym krajem Azji, który zalegalizował małżeństwa par LGBTQ, a potem zezwolił im także na adopcję dzieci. W ubiegłorocznym zestawieniu World Press Freedom Index przygotowanym przez Reporterów Bez Granic Tajwan znalazł się na 35. miejscu, zostawiając w tyle Japonię, Koreę Płd., nie mówiąc o rządzonej jeszcze wtedy przez PiS Polsce. I dlatego właśnie – jak uważa DPP – Chiny nie spoczną, póki go sobie nie podporządkują – bowiem stanowi dobitny przykład, czym mogłyby być Chiny, gdyby nie rządziła nimi partia komunistyczna.

Lai przez swoich współpracowników z różnych etapów kariery uważany jest za człowieka wrażliwego, a zarazem pryncypialnego, porywczego i upartego. Słowem: nie jest to typ lidera, który unika spieć. Jeszcze kilka lat temu określał siebie jako „pragmatycznego pracownika na rzecz niepodległości Tajwanu”, za co Pekin otwarcie go nie znosi, a Kuomintang atakuje, zarzucając mu „awanturnictwo”. Jednak jako prezydent Lai przyjmie raczej linię swojej poprzedniczki, która wyciągała wnioski z faktu, że także założycielom Republiki Chińskiej przyświecała zasada „jednych Chin” – tylko nie komunistycznych.

Łowienie krewetek z królem Eswatini

Lai – lekarz z dyplomem Harvardu, uznany specjalista od rehabilitacji po urazach rdzenia kręgowego – to już piąty prezydent od wprowadzenia wolnych wyborów. Ale chociaż Tajwan ekonomicznie ma się najlepiej w swojej historii (bezrobocie w kwietniu: 3,4 proc., wzrost PKB w I kwartale:

6,5 proc.), jest także w najtrudniejszej jak dotąd sytuacji. Chiny wydają 300 mld dol. rocznie na zbrojenia, ale jeszcze więcej na globalną ekspansję gospodarczą, przy okazji coraz silniej izolując Tajwan na arenie międzynarodowej. Odkąd w latach 70. Nixon i Kissinger doprowadzili do zbliżenia z Chinami (w ramach osłabiania ZSRR), Tajwan był skazany na postępującą marginalizację. W efekcie do dziś nie może się doprosić nawet o przyjęcie do WHO ze statusem obserwatora, chociaż jego doświadczenia w skutecznym zwalczaniu pandemii wszystkim mogłyby się przydać. Ale nikt nie chce drażnić Pekinu, dla którego zasada „jednych Chin” jest żelaznym dogmatem.

Efekt jest taki, że w wizyta w dzielnicy rządowej w Tapej zmusza każdego do weryfikacji wiedzy na temat państwowej heraldyki. Wzdłuż reprezentacyjnych alei powiewają rzadko oglądane flagi Eswatini (dawniej Swaziland), Palau, Saint Lucii czy Tuvalu. Największym z kilkunastu państw nadal uznających Tajwan jest Paragwaj. A Lai, zamiast gościć na inauguracji liderów państw G7, musiał urządzić sobie (to popularna lokalna rozrywka) zawody w łowieniu krewetek z królem Mswatim III z Eswatini i prezydent Wysp Marshalla, Hilda Heine.

Armia to za mało

Nowy rząd zapowiedział już wyciągnięcie wniosków z przebiegu wojny w Ukrainie – i przeznaczy miliony na rozwój i produkcję „wielu tysięcy” dronów różnego rodzaju, zamiast stawiać wyłącznie na kosztowne ciężkie uzbrojenie. Do tego – w ramach odstrasżającej „strategii pancernika” – rozwój własnych okrętów podwodnych, systemów przeciwookrętowych i obrony powietrznej. Bieżący pakiet militarnej pomocy o wartości 1,9 mld dol. został już odblokowany przez Kongres USA, razem z pomocą dla Ukrainy. Tajpej kupuje poza tym samoloty F-16V, czołgi M1 Abrams i systemy HIMARS.

Tyle że to może nie wystarczyć. Przez lata USA koncentrowały się na wzmacnianiu obrony wojskowej Tajwanu przed potencjalną inwazją Chińskiej Armii Ludowo-Wyzwoleńczej. Jednak nowy raport American Enterprise Institute i Institute for the Study of War (From Coercion to Capitulation: How China Can Take Taiwan Without War), wskazuje na alternatywne chińskie strategie.

Z punktu widzenia niecierpliwych ludzi Zachodu fakt, że Chiny mimo swojego militarnego potencjału nadal nie zdecydowały się na siłowe „przyłączenie Tajwanu do macierzy”, świadczy o tym, że po pro-

stu nie wiedzą, jak to zrobić, co biorąc pod uwagę nikle doświadczenie bojowe chińskiej armii może wydawać się prawdopodobne. Ale gdy uwzględnić sposób, w jaki na Dalekim Wschodzie projektuje się strategię działania – na wiele dekad do przodu – można uznać, że bardziej atrakcyjnym sposobem na realizację głównej ambicji Xi Jinpinga nie jest zajęcie Tajwanu, ale „zaduszenie” go, czyli doprowadzenie do sytuacji, w której nie będzie miał wyboru i sam odda się pod kuratelę Pekinu.

Raport wylicza środki prowadzące do tego celu: groźby i presja na sojuszników Tajpej, przymus ekonomiczny i izolacja międzynarodowa. Już teraz ktokolwiek rozwija swoje relacje z Tajwanem, stoi w obliczu presji i odwetu ze strony Pekinu.

Zwiększona aktywność chińskiej armii wokół Tajwanu w ciągu ostatnich miesięcy ma podsycać narrację Pekinu, wzmacnianą na masową skalę w mediach społecznościowych, że Tajwan nie jest w stanie się obronić, a USA są niewiarygodnym partnerem, który będzie bezradny, gdy stanie wobec stopniowo wprowadzanych faktów dokonanych.

Te fakty dokonane zaś to: intensyfikacja wojny gospodarczej i cybernetycznej w celu odizolowania Tajwanu, blokada morska i powietrzna lub zażądanie przez Pekin prawa do inspekcji wszystkich statków i samolotów, sabotaż infrastruktury, kampanie propagandowe i dezinformacyjne prowadzące do utraty przez tajwański rząd zaufania opinii publicznej.

Aby zająć Tajwan bez ani jednego wystrzału, Pekin będzie ingerować w wybory na Tajwanie, sabotaż infrastruktury, kampanie propagandowe i dezinformacyjne prowadzące do utraty przez tajwański rząd zaufania opinii publicznej.

Wojna informacyjna i hybrydowa trwa od dawna. Ale potencjalnie potężniejszą bronią jest wojna kognitywna, czyli wpływanie na percepcję, przekonania i podejmowanie decyzji przez przeciwnika, zarówno władze, jak i opinię publiczną.

– Czy wie pan, ile cyberataków każdego dnia odnotowujemy w tym kraju? – pyta Eve Chiu z działającej na zasadach NGO instytucji o nazwie Taiwan FactCheck Center. – Milion. Średnio milion codziennie.

Jej zespół to 16 ludzi, w tym dziewięćoro dziennikarzy. Ich misja: „weryfikacja faktów związanych z kwestiami interesu publicznego w celu promowania wiarygodnych informacji i umiejętności korzystania z cyfrowego ekosystemu informacyjnego”.

Czego dotyczą ich weryfikacje? Głównie popularnych postów w mediach społecznościowych, które okazują się bardziej lub mniej udolnie spreparowanymi fałszywkami. Jak deep fake z wypowiedzi pewnego amerykańskiego kongresmena, który rzekomo mówi o tajwańskich separatystach pragnących uwikłać USA w kolejną wojnę, choć w rzeczywistości jego wypowiedź dotyczyła subsydiów dla farmerów w Iowa.

– Inny przykład: po niedawnej zapowiedzi rządu, że uchyli drzwi do pracy na Tajwanie, tradycyjnie prowadzącym restrykcyjną politykę imigracyjną, dla informatyków z Indii – mówi Chiu – social media załazy posty o wulgarnych Hindusach, którzy nie potrafią adaptować się w obcych kulturach. Identyfikujemy fałszywe konta, które masowo rozprowadzają tego typu feйки.

Inny przykład: zdjęcie dostarczone przez chińską agencję Xinhua, którym media na całym świecie ilustrowały doniesienia o chińskich manewrach wokół Tajwanu prowadzonych w ramach reperkusji po wizycie w Tajpej spikerki Kongresu USA Nancy Pelosi.

Chiu: – Z pozoru to niewinna fałszywka: chiński żołnierz przez lornetkę obserwujący z pokładu okrętu tajwański statek straży przybrzeżnej. Ale w tle jest konkretny fragment naszego wybrzeża, a komunikat brzmi: jesteśmy blisko, możemy wszystko, jeśli tylko uznamy, że posuwacie się za daleko. Wszystko jednak na tym zdjęciu jest zmanipulowane: żołnierz nałożony na morskie tło i tajwański okręt wklejony w pasujący krajobraz. Pelosi była na Tajwanie dwa lata temu. Zdjęcie z Xinhua, choć po naszej interwencji zostało przez agencję AP opisane jako niewiarygodne, ponownie ilustruje teksty o chińskich manewrach, tych, które Pekin zarządził po przemówieniu inauguracyjnym Laia, przez Chiny uznanym za „podżegające do wojny”.

Ukraina zmienia strategię Chin

W maju „Foreign Affairs” napisał, że posiadanie przez Tajwan wysokiej klasy sprzętu wojskowego w niewielkim stopniu utrudni Chinom przejmowanie „pełzającej kontroli”. Zamiast tego Tajwan powinien raczej tworzyć strefy buforowe, które będą chronić jego przestrzeń powietrzną, szlaki żeglugowe, ale przede wszystkim gospodarkę. Np. aby osłabić skutki sabotażu podmorskich kabli, Tajwan podpisał już umowę z Eutelsat OneWeb – systemem analogicznym do Starlink, który okazał się tak istotny na Ukrainie.

Zeznając przed senacką komisją w 2021 r., admirał Philip Davidson, by-

ły dowódca wojsk USA na Indo-Pacyfiku, oznajmił: „Myślę, że zagrożenie inwazją pojawi się w ciągu tej dekady”. Tzw. „okno Davidsona” stało się od tego czasu elementem amerykańskiej doktryny wobec Azji. Jednak cierpliwa, długoterminowa polityka Chin wobec Tajwanu zakładająca, że zjednoczenie to „historyczna nieuchronność”, sugeruje, że prawdopodobniejszym od inwazji planem Pekinu jest stopniowa intensyfikacja polityki, którą już prowadzi: coraz silniejsze wkraczanie w przestrzeń powietrzną, morską i informacyjną Tajwanu. Należy spodziewać się większej liczby tzw. „operacji w szarej strefie”, które nie mają charakteru militarnego, ale będą dławić Tajwan – przekonują Isaac Kardon i Janet Kavannagh z think tanku Carnegie Endowment for International Peace.

Ta kampania przy okazji zademonstruje granice potęgi USA w Azji. Amerykanie i ich sojusznicy raczej nie użyją rakiet, jeśli Chiny nie dostarczą wyraźnego casus belli. Zamiast tego mogą pogrążyć się w debatach, czy Chiny przekroczyły czerwoną linię.

Tajpej powinno się zatem skoncentrować na bezpośrednich inwestycjach zagranicznych, by budować powiązania gospodarcze, które będą bardziej odporne na zakłócenia ze strony Chin. Czyli zrobić wszystko, by nie powtórzyć losu Hongkongu, którego autonomia została zduszona bez jednego wystrzału.

Zdaniem analityków, zmiana w podejściu Pekinu jest wyraźna od 2022 r. To właśnie niepowodzenia Rosji na Ukrainie zwiększyły atrakcyjność strategii powolnego dławienia. Trwa dłużej, ale jest tańsza i mniej ryzykowna. A ostatecznie nawet bardziej skuteczna.

Co jednak z tą nową przewagą, która ma zastąpić półprzewodniki w roli gwaranta bezpieczeństwa kraju? Miin Wu, szef Macronix: – Jeśli chcesz coś znaczyć w globalnej konkurencyjnej gospodarce, musisz być najlepszy przynajmniej w jednej dziedzinie. Po to zakładamy interdyscyplinarne szkoły innowacyjnych zastosowań sztucznej inteligencji. Wszyscy liderzy branży już nad tym pracują.

Tylko nieco bardziej konkretny jest Scott Huang, który w Hsinchu Science Park pracuje przy planowaniu inwestycji. – Najbardziej obiecujące są teraz start-upy zajmujące się wykorzystaniem AI do diagnostyki medycznej i inżynierii genetycznej.

Pięć do dziesięciu lat: tyle musi wystarczyć, żeby znaleźć kolejną polisę ubezpieczeniową dla tajwańskiego status quo.

REKLAMA

Kraj/34321478

SERIA KRYMINALNA

MORDERSTWO W EKSKLUZYWNYM POMORSKIM HOTELU, ZAGINIONE DZIEŁA SZTUKI I NAZISTOWSKIE SEKRETY!

🔊 Ta książka potwierdza, że Julia Łapińska jest jedną z najzdolniejszych autorek młodego pokolenia.

Anna Kańtoch

Niesamowity rozkwit nowego języka

Już 50 mln ludzi używa spanglish

Spanglish, dynamiczna mieszanka hiszpańskiego i angielskiego, jest najszybciej rozwijającą się hybrydową odmianą języka na świecie. Żadna instytucja nie jest w stanie go okiełznać.

Paola Nagovitch

EL PAÍS

Wobrzebie jednego zdania Rolando Hernández zρέcennie łączy angielskie i hiszpańskie słowa oraz składnię. Jego narracja jest płynna, nawet gdy przelacza się z jednego języka na drugi. Nie robi tego, aby przetłumaczyć to, co chce powiedzieć na angielski lub odwrotnie; po prostu zakłada, że słuchacz doskonale go zrozumie. Ten 26-letni Amerykanin kubańskiego pochodzenia jest perfekcyjnie dwujęzyczny – ale najczęściej posługuje się spanglish. W jego dzielnicy Miami, Hialeah, gdzie trzy czwarte mieszkańców ma kubańskie korzenie, a 95 proc. populacji to Latynosi, spanglish „jest wszędzie, od menu w McDonaldzie po galerie handlowe w Wynwood” – mówi Hernández.

Szacuje się, że od 35 do 40 milionów ludzi w USA komunikuje się za pomocą hybrydy angielskiego i hiszpańskiego – z ogółu 62 milionów Latynosów mieszkających w tym kraju.

Jest to liczba, która będzie tylko rosnąć wraz ze wzrostem społeczności latynoskiej w nadchodzących latach: oczekuje się, że do 2060 r. co czwarty Amerykanin będzie pochodzenia latynoskiego. „To najszybciej rozwijający się język hybrydowy na świecie”, mówi Ilan Stavans, badacz kultury latynoskiej w Amherst College w Massachusetts.

Prasowanie międzynarodowe

Istnieją jednak różne rodzaje spanglish, w zależności od kraju pochodzenia społeczności, która się nim posługuje. Portorykańscy w Nowym Jorku mówią w nuyorican, który łączy portorykańskie słowa z głównie afroamerykańskim angielskim, podczas gdy Kubańczycy na Florydzie komunikują się w cubonics, a Meksykanki w Kalifornii mają własną wersję, chicano.

Niezależnie od tych niuansów związanych z pochodzeniem, spanglish ogólnie funkcjonuje w trzech trybach, jak wyjaśnia dr José Medina, lingwista i konsultant edukacyjny, który współpracuje z władzami edukacyjnymi w całym kraju w celu tworzenia i rozwijania programów dwujęzycznych.

„Pierwszy rodzaj wynika z notorycznego naprzedmiennego posługiwania się dwoma językami. Oznacza to, że ludzie mogą zacząć wypowiedź w jednym języku i szybko przejść do drugiego, ponieważ po prostu tak elastycznie działa nasz umysł. Drugim sposobem jest doraźne słowotwórstwo



• Javier Morillo z Wenezueli ze swoim ośmiomiesięcznym synem tuż po przekroczeniu Rio Grande, stanowiącej granicę USA i Meksyku. W zeszłym roku zrobiło to 1,8 miliona ludzi

lub zamiana angielskiego słowa w zdaniu na hiszpańskie i odwrotnie. Moim ulubionym słowem tego typu jest planching, połączenie planchando i ironing – prasowanie w odpowiednio hiszpańskim i angielskim. Natomiast najciekawszym sposobem realizowania spanglish jest skupienie się na modyfikacji składni, tak jak wtedy, gdy latynoski uczeń mówi po angielsku: „The car blue is going fast”, wprowadzając w angielskie zdanie hiszpański szyk: el carro azul. W języku hiszpańskim rzeczownik jest zawsze na pierwszym miejscu, a po nim przymiotnik, odwrotnie niż w angielskim”.

Dla Mediny osoby, dla których hiszpański jest pierwszym językiem, często posiadają „supermoc”: translingwizm, czyli zdolność do płynnego poruszania się między językami. „Wszyscy mamy potencjał do stałego poszerzania repertuaru językowego, w tym elastycznego mobilizowania tych jego elementów, których potrzebujemy w danych momentach. Przykład spanglish daje nam możliwość zrozumienia, że mieszanie języków nie jest niczym złym. Przeciwnie, możemy używać obu języków w tym samym czasie, także na poziomie akademickim” – wyjaśnia badacz.

Bycie z dwóch kultur naraz

Przez dziesięciolecia ludzie, którzy mówili po hiszpańsku z wtrętami anglosaskimi, byli postrzegani negatywnie, zarówno w Stanach Zjednoczonych, jak i w ich krajach ojczystych. Uważano, że nie są wystarczająco portorykańscy lub meksykańscy, ale też tym bardziej wystarczająco amerykańscy. Z jednej strony społeczeństwo latynoamerykańskie wmawiało im, że mówią rzekomo niepoprawnym hiszpańskim, a z drugiej strony w USA byli ganieni za to, że nie doskonalą swojego angielskiego.

Ich latynoskość – i ogólnie tożsamość kulturowa – była nieustannie kwestionowana, a spanglish był postrzegany jedynie jako pośredni – a więc tymczasowy – etap w procesie pełnej asymilacji z amerykańską kulturą i językiem angielskim. Coś, z czego ludzie powinni „wyrosnąć”, gdy nauczą się angielskiego i wyemancypują na amerykańskiego obywatela.

Ta wrogość wobec spanglish narodziła się w samych społecz-

nościach migrantów. Medina wspomina, że w jego domu rodzice, którzy wyemigrowali z Ciudad Juárez w Meksyku, zawsze karčili go, by mówił „albo po angielsku, albo po hiszpańsku, nigdy w obu naraz”.

System edukacyjny także wpływał na demonizację form hybrydowych. Medina przywołuje traumatyczne doświadczenie z początku nauki w pierwszej klasie w Teksasie pod koniec lat 70.: „Od razu zmienili moje imię z José na Joe, a potem zakazali używania hiszpańskiego. Gdy wpadłem z tego powodu w dziecięcą panikę, przywiązali mnie nawet do noszy. Posikałem się ze strachu, więc na tych posikanych noszach zabrali mnie na moje pierwsze lekcje”.

A mimo to spanglish przetrwał jako „sposób na przystosowanie się do życia USA bez całkowitej utraty własnej kultury”, wyjaśnia Ed Morales, profesor w Centrum Studiów Etnicznych i Rasowych na Uniwersytecie Columbia w Nowym Jorku i autor książki „Living in Spanglish” (2002). Dla Moralesa mówienie po hiszpańsku w USA nie oznacza, że ktoś, kto to praktykuje, „nie jest ani stąd, ani stamtąd”, ale przeciwnie: „jest z obu miejsc naraz”. „Tak tworzy się hybrydowa tożsamość, która czerpie z obu źródeł i otwiera je na przyszłość” – dodaje.

Stavans: „Spanglish nie jest wcale krokiem w procesie przyswajania języka angielskiego, ale uznaniem, że kultura latynoska w Ameryce ma swój własny idiom, który nie jest hiszpański i nie jest angielski”.

Dla Rolando Hernández, którego rodzina wyemigrowała z Kuby do Miami w 2007 r., spanglish stanowił „próbę dopasowania się do nowego kraju”. Jego rodzice nie mówili początkowo po angielsku

i chociaż w Miami hiszpański jest na porządku dziennym, „istniały i cały czas istnieją środowiska edukacyjne lub zawodowe, w których nie da się uczestniczyć bez dostatecznej znajomości angielskiego. „To była duża przeszkoda w osobistym rozwoju, a z pomocą przychodził właśnie spanglish „, mówi.

Zakupy online w spanglish, czyli wejście do głównego nurtu

Ten hybrydowy idiom, który narodził się jeszcze w XIX w. na granicy Stanów Zjednoczonych i Meksyku, jest obecnie zjawiskiem globalnym. Początki to okres wojny amerykańsko-meksykańskiej w latach 1846-48, kiedy to miały miejsce pierwsze językowe spotkania między uczestnikami konfliktu. Spanglish kontynuował ekspansję podczas kolejnej wojny: hiszpańsko-amerykańskiej w 1898 roku, kiedy to Stany Zjednoczone wkroczyły na Karaiby. Od tego momentu „rozpoczęła się wielka migracja w regionie, tworząc obszar, na którym oba języki są systematycznie mieszane” – wyjaśnia Stavans. W ciągu XX wieku spanglish stale poszerzał zasięg i z języka pogranicza stał się również migracyjną odmianą hiszpańskiego, wraz z przybyciem tysięcy ludzi z Ameryki Łacińskiej za chlebem do USA.

Ale dopiero w ostatniej dekadzie spanglish „przeniósł się z kulturowych peryferii do centrum”, twierdzi Stavans. Kiedy on sam zaczął badać to zjawisko na początku tego wieku, ludzie nie traktowali poważnie jego wysiłków. „Ale obecnie, kiedy wygłaszam wykład używając spanglish, nikt już się nie śmieje. Ludzie traktują to jako coś normalnego, mogą być za lub przeciw używaniu takiej formy komunikacji, ale nie postrzegają jej już jako czegoś dziwnego i obcego”.

Ekspert wyjaśnia, że ta akceptacja wynika z „medialnej ofensywy” spanglish, który jest stosowany w sztukach teatralnych, muzyce słyszanej na całym świecie, filmach, powieściach, w tym książkach dla dzieci. Latynoscy artyści – zwłaszcza wywodzący się z muzycznego gatunku reggaeton – wynieśli spanglish na szczyty list przebojów, z tekstami, które z kolei napędzały jego użycie we wszystkich zakątkach świata. Istnieją już także sieci społecznościowe, aplikacje i strony internetowe, które promują jego użycie, a wiele korporacji i firm już go zaakceptowało. „Toyota i Colgate produkują reklamy w spanglish, sieć kablowa Hallmark prowadzi sprzedaż towarów online w spanglish”, wylicza Stavans.

Podczas gdy mieszkanki takie jak portunol, używany na pograniczu Hiszpanii i Portugalii, czy franol z obszaru Pirenejów, są odmianami czysto pragmatycznymi związanymi z niedużym obszarem, spanglish zdołał już wykroczyć poza granice i szlaki migracyjne i stać się globalnym zjawiskiem eksportowanym do innych krajów. „Jeśli połączyć używające go populacje w USA i Ameryce Ła-

cińskiej, otrzymamy ok. 50 milionów ludzi” – zauważa Stavans.

Nie ma czegoś takiego jak „poprawny hiszpański”?

Real Academia Española (Akademia Hiszpańska, która w chwili powstania w XVIII wieku miała „dbać o czystość i elegancję języka kastylijskiego”, dziś natomiast po prostu zajmuje się regulacjąmi i rozpowszechnianiem hiszpańskiego na świecie) dodała termin spanglish do swojego słownika w 2014 roku, definiując go jako „sposób mówienia niektórych latynoskich grup w USA, w którym mieszają się elementy leksykalne i gramatyczne języka hiszpańskiego i angielskiego”. Jednocześnie do słownika hiszpańskiego włączono również słowa takie jak: parquear, czasownik pochodzący od „to park”; tipear, które pochodzi od „to type something”, czyli pisać na klawiaturze; lub chequear, od „to check something”, czyli sprawdzać coś. Jednak nadal w bardziej konserwatywnych i tradycyjnych kręgach spanglish jest postrzegany jako „zabrudzony” hiszpański.

Tylko że dla badaczy języków, jak Stavans, „nie ma czegoś takiego jak poprawny język – istnieje aspiracja do używania poprawnego języka, ale by język był żywy i przetrwał, zawsze trzeba się dostosowywać do jego oddolnych przemian”.

„Mamy to utopijne marzenie, że istnieje poprawny, kanoniczny język i dlatego istnieje instytucja taka jak Real Academia Española, która ma chronić hiszpański jako taki.

Ciekawe jednak, że angielski, mimo że jest jednym z najpopularniejszych języków na świecie, nie ma żadnego odpowiednika takich czuwających nad jego czystością instytucji” – zwraca uwagę badacz. „Angielski ma, owszem, instytucje, które są raczej opisowe niż nakazowe – taką rolę pełnią akademickie słowniki, w tym najstarszy Oxford English Dictionary.

Hiszpańska akademia ma natomiast nadal tendencję do nakazywania, jak powinno się mówić po hiszpańsku. W Stanach Zjednoczonych słowniki mają jedynie kompetentnie odzwierciedlać to, jak ludzie mówią. Myślę, że spanglish rozwinął się tak dynamicznie właśnie dzięki tej otwartości w drukowanej w angielski, który nie tłumi zjawisk idących oddolnie, ale włącza je w kanon językowy, zyskujący w ten sposób szerszy zasięg i elastyczność.

Ale spanglish, jak podkreśla Morales, jest również postrzegany jako polityczne narzędzie dekolonizacji naszego sposobu myślenia. „Nie ma mowy, żeby Hiszpanie w Madrycie nakazywali nam, jak mamy mówić po hiszpańsku” – podsumowuje.

Anyways, dla większości użytkowników jest to nie kwestia identidad, a simply sposobu, w jaki hablan. ●

Tłum. Łukasz Grzymiśławski



Adam Michnik poleca Antysemityzm na uczelniach Europy Środkowej (2)

ZWALCZAJCIE RASĘ STRASZNYCH BEKARTÓW



• **Protest antyżydowski i blokada Uniwersytetu Warszawskiego, rok 1936**

FOT. NARODOWE
ARCHIWUM CYFROWE

„Otwarcie bram i spuszczenie z uwięzi na naród tysięcy żydowskich studentów byłoby katastrofą”

Anna Wolff-Powęska*

Po I wojnie światowej apele o wprowadzenie systemu kwotowego, którego celem byłoby wykluczenie studentów i wykładowców żydowskich z wyższych uczelni, pojawiały się w Europie Środkowo-Wschodniej stale. Wszędzie preparowano te same argumenty o „żydowskiej ekspansji” i nadreprezentacji żydowskich studentów, co było sprzeczne z ówczesną rzeczywistością. Wzbogacano je stopniowo o rasistowską ideologię i pseudonaukowe teorie.

Uniwersytety, nie czekając na prawne upoważnienie, wprowadzały własne ograniczenia. Mimo że od początku używano eufemistycznych określeń, nie ulegało wątpliwości, że była to kwota rasowa, żydowska. Nie rozwiązywała ona żadnego problemu społecznego. Stała za nią konkretna ideologia; rasistowski antysemityzm integrujący siły katolicko-narodowe.

Argument nadreprezentacji Żydów wśród absolwentów wyższych uczelni czy wręcz „nadmiernej ekspansji żydowskiej” i konieczności ochrony chrześcijańskiej młodzieży był umocowany w stereotypie Żydów jako dominującej grupy w najważniejszych sferach życia społecznego i gospodarczego.

Jednak rozwiązania ustawowe nie zwiększyły odsetka nieżydowskich studentów. Inni kandydaci albo nie spełniali wymogów, albo nie ubiegali się o miejsce na uczelni. Ustawa antyżydowska była prawem nienawiści w poszukiwaniu kozła ofiarnego w związku z powojennymi problemami odradzających się państw narodowych. Za wieloma wypowiedziami stało poczucie niższości.

Węgry były pierwszym krajem w Europie, który ustanowił numerus clausus (26 września 1920). Nowe prawo pozbawiało Żydów nie tylko równouprawnienia w społeczeństwie węgierskim. Dawało ono ministrowi edukacji przywilej corocznego ustalania kwoty studentów na uniwersytetach i ich wydziałach.

Już sam fakt, że to rząd odgórnie decydował o liczbie miejsc dla studiujących, oznaczał upolitycznienie problemu. Nigdzie poza Węgrami żądania wprowadzenia numerus clausus nie uzyskały przynajmniej do lat 30. XX wieku oficjalnego poparcia tak wielu przedstawicieli elit politycznych. Dlatego m.in. władze węgierskie aż do lat 30. XX wieku uprawiały kamuflaż.

W obawie przed reakcją Ligi Narodów i napiętnowaniem Węgier jako państwa antysemickiego stosowały one strategię takich rozwiązań prawnych, które prowadziłyby do celu, a zarazem nie spowodowały dla kraju żadnych perturbacji międzynarodowych. Równolegle jednak, jak wynika z prywatnej korespondencji, nie brakowało wypowiedzi polityków, którzy zakładali, że całkowite otwarcie bram uczelni i „spuszczenie z uwięzi na naród tysięcy żydowskich studentów” oznaczałoby prawdziwą katastrofę.

Dyskryminacyjny charakter ustawy wynikał z założenia, że każdy uniwersytet mógł przyjąć tylu studentów każdej „narodowości” lub „rasy”, jaka była proporcjonalna do ich udziału w ogólnej populacji. Ustalenia te nie uderzały jednak w inne mniejszości. Rada Uniwersytetu Budapeszteńskiego nie ukrywała w 1922 r., że „proporcje grup rasowych lub narodowości są stosowane tylko w celu ustalenia, czy kandydat jest Żydem”.

Wprowadzanie w życie kwoty żydowskiej wymuszały zarówno władze uczelni, jak i częściej nacjonalistycznie nastawione organizacje studenckie. Ustawa zmieniła całkowicie status prawny Żydów. Odpowiedzialny za edukację polityk, Kuno Klebelsberg, przyznał w parlamencie w 1927 r., że numerus clausus wprowadzono z zamiarem ogłoszenia Żydów rasą, bo „ucieczka od rasy jest niemożliwa w przeciwieństwie do, powiedzmy, ucieczki od religii drogą konwersji lub ucieczki od narodowości”.

Tylko Żydzi bez względu na religię traktowani byli jako odrębna grupa narodowa, nawet jeśli ich językiem ojczystym był węgierski. Ustawa obowiązywała do 1928 r., kiedy to pod naciskiem Ligi Narodów formalnie ją zniesiono, by w 1939 wprowadzić ją znowu.

W większości krajów, także na Węgrzech, uzasadniano konieczność wprowadzenia numerus clausus „nadmierną ekspansją Żydów”. Emancypacja Żydów w Europie doprowadziła w przekonaniu polityków do przejmowania przez nich coraz większej liczby uprzywilejowanych stanowisk w życiu społecznym i gospodarczym. Stąd ustawę traktowano jako ważny instrument ograniczania liczby żydowskich absolwentów uczelni i ochrony stanowisk zagwarantowanych dla „chrześcijańskiej klasy średniej”.

Niektórzy przedstawiciele rządzącej elity, choć przyznawali, że od czasu austro-węgierskiego kompromisu z 1867 r. [powstały wtedy Austro-Węgry] węgierska gospodarka nabrała niezwykłego rozpędu głównie dzięki Żydom, to jednak za „historyczną zbrodnię” uznawali wpuszczenie Żydów do kraju.

Ustawa „numerus clausus” nie spowodowała jednak po 1920 r. oczekiwanych zmian w kwestii proporcji żydowskich i nieżydowskich studentów. Trzy czwarte ludności żydowskiej mieszkało w miastach, a większość nieżydowskiej na wsi. Wiejskiej młodzieży nie było stać na studiowanie w mieście. Do tego proporcjonalnie do szkół średnich uczęszczało więcej młodych Żydów niż ich nieżydowskich rówieśników.

Życie korygowało ustawę, bo liczba nieżydowskich kandydatów na studia systematycznie spadała. W 1930 r. na 16 tys. 930 studentów wyższych uczelni z rodzin wiejskich pochodziło 49 osób. Sam fakt, że 85 proc. węgierskich studentów mieszkało w Budapeszcie, determinował proporcje występujące w całym kraju.

Ustawa nie rozwiązała żadnych palących problemów społecznych i gospodarczych. Była tylko „prowokacyjnym prawem”, zrodzonym, jak stwierdzał były minister sprawiedliwości Károly Grecsák, „w historii nienawiści”.

Antysemityzm w Rumunii wyróżniał się już w XIX wieku dyskryminacją prawną, która hamowała aż do I wojny emancypację Żydów. Rumunia miała, wraz z Rosją, dobrze zasłużoną reputację najbardziej antysemickiego kraju w Europie. O ile w innych krajach regionu pod koniec XIX wie-

ku antyżydowska mobilizacja na uniwersytetach miała charakter oddolny, w Rumunii promotorem napięć były elity polityczne. Znajdowały one wsparcie wśród zubożałej ludności. Gospodarka rumuńska znajdowała się w opłakanym stanie. Problemy społeczno-gospodarcze odbiły się w szczególny sposób na ludności wiejskiej.

Dla poszkodowanych przez wojnę grup szczególnie zachęcająca okazała się wizja socjalizmu. Dla nacjonalistów rumuńskich obawa przed bolszewizmem ożywiała teorię spisku agentów komunistycznych, powiązaną z konceptem żydowskiej „podstępności”. Siedliskiem antysemityzmu były uniwersytety. Ci liderzy antysemickich akcji, którzy pochodzili ze wsi, w mieście czuli się wyalienowani.

Upust swej frustracji dawali w atakach na tych, których uważali za największą konkurencję w staraniach o awans społeczny. Kamieniem obrazy zarówno dla elity urzędniczej, jak i studentów była dominacja absolwentów farmacji i medycyny pochodzenia żydowskiego (30-40 proc. ogółu studentów). Najwięcej było ich w Besarabii, w Jassach, bo tam państwo subwencjonowało w większym stopniu stółki i domy studenckie.

Założona w 1922 r. Narodowa Unia Chrześcijańskich Studentów Rumunii inspirowała antyżydowskie manifestacje, m.in. w Kluż-Napoce na wydziale medycznym, by nie dopuścić Żydów do przeprowadzania sekcji zwłok nie-Żydów. Władze państwowe i uniwersyteckie tolerowały bicie Żydów i wyrzucanie ich z akademików czy sal wykładowych.

W marcu 1923 r. pojawiła się Liga Obrońcy Narodowo-Chrześcijańskiej, pierwsza międzynarodowa organizacja polityczna z wyłącznie antysemickim programem. Demokratyczna prasa rumuńska pisała o „narodzinach rumuńskiego faszyzmu”.

W wyniku wewnętrznych sporów i rozłamów powstał w 1927 r. Legion Michała Archaniola, przekształcony później w Żelazną Gwardię, organizację terrorystyczną mającą na swym koncie zamordowanie dwóch premierów i kilku polityków opozycji. Fascynacja faszyzmem włoskim i niemieckim owocowała tworzeniem wśród młodzieży w ramach ruchu legionowego ochotniczych obozów pracy, organizowaniem paramilitarnych ćwiczeń i batalionów szturmowych.

Ruch ten odrzucał system parlamentarny, miał charakter rewolucyjny i radykalnie antysemicki. Wzorując się na faszyzmie, wymagał absolutnej dyscypliny, inicjował propagandowe marsze, mobilizował studentów, którzy coraz chętniej wdziewali zielone koszule, mające podkreślać wojskowy charakter ich organizacji.

W 1936 r. powstały „zespoły odwetowe” liczące po dziesięciu studentów, którym przydzielano cele wśród rumuńskich polityków. Nastąpiła brutalizacja ruchu legionowego – jego antyżydowska aktywność miała przyczynić się do duchowego i moralnego odrodzenia Rumunii i zaakcentowania narodowego charakteru faszyzmu.

Długa tradycja antysemityzmu charakteryzowała Austrię, ulubioną córkę Kościoła. Kościelny antyżudaizm w połączeniu z politycznym antysemityzmem musiał rzutować tu na nastroje w środowisku akademickim. „Leksykon kościelny” z 1907 r. wyróżniał podwójny antysemityzm: ten, który zwalczał Żydów jako rasę – określony on został jako „antychrześcijański” – oraz ten, który „domagał się tylko szczególnego prawa do ochrony chrześcijańskiej ludności w obliczu szkodliwego naporu żydostwa”, uznany za „antysemityzm chrześcijański”.

Ideale katolickiego środowiska wiedeńskiego zostały wprowadzone w czyn, gdy w 1891 r. powstała Partia Chrześcijańsko-Społeczna, pierwsza stricte antysemicka partia w Europie. Początkowo jej przewodniczącym był Karl Lueger, doktor nauk prawnych, późniejszy burmistrz Wiednia, na którego idee powoływał się Hitler.

Na Węgrzech w latach 20. numerus clausus wprowadzono z zamiarem ogłoszenia Żydów rasą. Bo „ucieczka od rasy jest niemożliwa w przeciwieństwie do ucieczki od religii lub od narodowości”

W 1875 r. profesor medycyny Theodor Billroth pisał, że węgierscy i galicyjscy studenci medycyny wykazują pewne „duchowe i cielesne upośledzenie”, co dyskwalifikuje ich w zawodzie lekarza. Między „czysto niemiecką i czysto żydowską krwią” bowiem istnieje różnica nie do przezwyciężenia. Podczas prezentacji jego książki „O nauczaniu i uczeniu się w naukach medycznych” doszło do bijatyki. Reakcja na nią ujawniła linię podziału między obozami ideologicznymi i politycznymi.

Wyznawcy też zawartych w pracy Billrotha odwoływali się do uniwersyteckiej statystyki. Po wprowadzeniu pełnego równouprawnienia żydowskiej ludności w monarchii austro-węgierskiej odsetek studiujących na Uniwersytecie Wiedeńskim Żydów znacznie wzrósł. Pod koniec XIX wieku osiągnął ok. 33 proc., a kadry uczące na fakultecie medycznym – 48 proc.

„Czarny piątek” na giełdzie wiedeńskiej 9 maja 1873 r. i pogłębiający się kryzys gospodarczy – wszystko to tworzyło klimat sprzyjający agresywnemu nacjonalizmowi. Antysemici austriaccy starali się usunąć Żydów z korporacji studenckich i ze stowarzyszeń gimnastycznych czy chórów.

Uczelnie austriackie były w międzywojniu najsilniejszym rozsadnikiem rasizmu w regionie. Instytut Anatomii w Wiedniu „wyróżniał się” w intensywności i częstotliwości antyżydowskich burd. Paragraf aryjski stosowano tu również powszechnie do korporacji studenckich. Prasa akademicka obfitowała w wypowiedzi skierowane przeciw Ostjuden, jak choćby krytyka zamiaru kupna instrumentów medycznych. Argumentem była tu obawa, że może to prowadzić do tego, że „jeszcze kilku set rosyjskich i polskich Żydów będzie więcej u nas studiowało, a dla akademików naszego własnego narodu może zabraknąć chleba”.

Praktykowany antysemityzm nie był dla sprawców „kulturową hańbą”, tylko „kulturową koniecznością”. Ignaz Seipel, profesor teologii katolickiej, późniejszy kanclerz Austrii, nazwał w 1920 r. konieczno-obronnym „antysemityzm, do którego zmusza nas walka gospodarcza”.

Karl Diener, rektor Uniwersytetu Wiedeńskiego (1922/23), geolog i paleontolog, wspierał żądania niemiecko-narodowych studentów, by wprowadzić numerus clausus. Ostrzegał przed inwazją „obcych rasowo elementów” ze Wschodu („raka naszych akademickich stosunków”), „których kultura, wykształcenie i moralność ustępują znacznie naszemu niemieckim studentom”. Toteż senat akademicki postanowił 23 marca 1923 r. wprowadzić nieoficjalne ograniczenie immatrykulacji dla słuchaczy z krajów wschodnioeuropejskich z uwagi na „zagrożenie dla niemieckiego charakteru szkół wyższych”.

Oficjalne wprowadzenie numerus clausus na Uniwersytecie Wiedeńskim nastąpiło 25 kwietnia 1938 r. Kwota żydowskich studentów została ograniczona do 2 proc. całkowitej liczby studiujących.

Antysemickie ruchy studenckie stworzyły w środkowym i wschodnim regionie Europy dogodny klimat dla radykalizacji, przejawiającej się w faszyzacji i rasistowskiej stygmatyzacji, w końcu zaś dla całkowitego

wykluczenia żydowskich studentów i ich nauczycieli z życia akademickiego.

Najbardziej spektakularny wymiar przybrało to w Rumunii. Uczelnie rumuńskie nie pozostały obojętne na inicjatywy Corneliu Zelea Codreanu, lidera Legionu Michała Archaniola. Od powstania Legionu w 1927 r. aż do lat 30., kiedy rozwiązanie „problemu żydowskiego” uznał jego przywódca za historyczną misję młodych Rumunów, przeszedł on metamorfozę z lokalnego chuligana, studenta Uniwersytetu w Jassach, w głównego lidera politycznego, skupiającego młodych intelektualistów rumuńskich gotowych do faszystowskiej rewolucji.

Antysemityzm rumuński, promowany przez nacjonalistyczne elity polityczne, wyróżniała dyskryminacja prawna; towarzyszył on wykluczającej „obcych” polityce państwa i uniemożliwiał integrację mniejszości ze społeczeństwem.

Agresywna postać antysemityzmu dała znać o sobie przede wszystkim na uczelniach wyższych. Codreanu zaangażowany był w politykę studencką w Jassach. Dziekan wydziału prawa, Alexandru C. Cuza, ojciec chrestyń Codreanu, wraz ze znaczącymi postaciami ze świata nauki i kultury wspierał powstające licznie organizacje studenckie skierowane przeciw Żydom.

Założone przez twórcę Legionu Stowarzyszenie Studentów Chrześcijańskich, rychno przekształcone w Narodową Unię Studentów Chrześcijańskich, nie tylko wspierało żądania wprowadzenia na uczelnie numerus clausus, ale było też inicjatorem niepokojów i zamieszek na ulicach oraz w budynku uniwersyteckim. Studenci żydowscy byli bici, nie pozwalano im wejść do sal wykładowych, wyrzucano z domów studenckich.

Legionowy ruch młodych odrzucał system parlamentarny, promował bezpośrednią mobilizację studentów i zakładał „natchmiastowe rozwiązanie problemu semickiego” jako „najwyższej wagi konieczność dla Rumunii”.

Ruch studencki, który występował pod szyldem legionowym, propagował już pod koniec lat 20. program głoszący wykluczenie Żydów. Kongres studencki w Oradea Mare w grudniu 1927 r. przybrał najbardziej radykalną formę, zmieniając się w pogrom, największy w międzywojennej Rumunii.

Do roku 1935 władze Narodowej Unii Studentów Chrześcijańskich kontrolowały 42 sekcje lokalne. W połowie lat 30. nacjonalistycznie zorientowani studenci nie żądali już numerus clausus, tylko numerus nullus [całkowity zakaz wstępowania osób pochodzenia żydowskiego na uczelnie].

Ostatni przed wojną kongres studencki w 1936 r., zorganizowany przez ruch legionowy, obrał już stricte faszystowski, zbrodniczy kurs. Podczas jego trwania stworzono wspomniane „zespoły odwetowe”, z których jeden, składający się m.in. ze studentów teologii, otrzymał misję zamordowania byłego dowódcy legionów, odcinającego się od ruchu. Pogrom, sprokuirowany przez legionistów w styczniu 1941 r., był zapowiedzią Holocaustu.

Mimo że w całej Europie studenci byli w międzywojniu awangardą ruchów faszystowskich, nie wszędzie organizacje studenckie przeobraziły się tak jak w Rumunii w radykalną faszystowską formację.

Na Węgrzech, promowana przez wielu polityków i sprzyjających im intelektualistów, ustawa z 1920 r. miała charakter rasowy. Nándor Bernolák, profesor prawa, który wprowadził nowelizację zawierającą klauzulę rasową do projektu ustawy „numerus clausus”, mówił w parlamencie, jak powiązać aspekty polityczne i rasowe ustawy: „Mówię całkiem otwarcie, że zmniejszenie odsetka Żydów w szkolnictwie wyższym leży zarówno w interesie Żydów mieszkających na Węgrzech, jak i w interesie narodu węgierskiego”.

Profesorowi chodziło też o „pokoje funkcjonowanie uniwersytetu”, głównie zaś o to, „by zagwarantować, że tym krajem znowu będzie kierował duch narodu węgierskiego”.

Klauzulę rasową łączono z antylewicową czystką. Piętnowano Żydów zarówno za przypisywane im negatywne cechy, jak też pozytywne. Celem nadrzędnym było ich wykluczenie z narodu węgierskiego. Premier István Bethlen uznał Żydów za niebezpiecznych, gdyż mieli przewagę konkurencyjną nad Węgrami. Przyznawał, że dzięki swej pomysłowości ekonomicznej i talentom, które przekraczają możliwości ekonomiczne rasy węgierskiej, Żydzi odnieśli wielkie sukcesy w dziedzinie gospodarki.

Inni zwolennicy ustawy mówili o ogromnej pracowitości i inteligencji Żydów w konfrontacji z Węgrami jako „niezdolnymi do radzenia sobie z życiem”. Propagatorzy numerus clausus nie ukrywali, że celem jest wyeliminowanie bardziej przedsiębiorczych w interesie słabszych.

Czasopisma akademickie nie przebiegały w słowach, określając Żydów jako „najmniej wartościową na świecie rasę kundli”, „rasę strasznych bękartów”. Koalicja rasistowskich organizacji argumentowała w petycji do parlamentu w Budapeszcie, że celem ustawy ograniczającej dostęp żydowskiej młodzieży na uczelnie jest „ochrona zawodów owocnych finansowo”. ●

Dokończenie za tydzień

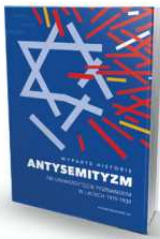


FOT. ŁUKASZ CYNALEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

*prof. Anna Wolff-Powęska

• Historyk idei, politolog, emerytowany pracownik UAM w Poznaniu. Jej tekst (tytuł oryginalny: „Uniwersytety Europy Środkowej w cieniu antysemityzmu”) pochodzi z pracy zbiorowej pod red. Macieja Michalskiego i Krzysztofa Podemskiego **„Wyparte historie. Antysemityzm na Uniwersytecie Poznańskim w latach 1919-1939”**, Wydawnictwo Naukowe UAM, Poznań 2022.

Tytuł – „Wyborcza”



Co śmieszyło Polaków w latach 90.

OD TEGO
HUMORU
MOŻNA SIĘ
POCHOROWAĆ

W latach 90. student z Kamerunu pozwał wydawcę gazetki z dowcipami za żart, w którym Afrykanin nazwany jest „oponą”. Sąd uznał, że Kameruńczyk nie zna się na żartach.

Emilia Dłużewska

W numerze: humor, satyra, seks. W następnym numerze: humor, satyra, seks – taka reklama widnieje na okładce pierwszego numeru magazynu „Satyr” z 1990 r. Do tego karykatura Jacka Kuronia autorstwa Małgorzaty Lewandowskiej i rysunek Marka Polańskiego „Grupa ekspertów podczas badania mechanizmów rynkowych”.

Humor lat 90. w pigułce? Nic podobnego. Pokazywana w Muzeum Karykatury wystawa „Wolne żarty” jest antytezą „pigulki” – pokazuje, jak różnorodny był humor w pierwszej dekadzie wolnej Polski.

Antytezą jest też w innym znaczeniu: po jej polknięciu można się pochorować. I nie będzie to ból brzucha wywołany śmiechem.

„Wolne żarty” to mieszanina istic piekielna – od anarchistycznego humoru grupy Łyżka Czyli Chilli, przez prace klasycznych plastyków karykaturzystów po kieszonkowe miniksiążeczki z dowcipami wydawane przez Leszka Bubla i antykościelną satyrę z tygodnika „Nie” Jerzego Urbana.

Autorzy tej mieszaniny to dorastający w latach 90. eseistka Olga Drenda oraz twórcy Podcastu, podcastu o latach 90 XX wieku i pierwszym dziesięcioleciu XXI: Mateusz Witkowski i Bartek Przybyszewski. Poza wiekiem łączy ich przekonanie, że ostatniej dekady XX wieku nie da się opowiadać wyłącznie przez pryzmat nostalgii. Obok kreszowych dresów i smaku gumy Turbo mieszczą się w niej zarówno zjawiska oryginalne i wartościowe, jak i szkodliwe.

Ofiary wolności słowa

Tych ostatnich w Muzeum Karykatury nie brakuje. Kuratorzy w rozmowie z Jakubem Demiańczukiem z „Polityki” przyznawali, że niektórych treści ze względu na wrażliwość odbiorców zdecydowali się nie pokazywać. Boję się myśleć, co to było, skoro na wystawie można znaleźć m.in. żartobliwy artykuł o „pierwszym razie” sześćdziesięcioletniej Oli. Świeżo uzyskaną wolność słowa Polacy testowali na wszystkich frontach. I nie obyło się bez ofiar.

Pół biedy, gdy byli nimi politycy, z którymi w latach 90. obchodzono się bezparadonowo. Są na wystawie i szkice do „Polskiego zoo” Marcina Wolskiego, i rysun-

kowy Antoni Macierewicz, celujący sobie w głowę z pistoletu, i Leszek Balcerowicz zapowiadający nowy podatek od zubożenia („Mam nadzieję, że dotyczyć on będzie większości Polaków”), i Jacek Kuroń pijący kawę w obwisłych kalesonach, i wspólne zdjęcie Adama Michnika, Józefa Oleksego i Lecha Kaczyńskiego z podpisem „Brat Kaczyński z Porozumienia Centrum liczy w Sejmie żydokomunę. Z lewej żydo, w środku komuna, z prawej... Kaczyński liczy”.

Gorzej, gdy żart uderzał w inne grupy: kobiety, Żydów czy osoby pochodzenia afrykańskiego (nazywane powszechnie „Murzynami”). Celowali w tym wydawcy gazetek z dowcipami, które zalały rynek po zniesieniu państwowej kontroli nad prasą. Gdyby wybrać jedną rzecz, która najlepiej oddaje ducha tej dekady, byłyby to właśnie one: tani papier, ogromne nakłady – miesięcznik „Dobry humor” w szczytowym okresie wychodził w 200 tys. egzemplarzy i bardzo niska cena.

Wydawcy nieszczególnie przejmowali się produkowaniem oryginalnych treści: ot, zbierali krążące w społeczeństwie dowcipy i dorzucali te przesłane przez czytelników, niekiedy okraszając je własnoręcznie wykonanymi rysunkami. Za przesłane żarty nie płacili – możliwość zobaczenia swojego nazwiska w druku była wystarczająco kusząca. Sukces był murowany, w końcu czytelnicy dostawali dowcipy znane i lubiane. A jeśli komuś się nie spodobały, było mu trudno protestować. Internet w Polsce dopiero trafiał po strzechy, media społecznościowe nie istniały. Obrażeni mogli poskarżyć się bliskim albo podać sprawę do sądu.

Tej drugiej drogi spróbował w 1997 r. Samuel Fosso, student z Kamerunu, który pozwał wydawcę „Dobrego humoru” Szczepana Sadurskiego za żarty zamieszczane w jego miesięczniku.

Pointą jednego z dwucipów jest biały nazywający czarnego „oponą”, w innym pada obelżywe słowo „czarnuch”. Fosso, regularnie atakowany i bity z powodu koloru skóry, argumentował, że takie treści podsycają rasistowskie uprzedzenia. Proces przegrał. W 2000 r. sąd odrzucił oskarżenia Kameruńczyka, stwierdza-

• Henryk Sawka, bez tytułu

Śmiech nie tylko pozwalał na chwilę zdystansować się do własnego nieszczęścia, ale też pozwalał poczuć się lepiej kosztem innych: głupich blondynek, dzikich Murzynów, brzydkich i wrednych teściowych, pazernych Żydów, leniwych bezrobotnych



• Edward Lutczyn



FOT. MUZEUM KARYKATURY (7)

jąc, że wspomniane dowcipy nie są w najlepszym guście, ale nie uderzają w Fosso osobiście. W uzasadnieniu dodał: „Polacy zdają sobie sprawę, że dowcipów nie należy traktować poważnie”. Innymi słowy: w przeciwieństwie do powoda znają się na żartach.

Elbląski drift i pyzy ze śniegu

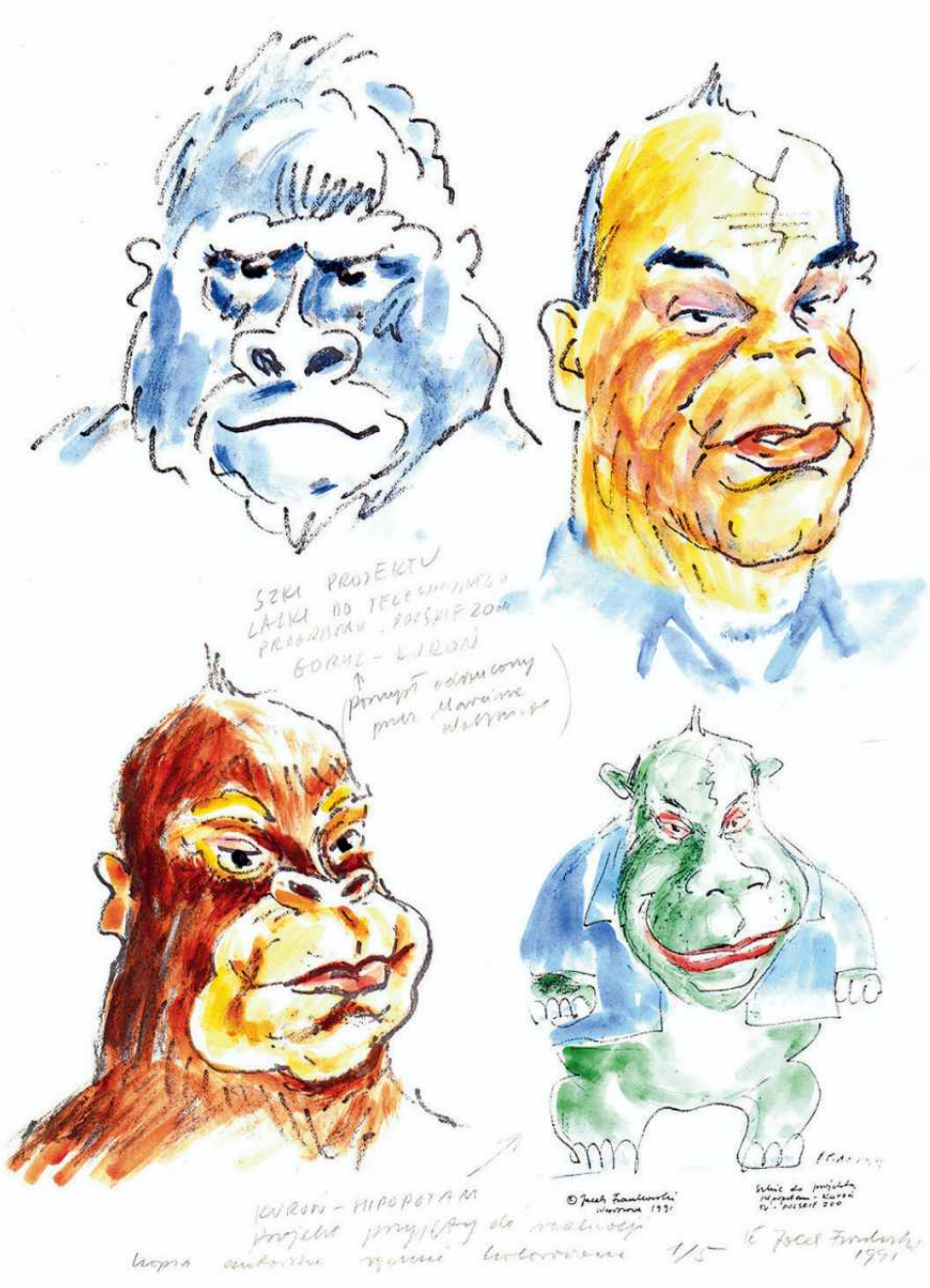
Choć oglądając wystawę, można w to zwątpić. Duża część materiałów sugeruje, że w latach 90. Polacy byli raczej jak pięciolatki, które próbują pojąć koncepcję żartu, ale nie do końca im to wychodzi – powtarzają więc „dupa” i zanoszą się śmiechem.

Ale są w tym zbiorze i perełki: humor absurdalny, abstrakcyjny, bazujący nie na topornej satyrze, a zaskoczeniu odbiorcy. Taki, jak w performansach i wydawnictwach grupy artystycznej Łyżka Czyli Chilli albo magazynie „Plastik”, który umieszczał na okładce dwa kompletnie różne zdjęcia, zachęcając „Wyteż wzrok i znajdź 28 szczegółów różniących fotosy między sobą”. A pod spodem dodawał: „Nie daj się zwieść pozorom!!! Te zdjęcia są identyczne!!!”.

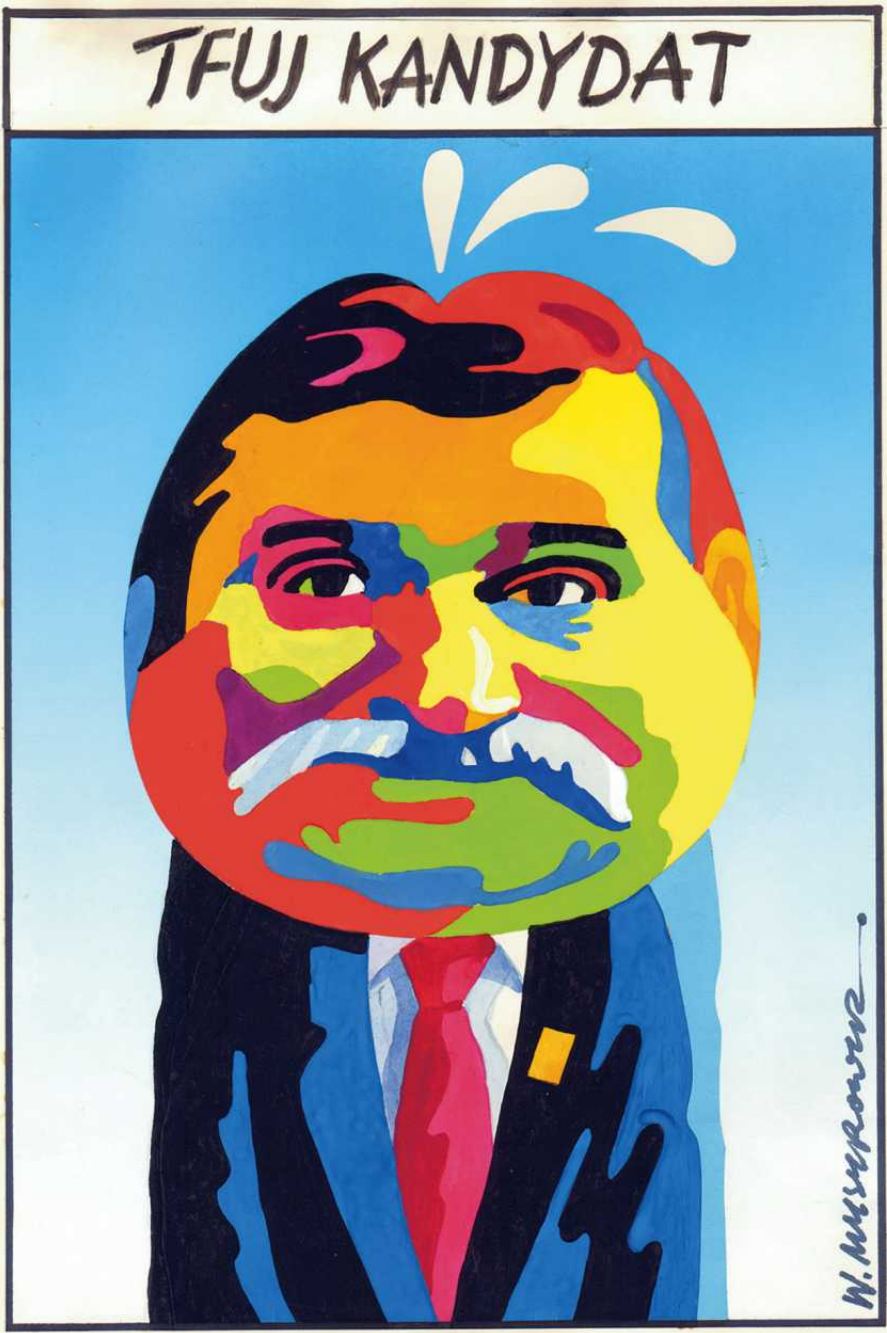
Radość z nieskrępowanej cenzurą wolności widać w krótkich filmkach dziennikarzy Telewizji Elbląskiej, którzy w połowie lat 90. nagrywali buksującego Fiata 126 p., podpisując go „Elbląski drift” albo krążyli po mieście, prosząc mieszkańców, by wyrecytowali inwokację „Pana Tadeusza”. W podszytych absurdem obrazkach „z Polski” nietrudno zobaczyć w nich pierwowzór internetowych memów – drugi z klipów zawędrował zresztą na TikToka.

Elblążanie są też autorami klipu „Z czego”. Dziennikarz pyta na nim przechodniów, czy oszczędzają, a ci – starsi, młodszy, weseli i smutni, jednogłośnie odpowiadają: z czego?

Powtarzalność równie zabawna, co przerażająca. Bo, o czym również przypomina wystawa, lata 90., choć dziś pamiętamy je kolorowo, były pod wieloma względami czasem ponurym. Szalała inflacja, brakowało pieniędzy na podstawowe potrzeby, ludzie masowo tracili pracę (tylko w Łodzi w 1993 r. zarejestrowało się niemal 100 tys. bezrobotnych). Śmiech pomagał oswajać biedę, zagubienie, przemoc i brak perspektyw. Satyryczna „Karuzela” w numerze 4/1991 radziła więc, jak



Jacek Frankowski, projekt lalek do Polskiego Zoo – Jacek Kuroń



Witold Myszyrowicz – Tfuju kandydat



▲ Sławomir Mrożek bez tytułu, 1997
▲ Tomasz Wójcik, Michał Mendyk, Łyżka Czyli Chili
▲ Szczepan Sadurski, bez tytułu, 1999

oszucać głód (ulepić kule ze śniegu i zajądać je, powtarzając: co za wspaniałe pyzy), a urbanowskie „Nie” prezentowało „modę w stylu Recesja”: staniki z rozciętych butelek plastikowych, szorty z kartonów, frędzle z taśmy magnetofonowej.

Od żartów z sekretarek do myśli narodowej
Ta terapia bywała jednak toksyczna. Śmiech nie tylko pozwalał na chwilę zdystansować się do własnego nieszczęścia, ale też pozwalał poczuć się lepiej kosztem innych: głupich blondynek, dzikich Murzynów, brzydkich i wrednych teściowych, pazernych Żydów, leniwych bezrobotnych.

Nie wszystkie ówczesne żarty takie były. Nawet te odwołujące się do stereotypów niekiedy traktowały swoje obiekty życzliwie lub neutralnie. Ale dowcipy często sta-

wała się wytrychem dla pogardy, rasizmu, nienawiści. Potencjalne protesty łatwo było spacyfikować, przypinając protestującemu łatkę cenzora, czy – gorzej! – nudziarza, nieznającego się na żartach.

Jednym z najciekawszych punktów wystawy są książeczki z dowcipami wydawane przez Leszka Bubla. Tanie i niewiele większe od pudełka zapalek wydawnictwa oferują pełen przekrój tematów: od humoru z czasów niemieckiej okupacji po żarty z agencji towarzyskich czy sekretarek. Na ich ostatniej stronie „naczelnicy antysemita RP” (jak określał się Buble) zachęca do kupowania innego magazynu, „Tylko Polska”, reklamując je jako antidotum na „powszechny antypolonizm” oraz „zalew kłamstw i manipulacji w polskich już tylko z nawy mediach”. Wszystko to pod bliskim ówczesnej satyrze hasłem: „Piszemy o sprawach, o których inni boją się nawet pomyśleć”.

Wystawa w Muzeum Karykatury może widza przytłoczyć – zarówno ze względu na treść, jak i na formę. Wolalabym, by kuratorzy, zamiast próbować pokazać wszystko, skupili się na jakiejś myśli przewodniej. Warto ją jednak zobaczyć, bo dobrze oddaje estetyczny, ideowy i nadawczy bałagan, jaki zapanował wraz z nadejściem III RP. A także moment, kiedy rozpoczęła się dyskusja o granicach żartu; o tym, czy śmiech jest demokratyczny, czy też pewne grupy wychodzą na nim lepiej; czy i jak dowcip przekłada się na inne dziedziny rzeczywistości; co może ośwoić humor – i czy zawsze powinien.

Trzy dekady później dyskutujemy o tym równie zażarcie. ●

• „Wolne żarty. Humor lat 90.” w Muzeum Karykatury do 18 sierpnia. Kuratorzy: Olga Drenda, Bartek Przybyszewski, Mateusz Witkowski we współpracy z Michałem Rzecznikiem i Zuzanną Berus z Muzeum Karykatury.

KAMP! NASZE ROZSTANIE TO HAPPY END

Z ZESPOŁEM **KAMP!**
JEDNĄ Z NAJWAŻNIEJSZYCH GRUP ELEKTRONICZNYCH
W POLSCE, KTÓRA PO 17 LATACH KOŃCZY DZIAŁALNOŚĆ
ROZMAWIA **MAŁGORZATA MURASZKO**



Kamp!

- Łódzkie trio założone w 2007 r. przez Tomka Szpaderskiego, Michała Słodowego i Radka Krzyżanowskiego. Pierwsze utwory opublikowali w serwisie muzycznym MySpace wiosną 2008 r., jesienią tego samego grali pierwsze koncerty, a w kolejnym sezonie festiwalowym zagrali na najważniejszych wtedy festiwalach muzycznych: Selectorze, Open'erze, Auditorium i Nowej Muzyce. Premierę debiutanckiego albumu „Kamp!” (2012 r.) poprzedziło kilka singli i EPka „Thales One”. Zespół ma na koncie trzy płyty studyjne, album koncertowy, kilka singli i remiksów (m.in. „Dancing Shoes” Moniki Brodki).
- Na zdjęciu od lewej: Michał Słodowy, Tomek Szpaderski, Radek Krzyżanowski
- Ostatnie koncerty zagrają latem tego roku, m.in. 14 czerwca na Co Jest Grane 24 Festiwalu w Warszawie.

Widziano w nas złote dzieci tanecznej elektroniki i trudno było pogodzić się z myślą, że też możemy popelniać błędy.

TOMEK SZPADERSKI: – Zaczynamy? Mam dużo do powiedzenia. Każdy z nas ma dużo do powiedzenia. Ten zespół na przestrzeni lat powyracał nam życia, zawsze był większy i ważniejszy niż to, co się dzieje u nas prywatnie. A teraz wszystko się zmieniło i nasze życia prywatne liczą się bardziej. To naprawdę miły morał.

MAŁGORZATA MURASZKO: **Zaczynaliście jako dwudziestokilkulatkowie, wtedy perspektywa jest trochę inna.**
Tomek: – Byliśmy już po studiach. Już na starcie mieliśmy zaległości, bo przecież wielu artystów zaczyna w młodszym wieku.
MICHAŁ SŁODOWY: – To był dość późny start mimo wszystko, chociaż wielu ludzi myślało, że jesteśmy młodszi. Jest duża różnica między wiekiem realnym a wiekiem, na który się czujemy i jaką muzykę gramy.

Muzyka was konserwuje.
Michał: – To jest branża, która wymaga mentalnej świeżości i otwartości.
RADEK KRZYŻANOWSKI: Z tworzeniem muzyki są związane wielkie emocje. To zawód kreatywny. Dziś powszechne jest podróżowanie, w 2008 r., gdy zaczynaliśmy grać, podróże były bardzo ekscytujące. A nam to wszystko przydarzyło się dość szybko.

Skąd właściwie wziął się Kamp!?
Tomek: – Poznaliśmy się w Łodzi i przez wiele lat określaliśmy się jako łódzki zespół. Z Radkiem znamy się z Grotnik, letniskowej miejscowości w Łódzkiem, w których nasi rodzice mieli działki. Poznaliśmy się jako dzieci, szybko połączyła nas muzyka. Potem były studia, a najlepsze co z nich wyniosłem, to poznanie Michała. Szybko wyładowaliśmy na piwie i przegadaliśmy pół nocy o muzyce. Parę dni później już graliśmy wspólne próby. Tak na strychu u Radka, wyrósł Kamp!

Przeszło wam przez myśl, że to się może udać?
Radek: – Mieliśmy ogromną podjarę, że siedzimy razem i robimy muzykę, nawet jak nam ona na początku nie wychodziła. Przez rok nie mogliśmy nic przekuć w kawałki. Później coś się odblokowało, zaczęliśmy robić dobre numery. Wy się lubicie z tego śmiać (*Radek zwraca się do Michała i Tomka*), ale był taki moment, kiedy powiedziałem wam, że to jest szansa, której nie możemy zaprzepaścić.
Michał: – Mieliśmy świadomość, że robimy coś, czego w Polsce do tej pory nie było.

Brzymielście bardzo międzynarodowo, „jak na Zachodzie”.
Michał: – To było osadzone w czasie przemian, które się działy w Polsce. Byliśmy już w Unii, dostawaliśmy pieniądze na inwestycje, dużo zaczęło się zmieniać, byliśmy przed organizacją Euro 2012. Mieliśmy nowe drogi, nowe stadiony i w dodatku zespół, który był powiewem świeżości i mógłby podbić świat.

Czuliście presję, że musicie zainteresowaniu i popularności, jakie wywołały EP „Thales One”, singiel „Breaking a Ghost’s Heart” i później debiutancki album, sprostać?
Michał: – Zawiesiliśmy sobie wysoko poprzeczkę i musieliśmy sprostać swoim wyobrażeniom, czym jest Kamp!
Tomek: – Ja czułem się, jakbym miał rozdwojenie: albo było super, albo byliśmy do dupy. Nic pomiędzy.
Michał: – Brakowało nam w tamtym czasie kogoś, kto mógłby nas ukierunkować, pokierować naszym potencjałem w mądry sposób. A my wszystko robiliśmy sami. Za-

łożyliśmy net-label, czyli stronę internetową, którą nazywaliśmy wytwórnią, Brennnessel, gdzie udostępnialiśmy nagrania mp3. Zrobiliśmy to, bo okazało się, że nie ma nas kto wydawać. Przy okazji wydawaliśmy też Rebekę czy Oxford Drama. To zadziało, nasze metody się sprawdzały.

Zosie-samosie.
Radek: – Robiliśmy wszystko wspólnie. Decyzje były demokratyczne, choć nie wszystkie musiały być podejmowane w ten sposób, są obszary, w których lepiej wyraźnie podzielić kompetencje, odpowiedzialność.

Nie mieliście zadyszki?
Michał: – Wiele spraw po prostu nie przegadywaliśmy. Mieliśmy tydzień, w którym się widzieliśmy, pracowaliśmy i później się rozchodziliśmy. Późno zrozumieliśmy, że nie chodzi tylko o robienie muzyki, ale o bycie razem, przegadywanie drobnych spraw, rozmowę o pierdolach. Tak, pojawiła się zadyszka, a my zaczęliśmy się od siebie oddalać, jako ludzie i przyjaciele, bo nie konfrontowaliśmy ze sobą problemów. Z drugiej strony może dlatego, że nie było tej konfrontacji, udało nam się tak długo przetrwać.

Był czasem amok. Pamiętam, jak wracaliśmy z koncertu z Lublina do Warszawy, padał śnieg, mieliśmy stłuczkę, a na drugi dzień mieliśmy jechać na lotnisko i lecieć do Nowego Jorku. To zżerało nam dużo siły, ale też mieliśmy poczucie, że robimy coś ekstra, że to czas naszego życia i musimy to wykorzystać.

Kamp! do młodych muzyków: Nie grajcie za darmo, będą was bardziej szanować

A w tym amoku mieliście czas, żeby docenić to, co się wokół was dzieje?
Tomek: – Bardzo późno się tego nauczyliśmy.
Michał: – Szybko osiągnęliśmy sukces i był on dla nas normą. Bookuje nas Open’er, Audioriver, Nowa Muzyka i Selector – okey. Jedziemy do Stanów – okey. Nie było mowy o docenianiu.
Radek: – Długo pierwsze, o czym rozmawialiśmy po zejściu ze sceny, było to, co nam nie wyszło. Dopiero w ostatnich latach i teraz na trasie pożegnalnej, cieszymy się tym, co wyszło, i jak udał się koncert.
Tomek: – Świadoma rozmowa o docenianiu tego, co robimy, pojawiła się, gdy podjęliśmy decyzję o zakończeniu Kamp!.

Czyli kiedy?
Michał: – W 2022 r.
Wcześniej nagraliśmy płytę „Kamp! Live”, wymyśliliśmy na siebie nową formułę, koncerty grało się super i wydawało nam się, że nie musimy już rozmawiać o problemach. Przyszła pandemia i zaczęło robić się gęsto. Mieliśmy w końcu czas na to, żeby otwarcie porozmawiać o tym, co nas boli. Zaczęliśmy myśleć o tym, jaką formę nadać zespołowi w kryzysowym czasie. Praca studyjna nam nie wychodziła, wspólne robienie muzyki nas męczyło i jedyne, co byliśmy w stanie zrobić, to grać świetne koncerty.
Tomek: – Kilka dni poprzedzających tę ważną rozmowę spędziłem, siedząc przed oknem z papierosami i szklanką whisky. Miałem poczucie, że to będzie koniec, zastanawiałem się jak moje życie będzie wyglądać po tej rozmowie, ale decyzja musiała zapaść.

Skończyła się wasza kreatywność? Czy zaczynaliście sobie skakać do gardel?
Michał: – Chyba po prostu byliśmy zmęczeni i wspólna praca w studiu przestała nam sprawiać przyjemność. Nic nie wychodziło. Przed naszym spotkaniem myślałem sobie, że jak nic nowego nie nagramy, to jesteśmy załoi. Powiedziałem to chłopakom i sie-

Problemy narastały od 2007 r., a dopiero w 2020 r. zaczęliście ze sobą rozmawiać?
Radek: – Póki coś działało, mogliśmy zamiać sprawy pod dywan. A jak się przelewało, to wybuchały awantury. Jak się okazało po latach – jesteśmy z innej gliny ulepieni. Wystarczy popatrzeć, jak inaczej każdy z nas zachowuje się na scenie. Ta różnorodność była naszym atutem, a my na siłę dążyliśmy do unifikacji.
Tomek: – Ale przelewało się rzadko, co też było problemem. W busie, żeby tylko nie podejmować tematów trudnych, rozmawialiśmy o pogodzie i pierdolach.
Radek: – Bo nikt nas nie nauczył, żeby podejmować tematy trudne. Omijaliśmy je, w imię źle pojmowanej dobrej atmosfery.
Tomek: – Rozchodzimy się w dobrym momencie. Atmosfera się oczyściła, nasza przyjaźń wróciła na właściwy tor.
Michał: – Na ten moment największym sukcesem zespołu jest to, że możemy się żegnać z publicznością w ten sposób i w takiej atmosferze.

Widać, że teraz dobrze się ze sobą bawicie, być może najlepiej od lat, i tym bardziej kończąc działalność, zostawiacie niedosyt.
Tomek: – To było nasze motto: lepiej zostawić niedosyt niż przesyć. To zawsze wszystkim marudom zamykało usta. „Co taki krótki koncert?!” otóż lepszy jest niedosyt. Nie byliśmy do końca pewni, czy powinniśmy grać tak długo te pożegnalne koncerty, ale nasz menadżerka, Beata Wrona, powtarzała, że to nie jest trasa – to celebracja, impre-

rodowym showcasiem i przy okazji zagraliście kilka koncertów w Ameryce, złapaliście kontakty. Dlaczego się nie udało? I czy w ogóle chcieliście kariery zagranicznej?
Michał: – My spełnialiśmy fantazję i każdy widział w nas to, co chciał. Jedni widzieli The Cure, inni Justice, ktoś inny Daft Punk. Niektórzy widzieli zespół, który robi karierę zagraniczną. A prawda jest taka, że większość festiwalu, na których graliśmy, to były showcasy, i nie mieliśmy konkretnej strategii na zagraniczną karierę. Graliśmy tam, gdzie nas zaprosili, jechaliśmy i liczyliśmy na to, że może coś się uda.
Radek: – Nasza energia po wydaniu debiutu się rozproszyła. Nie mieliśmy jasnego celu, nie wiedzieliśmy, czy chcemy robić karierę tu, czy za granicą. I nie byliśmy świadomi, że chcąc się przebijać dalej na zachód, trzeba pracować znacznie ciężiej np. nad rozwojem własnego stylu czy umiejętnościami. Z perspektywy czasu uważam, że błędem było niewydanie debiutu w Discotexas [wydawnictwo specjalizujące się w muzyce elektronicznej założone w Lizbonie przez producentów Moullinexa i Xinobiego]. Proponowali nam to, ale zdecydowaliśmy się tylko wydać singiel „Melt”. To by pewnie nie zmieniło naszej historii, ale mogło być tym, czego nam akurat zabrakło. Bo wydaje się, że zabrakło niewiele.

Dziś każdy z was ma też projekty muzyczne: BESKRES, La Giang, Innerinnerlife. Powstały dlatego, że w zespole nie mogliście się do końca spełnić?

Radek: – Tak. Oraz z tego, że chcieliśmy nauczyć się decydować i podejmować samodzielne decyzje. Również brać za nie odpowiedzialność i doświadczać efektów tych decyzji.
Tomek: – Musieliśmy odciąć pepowinę.
Radek: – Gdy pojawiły się nasze autorskie projekty, to okazało się, że można testować, kombinować, bawić się muzyką, popelniać błędy i wyciągać z nich wnioski – bez presji czy poczucia winy wobec siebie, czy kolegów z zespołu.

Odchodzicie w zgodzie ze sobą?
Tomek: – To jest happy end. Może bez fajerwerków, zakończenie jak z kina artystycznego, ale to rozwiązanie, które jest dobre dla nas jako ludzi. Jest to też jedna z odważniejszych decyzji mojego życia. Nikt nie zostaje w tyle, uwielbiamy siebie nawzajem, nauczyliśmy się cieszyć z naszego dorobku i gramy najlepsze koncerty w naszym życiu. Chyba można nazwać to pogodzeniem.

Festiwal Co Jest Grane 24

• 14, 15 czerwca, teren wokół CSW Zamek Ujazdowski w Warszawie. Wystąpią: Krzysztof Zalewski, Organek MTV/Unplugged, The Dumlplings, Margaret, Błażej Król, KIM NOWAK, KAMPI, Kasia Lins, Julia Kamińska, TACET by Wojtek Urbański, Daria Zawiałow, Natalia Przybysz, Karaś/Rogucki, Daria ze Śląska, Smolik//Kev Fox, Novika, Dziwna Wiosna, RAT KRU, A_GIM. Wystąpi kolektyw Women’s Voices w składzie: Paulina Przybysz, Anna Maria Jopek, Renata Przemek, Ania Karwan, Justyna Święs, Ifi Ude, Daga Gregorowicz i Dana Vynnytska, czyli Dagadana

AGATA KOZAK: Jak to się stało, że Mateusz stał się Tą Jedną Ciotką?

MATEUSZ GLEN „TA JEDNA CIOTKA”: Narodziny ciotki – i jak to wypowiadam, to od razu widzę oczami wyobraźni „Narodziny Wenus” – to czerwiec 2022. Pod moim blokiem przechodziła akurat procesja Bożego Ciała. Pomyślałem, że nagram sobie parodię takiej pani, która idzie na taką procesję i niby wiadomo, że zamierza święcić święto religijne, ale przy okazji komuś wbi je szpileczkę, napomknie, że „tej to się na pewno rajstopy podra, jak klęknie na betonie”, ponarzeka na pogodę i oceni stylizację rówieśniczek.

Wrzuciłem to na instastory i dostałem mnóstwo informacji, że ciotka wypadła wspaniale i że koniecznie muszę założyć sobie TikToka. Szczerze? Byłem sceptycznie nastawiony, śmiałem się, że jestem za stary na tę aplikację, że to pewnie bardziej dla dzieci. Ale go założyłem. I co to się podziało! Wyświetlenia się dosłownie sypały!

Niczym te kwiaty na procesji... A co tam wrzucałeś?

– A np. został mi tort w lodówce, więc Ciotka jadła tort, komentując „że no ten torcik taki, wiesz, no dobry, nie za słodki, biszkopt porządnie nasączony”. Wszystkie takie typowe teksty, które „zawsze przy każdym polskim stole padały”, chyba u ciebie też, bo głową kiwasz.

Zawsze tak moja babcia Władzia mówiła! Ale zanim się ta procesja wydarzyła i ten tort został w lodówce to...

– ...miałem dryg do parodii, do obserwacji, do naśladowania, do improwizacji. I bardzo lubiłem przebierać się za różne postaci. Dla mnie impreza przebierana to zawsze było święto: mogłem się wykazać, wejść w jakąś rolę, a ludzie się na imprezy przebierali za kota. Nuda! Uszka i wąsy domalujesz i już?

Dla mnie to za mało! Ja musiałem mieć szeroko zakrojony projekt: jak się przebie- rałem za Freddy’ego Mercury’ego, to odłą- czałem rurę odkurzacza, żeby go przerobić na taki, jak na teledysku. Gdy robiłem strój Lady Gagi, to spędziłem kilka godzin, że- by mieć takie same wzorki, jak ona, a ma- lowałem je farbą, jak również stworzyłem wyjątkowe okulary, jakie miała Gaga w te- ledysku.

Tak w ogóle to mnie zawsze wszędzie było pełno, samorząd szkolny, Młodzieżo- wa Rada Miasta, teatrzyk szkolny. Ciotką mogę wyrazić naraz wszystkie swoje talen- ty, a przede wszystkim się też tym dobrze bawić, bo ja też zawsze byłem wulkanem energii, takim „słoneczkiem”. Wstaję rano i od razu się cieszę...

Jesteś też „nieskończonym dziennika- rzem”... Przerwałeś studia i przenieś się do spokojniejszej niż stolica Gdyni, zostałeś kelnerem. Łatwo było zrezygno- wać?

– Wybieranie w młodym wieku tego, co się będzie robić przez całe życie, to jest hard- kor. Najgorsze pytanie jakie według mnie można usłyszeć, to „Gdzie się widzisz za pięć lat?”

Chodziłem do liceum plastycznego i chciałem pójść w aktorstwo, ale jak sły- szałem od znajomych, co się dzieje w szko- łach teatralnych, to stwierdziłem, że chyba jednak nie chcę przez to przechodzić...

Nauczyciele zawsze mówili: ty się Ma- teusz sprawdzisz jako konferansjer, dzien- nikarz, prowadzący. No i podobała mi się taka wizja, że będę w przyszłości takim, wiesz, drugim Marcinem Prokopem al- bo Krzysztofem Ibiszem. Rozrywka, śnia- daniówka – w tym byłbym dobry! No i tak z rodzinnej Częstochowy wylądowałem w Warszawie, dostałem się na staż w Pol- sat News i dopóki nic nie zahaczało o poli- tykę – było dobrze. Ale to, że się – nie wiem – Ziobro poddał do dymisji, to po prostu mnie nie interesowało.

A jednak w takim kierunku trzeba się interesować polityką i wiedzieć coś o niej, znać się. I mnie to przytłoczyło: Warsza-

MOJA CIOTKA CZĘSTOCHOWSKA

**Ciechocinki, serwetki, kaw-
ki w szklankach z duraleksu,
sałatka jarzynowa.**

**Z MATEUSZEM GLENEM*
ZNANYM JAKO „TA JEDNA CIOTKA”
ROZMAWIA AGA KOZAK**



Mateusz Glen,
„Boże,
Beata!”

wa, studia, praca, staż, tego wszystkiego było za dużo. Stwierdziłem, że zrobię so- bie taki większy oddech, bo nie chcę robić nic na siłę.

Że wystarczy mi tej Warszawy, wrócę sobie do mojej ukochanej Gdyni, z której pochodzę, gdzie miałem dziadków i mnó- stwo wspomnień, bo spędzałem tam dużo wakacji, ferii czy świąt. Żadne studia mnie tu nie porwały, byłem kelnerem... No i wte- dy przytrafiła się ta procesja Bożego Cia- ła. I Ciotka.

Ta Ciotka to konglomerat wielu postaci w życiu „każdego Polaka”. Bo twoja Ciotka, która nawet imienia nie ma, to taka Everyciotka, ale też Everybabcia, Everymamunia, Everysąsiadka...

– Moja rodzina jest rozległa i rozbita po całej Polsce: rodzinę mam w Poznaniu, na Podlasiu, w Trójmieście, na Śląsku. Wyda- je mi się też – choć być może chodzi o ich wyrazistość – więcej było tych kobiet w ro- dzinie. I ciotka to jest faktycznie taki por- tret rozszerzonego pokolenia, które jest „nad moją mamą” i które zamroziłem w pamięci na przestrzeni lat. Wtedy, kie- dy rodzina się spotykała na imprezy, imie-

niny, urodziny, na święta. To wtedy wchła- niałem tę „ciotkowatość”: te powiedzon- ka, te frazy.

No i modę.

– Miałem takie ciocie, które naprawdę no- siły te legendarne klipsy, pamiętam ich garsonki, które wisiały w szafie na wieczne nigdy. A mnie się od dziecka podobał ten styl, który teraz nazywamy „vintage”. Czę- sto przeglądałem albumy rodziców i podzi- wiam te stroje z lat 70., 80., 90. Oglądałem też „Misia” czy „Poszukiwany, poszukiwa- na”, te stare polskie komedie – podglądałem te wspaniałe ubiory.

Ale kiedy zacząłem nagrywać ciotkę, to ona w stylu była prosta – wiesz, typowy „chłop przebrany za babę” – bo ja jeszcze miałem wtedy dłuższy zarost, perukę nakładałem ot tak niestaranie, mia- łem jakieś klipsy, sweterek...

Nie było jeszcze takiej iluzji tej prawdziwej ciotki, wspaniałej ko- biety. Z czasem ona ewoluowała: zacząłem się golić, dodałem tusz do rzęs, założyłem coś staran- nie dobranego, zacząłem chodzić do lumpeksów i kupować ciotce



ubrania, co nie jest łatwe, bo ja mam jednak metr dziewięćdziesiąt trzy.

Ludzie zaczęli to doceniać, a kobiety nawet komentują, że się lepiej od nich ubieram, czy chodzę w szpilkach. Drogie panie, wybaczcie!

Podobnie jak niebieską powiekę. Ciotka ma staranniejszy meikap niż ja!

– Ha ha, często się spotykam z tym komentarzem, że „matko, on się maluje lepiej niż ja!” a malowanie się zajmuje mi dziesięć minut – to chyba spadek po tym liceum plastycznym. Ten mój makijaż też wzoruję na moich ciotkach.

Miałem taką w Częstochowie, co to bronzera tony nakładała, usta były podkreślone, że omatkoboska. Niebieski cień musi być, ale czasem Ciotka – jak to ciotki – np. dopasuje się kolorystycznie do Święta. W Wielki Post były więc cienie fioletowe, żeby się dopasować do ornatów, do atmosfery.

Ciotka twoja, jak to ciotki – żyje rytmem roku liturgicznego.

– Ale też rytmem pór roku: jak jest zima, to naprawdę siedzę w domu, w tym futrze i się pocę. A kiedy przychodzi lato, no to ciotka sobie odkrywa ramionka.

Owłosione ramionka dodajmy. Mateusz, czy ty jesteś drag queen? Taką odmianą? Może jak rym częstochowski – częstochowską?

– Ja jakoś sobie zdawałem sprawę z tego, że jak się wcielałem w Britney Spears, czy Freddiego Mercury’ego – który przecież też był kobietą w teledysku – że to może być drag, ale no właśnie – jaki? Przecież prawdziwe drag queens poświęcają mnóstwo czasu, żeby się wystylizować. Chodzą na obcasie, często gołą nogi, ten makijaż, peruki, wszystko jest takie profesjonalne i gigantyczne.

Ja myślałem, że Ciotką robię komedię, tylko nie taką telewizyjną, ale internetową. Aż pewnego razu ktoś mi napisał pod jakimś filmikiem, że „wy nawet nie wiecie, jak on inteligentnie wprowadził drag na polski rynek”.

Bo wiesz, ciotka nie jest kontrowersyjna, przynajmniej dla znacznej większości. Ciotka nie porusza tematów, które są bulwersujące. Nie przeklina. Wiadomo, że zawsze wbije komuś szpilę, komentuje jak należy żyć i wie wszystko lepiej niż wszyscy. Ale ona jest jednak dalej taka kochana, jak mama, ciocia, babcia z twojej rodziny.

A jednocześnie to – jak w przypadku Drag Queens – chłop przebrany za babę, więc dla porządku rzeczy coś zagrażającego. Ale jednocześnie każdy widzi w mojej postaci kogoś ze swojej rodziny i dlatego ta osoba wydaje im się

niekontrowersyjna – choć przecież złośliwa – a bliska.

Z ogromną czułością i miłością przywróciłeś popkulturze osoby, które były albo niewidzialne, albo nieatrakcyjne, albo dyskryminowane. Squeerowałeś bywalczynię Ciechocinka!

– I jednocześnie pomyśl sobie o tym, że to pokolenie już odchodzi! Jakby to powiedział Ciotka, „no wiesz, czas leci po prostu”. W Polsce jest mnóstwo kobiet w wieku emerytalnym, z własną kulturą, zwyczajami, powiedzonkami, stylem, których życie znamy, ale nie zobaczymy go w telewizji czy w mediach społecznościowych.

Te Ciechocinki, serwetki, kawki w szklankach z duraleksu, sałatka jarzynowa, ciastka, kalendarze ścienne.

Ludzie chcą to oglądać, bo to jest nostalgiczne, ale też dlatego, że Ciotka żyje innym rytmem: pokazuje, że nawet w tym dynamicznym życiu trzeba zwolnić, powspominać trochę „lepsze czasy”, kiedy człowiek miał czas krzyżówkę rozwiązać. Ludzie za tym tęsknią i przez to kochają Ciotkę.

Okazało się, że w tym turbokapitalizmie lubimy sięgnąć do źródeł naszej tożsamości i że ta tożsamość miała swoje wytyczne estetyczne...

– ...i że to wszystko, choć przez lata „obciachowe” jest jednak ludziom drogie. U Ciotki na filmikach widać choćby wszędzie porozkładane serwetki, nawet na telewizorze. A telewizory „to kobyły były, a nie to co teraz, takie płaskie, na tym nic się położyć nie da...”. A to i słonik czasem przecież stał na telewizorze na szczęście, jakiś bukiet, kryształ. A ludzie szaleją, gdy pojawia się taka klasyczna, szklanka pomarańczowa z niebieskim tulipaniem – bo ona, jak się okazuje, była w większości domów.

Pojawiają się sztuczce w specjalnej walizce...

– Które wyciąga się i poleruje na święta...

...albo które są wianem...

– ...i których się nie rozpakowuje, bo czekają na „specjalną okazję”. Ty wiesz, ile takie sztuczce lub szklanka z tulipaniem wywołuje wspomnień z ostatnich 20-30 lat?

Mnie czasem dopadnie zapach „Pani Walewskiej” i też od razu wpadam w wir refleksji.

Te wszystkie szklanki, serwetki, dywany tureckie, meblościanki dają nam też na chwilę poczucie bezpieczeństwa, przenoszą nas na chwilę w oazę spokoju, do domu babci czy cioci, gdzie 30 lat temu spało się pod taką ogromną pierzyną.

Patrząc na te rzeczy my sobie przypominamy, że to, co jednym kliknięciem teraz możemy kupić w internecie, kiedyś było szanowane, bo nie było łatwo dostępne. Teraz moda się zmienia co tydzień. Co tydzień możemy mieć inne majtki czy naczynia w promocji. A w PRL-u rzeczy służyły, dopóki się nie zepsuły. Bo nie było innego wyboru. Teraz jesteśmy wygodni i mamy ogromny wybór.

I żyrandol jeden wisiał po 40 lat w jednym miejscu, więc kiedy widzisz teraz podobny w muzeum, na filmie, u Ciotki – to od razu ci się przypomina, jak ci pod nim twoja babcia wyciągała z torebki zakazany batonik. Im bardziej lecimy, gnamy do przodu tym bardziej mamy ochotę się zatrzymać. I tu wyskakuje Ciotka z tymi wszystkimi artefaktami.

Na jakich podwalinach opiera się tożsamość Ciotki?

– W dużej mierze oparta jest na narzekaniu. Jako Polacy tak już mamy, że „ja zawsze mam gorzej od ciebie” albo, że jest dobrze, jeśli ktoś ma gorzej od ciebie – no wtedy to się cieszymy. Ciotka dużo wkłada emocji w zazdrość i musi wtedy koniecznie wszystko komentować: „Patrz no jakie ta ma buty, jak się wystroiła”.

No i ocenianie. Bo poczucie gorszości idzie z poczuciem wyższości. „No popatrz, co ona założyła, toć by się wstydziła!”

A uniwersum Ciotki to...

– ...choćby ta nieśmiertelna sałatka jarzynowa. No i miska do niej, bo sałatka składa się też z miski, i chyba każdy miał taką miskę w domu, w której się czasami myło nogi, czasami do niej po imieninach rzygało, a na Święta się w niej mieszało sałatkę jarzynową.

Możecie się zapierać, że u was takiej nie było. I tak wam nie uwierzymy. Do tego dochodzi zestaw przekonań: mięso masz zjeść, a ziemniaki zostawić, nie możesz siał dać na zimnym, bo dostaniesz wilka. I jeszcze zestaw dań polskich narodowych, prodiże, barki z tajnymi alkoholami

I czekoladą!

– Dancingi i fajfy. To, że „kiedyś to nie było telefonów”. Świąt urodzin i imienin, świąt i po nich chudnięcia. Ciotczyny świat oparty jest na naturalnym upływie pór roku, który się komentuje, jak i zmienności miesięcy, ale też tego, że „po co znowu te zegarki zamieniamy”.

Na powiedzeniach typu „Jezus Maryja, ale mi ten kwiecień szybko zleciał, no i patrz, Patrz, no i zaraz Boże Ciało potem Wszystkich Świętych, znowu choinkę trzeba ubierać i rok zleciał!”. I taka jest cudowna ta nasza Polska: że ciągle na nią narzekamy, a kochamy.

No a ja do tego roku liturgicznego muszę wrócić...

– ...bo u mnie faktyczne są ważne kościelne sprawy, bo Ciotka oczywiście do Kościoła chodzi. Ktoś kiedyś skomentował, że nie

jest u mnie intensywnie, bo żyję premierą mojej książki.

Idealna na kocyk i Boże Ciało, pod czereśnię. Stara Chmielewska spotyka media społecznościowe...

– Jak zacząłem nagrywać Ciotkę, nie spodziewałem się, że ona tak, wiesz, urośnie. Ciotka bywa w telewizji śniadaniowej, odwiedza różne programy. Teraz będzie robić dubbing! No i w końcu, jak miała roczek – pojawiła się propozycja wydawnicza. Zaproponowano autorstwo Ciotce, bo wypracowała już sobie styl, swoje teksty, swoją elegancję i humor. Jak wiesz ciotka jest kreatywna, ale nie zatraciła w książce siebie samej. Nadal mówi „poszła żem do niego”, nadal wszystkich ocenia i jest straszną hipokrytką.

Tych błędów ciotczynych ci nie poprawiali?

– Oj było z tym trochę śmiechu, bo wiadomo, ciotka wszystko po swojemu przekręca, więc dostałem pytanie, czy chciałem napisać „arabskie ciemności”, czy może jednak „egipskie”?

Ciotka wyjeżdża ze swojej ukochanej Gdyni na wczasy zdrowotne do Ciechocinka. W pociągu poznaje jedną panią, z którą się zaprzyjaźnia, ale ta koleżanka coś tam szpaci-maci. Zaczyna chcieć Ciotkę odchudzać, a także inne kobiety w tym ośrodku. I to odchudzanie jest takie „podejrzliwe”. No i ciotka bawi się trochę w detektywa. W międzyczasie poznaje starszego pana... No to totalna mieszanica kryminału i harlekina.

Zawsze chodziłem z babcią na wszystkie roraty, drogi krzyżowe, różańce czy majowe, więc wszystkie pieśni praktycznie mam w jednym palcu.

powinno się śmiać z takich tematów, tymczasem dostałem mnóstwo wiadomości od księży czy katechetek, że dla nich Ciotka nie jest obraźliwa, bo to nie jest wyśmiewanie tylko umiejętnie odzwierciedlanie tego, jak się faktycznie zachowują parafianie w kościele.

Miałem taką serię filmików z przyjmowaniem księdza po kolędzie. Wiadomo, że Ciotka musi dać więcej do koperty niż sąsiadka i wiem, że księża się z tego śmieją, bo przecież wiadomo, że jak ludzie chodzą do spowiedzi to nie tylko wyznają grzechy, tylko też na kogoś narzekają. A ja nie wyśmiewam się z wiary. Może te osoby to tak dotyka, bo same tak robią?

Znasz wiele pieśni religijnych!

– Zawsze chodziłem z babcią na wszystkie roraty, drogi krzyżowe, różańce czy majowe, więc wszystkie praktycznie mam w jednym palcu. Wszystko to przeżyłem i wiem, jak te obrzędy wyglądają.

Obserwujący się śmieją, że do Kościoła nie muszą w święta chodzić – wystarczy, że sobie Ciotkę odpalą i już im się wszystko przypomnia.

A ja oczywiście byłem ministrantem też dlatego, że się lubilem udzielać – po kółku plastycznym czy świetlicy to była kolejna grupa...

No i oczywiście służba ołtarzowa ma ten pierwiastek bycia na scenie. Teraz mam 26 lat i chodzę do kościoła tylko, jeżeli ktoś umiera albo ktoś się hajta – inaczej nie widzę w tym większego sensu.

A na Parady Równości chodzisz?

– Nie byłem jeszcze ani razu. Nigdy mi się nie złożyło. Ale pójdę, natomiast mam teraz kilka zaplanowanych projektów, ale jak się wszystko złoży, to muszę iść. Teraz to

A do tego komedia romantyczna! Tokarczuk napisała balneologiczny horror, ty kryminał sanatoryjny z wątkiem miłosnym oczywiście...

– Nigdy nie byłem w Ciechocinku, research robiłem z albumów z pobytu babci. Vibe sanatoryjny, gdzie tu pensjonat, tu fontanna, tu grzybek – rozumiem. I co tam jeszcze było? Toć obowiązkowo tęźnia! Wiadomo co się liczy w życiu seniora na wywczasie: dancingi, jedzenie, romanse.

Polskę zelektryzowała w ubiegłych latach wiadomość, że kuracjusze wyjeżdżają z sanatoriów zarażeni chorobami wenerycznymi, bo to by oznaczało, że starsze osoby mają życie erotyczne!

– A i bardzo dobrze, na zdrowie im, tylko bezpiecznie tam! Młodszy nikt nie będzie, więc niech korzystają z życia. Niech się kurują i bawią, na różne sposoby.

Przecież nie można starszych osób wrzucać do wora z napisem „przeteterminowane”.

Czyli nie „zabierz babci dowód” tylko napisz o jej – prawdziwym – życiu książkę?

– To nie jest jakaś grupa staruszków, tylko ludzie z krwi i kości, jedni bardziej nerwowi, inni spokojni, jedni mądrzy i przebiegli – inni łatwowierni.

Dawno nie czytałam książki takiej hrabalowskiej w wymiarze opisu życia: rajstopa zawsze ci pójdzie, w brodziku prysznic jest taboret do mycia, ktoś ma biegunkę.

– Ludzie kochają zaglądać w zwykłe życie: dlatego wszystkie paradokumenty mają taką oglądalność. A ja po prostu mam szacunek wyuczony do tej grupy „starszych” i ich życia. Zwłaszcza kobiet, bo moja babcia jest moją rodzinną faworytą, mam wspólnie relacje ze wspomnianymi ciociami.

Być może dlatego świat pokazuje właśnie z kobiecego punktu widzenia i skupiam się na losie kobiet, bo może jako gej po prostu wolalem przebywać z ciotkami niż słuchać o hydraulice, czy budowlance o której chciał rozmawiać dziadek czy tam wujek.

Te ciocie, babcie były takim bezpiecznym środowiskiem: mogłem po kryjomu podglądać, jak się malują, jakie mają garsonki w tej szafie...

Ta twoja ciotka to nie jest mimoza. Jak na nią patrzę, to po raz kolejny sobie przypominam te stereotypy o kobietach, że to słaba pleć...

– Ciotka jest wdową i od iluś lat praktycznie radzi sobie sama.

Jak to sama! Niektórzy z nas myślą, że żyje w związku ze swoją przyjaciółką Beata!

– Kocham te teorie spiskowe. Dlatego nie daję ciotce imienia i niczego nie rozjaśniam, żeby one kwitły! No dobrze, był też jakiś sąsiad, który może jej się podobał, ale tak naprawdę Ciotka musiała przez ostatnie lata nauczyć się żyć sama.

W Polsce jest ponad 3,5 mln wdów. To około 10 proc. społeczeństwa.

– I one wszystkie muszą się nauczyć być twarde, chociaż często prowadziły ten statek miłości. Są też singielki, tzw. „stare panny”. Moja ciotka częstochowska taką była.

I była jak Ciotka zadziorna – mówiła za-

wsze to, co myśli. Wiele razy przesadziła i przegięła. Na pogrzebie jej siostry ktoś ją poprosił, żeby się przesiadła i ona na głos powiedziała, że „na pogrzebie nieważne, gdzie się siedzi, ważne, żeby się najeść”. Była „pierwsza do jedzenia” ...

Jest taki mem „In Polish we don't say 'I love you', mówimy, dołóż sobie sałatki jarzynowej”.

– Ja się jej raz zapytałem, jak byłem mały: „ciociu, czy ty kiedyś miałaś męża?”. Od razu odparowała, że tak – zginął na Wojnie Secesyjnej. Tak że ja wiem, że kobiety są silne,

Polki są silne: pokazała to zarówno moja ciotka częstochowska, jak i pokazuje to moja Ciotka. Mamy pewną taką zawziętość i nie damy sobie w kaszę dmuchać. To jest w końcu nasz czas! ●

Mateusz Glen

● Sam siebie nazywa „chłopem przebrany za babę”. Znany jako „Ta Jedna Ciotka”. Jego konta na Instagramie i TikToku obserwuje blisko 750 tys. osób. W tworzeniu postaci Tej Jednej Ciotki Glen wykorzystuje panujące stereotypy i rodzinne historie. Parodiuje m.in. swoje ciotki i babcie. Skończył liceum plastyczne w Częstochowie, studiował dziennikarstwo, pracował w gastro, ale teraz jest influencerem na pełen etat. Gościł w programach takich jak „Dancing with the stars. Taniec z gwiazdami”, „Dzień dobry TVN” i „Twoja twarz brzmi znajomo”. Otwarcie mówi, że jest gejem. Zadebiutował właśnie powieścią komediową i kryminalną „Boże, Beata”, wydaną przez Dom Wydawniczy Znak, której akcja dzieje się w Ciechocinku.



Ile można wydać
na leczenie psa

NASZE NAJDRÓŻSZE

Edyta Bryła

Paulina Tyburska, lat 40, ma dwa 30-kilogramowe amstafy.

Wcześniej zawsze miała kundelki, do czasu aż przygarnęła małą amstafkę, którą sąsiad chciał utopić. Po jej śmierci wzięła kolejne amstafy, bo lubi walczyć ze stereotypami, a te psy są nimi mocno obciążone – że są agresywne, że w szczęce mają iluśtonowy uścisk. Te opinie powstają, według Pauliny, z winy nieodpowiedzialnych właścicieli, nie zwierząt.

Paulina na stałe korzysta z pomocy psich behawiorystów. – Tak to jest, jak się ma psy z adopcji, a niestety też coraz częściej z hodowli, z których większość to nadal pseudohodowle. Albo w sytuacji, gdy po prostu coś nie pykło – mówi.

To duże koszty, jak za ludzkiego psychologa, od 200-250 zł za godzinę. Paulina napisała wniosek do budżetu partycypacyjnego

jednej z warszawskich dzielnic, by miasto wprowadziło nieodpłatną usługę spacerów socjalizacyjnych psów z behawiorystami. To by wsparło wielu mieszkańców.

Ile potrzeba spotkań z behawiorystą? Jak pies jest pojętny, to korzysta się z usług coraz rzadziej, ale jeden z psów Pauliny – suczka Beza – ma problemy z reaktywnością i jest bardzo lękowa. Możliwe, że będzie potrzebowała wsparcia przez całe życie.

To nie wszystko. Kursy na behawiorystów coraz częściej robią ludzie psychologowie, by oferować usługi sfrustrowanym opiekunom psów.

– To lekarz od emocji człowieka, który pomaga lepiej sobie radzić z relacją człowiek-pies. Niedawno byłam u świetnej specjalistki – mówi. Usługa należała do tańszych – 120 zł za spotkanie online – pewnie dlatego, że psycholożka dopiero zaczyna pracę w tym segmencie.

Gdy jest potrzeba, Paulina zostawia psy w przedszkolu, gdzie mają dzienną opiekę

za 162 zł (po zniżce). Raz musiała wyjechać w podróż służbową bez psów i za ich hotel na trzy doby wydała 550 zł. Ale nie ma problemu, jeśli chce psy zabrać na wakacje – hotele coraz chętniej przyjmują je nieodpłatnie.

Mówi się, że kundelki są zdrowsze od psów rasowych, ale zdaniem Pauliny to nieprawda. Wszystkie psy są narażone na choroby cywilizacyjne, jak chociażby alergie. To one okazały się zresztą źródłem problemów jej Dakara. Gdy wszystko pyli, staje się drażliwy, pobudzony.

Niektóre zwierzęce fundacje rzadziej wyadoptionują psy poza duże miasta, jeśli w mieście docelowym nie ma dobrego psiego dermatologa. – Takie psy wymagają też specjalistycznej droższej karmy. A ty czasem żresz tynk – mówi Paulina. Sucha karma kosztuje miesięcznie 700 zł, do tego Paulina kupuje im mokre puszki i czasem gotuje. Wychodzi łącznie około tysiąc zł.

Paulina jest weganą, ale karmi psy mięsem – układa się z tym bez problemu. Choć

cieszy ją, że Dakar uwielbia jabłka i marchew. Gdy mu dać wybór, wybierze je zamiast mięsa. Choć pies mógłby być weganinem, Paulina nie znalazła przekonujących wyników badań, że to na pewno psu nie szkodzi.

Wspomaga ją w tym babcia, od której dostaje dla psów słoiki – mięso z warzywkami.

– Babcia kocha karmić i stwierdziła, że skoro ludzkich wnuków nie będzie, to będzie karmić Dakara i Bezę – mówi. Rozpieszczana jest też kotka babci – ma w domu szwedzki stół różnych przysmaków, może wybierać, na co ma ochotę.

– Tak, jesteśmy walnięci – stwierdza Paulina.

Pracuje z dziećmi i widzi jak je nieraz rodzice rozpuszczają. – Staram się nie robić tego z psami. Kupuję im jak najlepsze jedzenie dla ich zdrowia, ale wymyślna smycz nie jest mi potrzebna do szczęścia. Skupiam się na zdrowiu psów i ich bezpieczeństwie – mówi.

Choć na akcesoria trzeba dużo wydawać, bo zwłaszcza przy dużych psach, szybko się zużywają, nawet te robione ręcznie. Paulina zna tylko jeden sklep, w którym można podesłać popsute akcesoria do naprawy – Warsaw Dog.

Za to zabawki i gadżety kupuje z drugiej ręki, bo jej psy i tak wszystko dość szybko zniszczą w zabawie. Dokupiła psom ostatnio tylko miskę spawalniącą jedzenie.

Niektórzy uważają za nienaturalne ubieranie zwierząt. Ale krótkosierstne psy marzną. Paulina jednemu psu sweterek zakłada. Musi być dopasowany i jakoś wyglądać, a to kosztuje (150 zł na promocji). Jak ktoś może sobie na to pozwolić, są też w ofercie komplety kurtek dla psów i opiekunów, dopasowane kolorystycznie.

Do tego są takie rzeczy jak kamizelka ratunkowa (350 zł), jak się chce iść pływać z psem, jechać z nim na kajaki. Bezpieczeństwo jest ważne.

Paulina myśli, że to dlatego, że psy krócej żyją mamy tak ogromną przyjemność z dawania im tego, co najlepsze.

Jak pies umrze, są cmentarze dla zwierząt. Paulina pochowała tam już pięć psów. Pochówek kosztował 250 zł, do tego jest roczna opłata za utrzymanie grobu. Raczej nie jest to dochodowy biznes, a potrzeba serca.

Ortopeda, okulista, dietetyk, zoofizjoterapeuta

Kasia, lat 39, ma dwa dorosłe labratory.

Wydaje na nie miesięcznie około 3 tys. zł. Ale tylko połowa tej kwoty to wydatki niezbędne. Wyżywienie i suplementy na stawy, olej omega 3 i babka płesznik na lepsze trawienie, poza tym ochrona przeciw kleszczom i składka na ubezpieczenie (150 zł miesięcznie na oba psy).

Ale Kasia dużo wydaje też na szkolenia, treningi psów i webinary. Chodzi o treningi sportowe, ale tylko takie dla zabawy, nie wyuczynowe, dla pucharów – te psy akurat nie mają predyspozycji do wielkich sportowych osiągnięć. Kasia chce po prostu, by psy miały ciekawe i urozmaicone życie.

Wozi je więc, często na zmianę, na mantrailing (tropienie ludzi), treningi posłuszeństwa, psi fitness czy nosework (sportowa detekcja zapachowa). Mniej więcej raz w miesiącu jeden z psów ma oprócz tego treningi aportowania.

Średnio w tygodniu ma trzy treningi. – To sporo kosztuje, ale to coś, co lubię robić. Nie mam dzieci, więc jestem w stanie pozwolić sobie na taką inwestycję – mówi.

Tak, przyznaje, że trochę grafik psów wygląda jak dziecięcy, z różnymi zajęciami, ale psy to lubią. – Do niczego ich nie zmuszam, mają frajdę. Wspólne treningi i psie sporty, również amatorskie, pomagają w budowaniu lepszej komunikacji i lepszej relacji między psem, a jego opiekunem – mówi.

Dzięki tym aktywnościom psy są też bardziej skupione na człowieku na spacerach, nie ma obaw, by puścić je bez smyczy, bo w razie potrzeby da się je przywołać. Szybkiej reagują na komendy, zwłaszcza ten, który ma silniejszy instynkt łowiecki i potrzebował dodatkowych zajęć umożliwiających mu realizację tego instynktu w bezpiecznych, kontrolowanych ramach.

Na lekarzy na szczęście Kasia nie musi wydawać dużo. Raz na kwartał psy mają badanie kału, raz na rok USG jamy brzusznej, badanie moczu i rozszerzone badanie krwi. Do tego szczepienia przeciwko wściekliznie i chorobom zakaźnym. To ok. tysiąc zł rocznie.

– Mamy nie tylko psiego „lekarza pierwszego kontaktu”, do którego chodzimy po tabletki przeciwko kleszczom i szczepienia na wściekliznę, lecz również, jeśli trzeba, konsultujemy się u specjalistów, ortopedów, okulistów, dietetyków, zoofizjoterapeutów – mówi.

Zdarzają się jednak przygody. W zeszłym roku starszemu z psów wbiło się coś pod żuchwę, zrobił się ropień, trzeba było go wyciąć, chodzić na kontrole. Wyniosło to około 3 tys. zł, ale większość wydatków pokryło ubezpieczenie.

Kasia uważa, że ubezpieczenia warto wykupywać. Znajomy wydał na powikłania po boreliozie u swojego yorka 20 tys. zł.

Kasia widzi, że w ostatnich latach nie tylko zmienia się świadomość ludzi, jeśli chodzi o stosunek do psów i zaspokajanie ich potrzeb, ale też rozwija się rynek produktów i usług.

– I to jest super, bo dzięki temu mogę kupić na przykład buty, kamizelki chłodzące. Rynek oferuje też sporo rzeczy całkowicie zbędnych lub wręcz szkodliwych, dlatego trzeba uważać, żeby nie zwariować – mówi.

Nigdy by nie kupiła „czekolady dla psów”, ani ubranek, które mają być po prostu ładne. – Jestem natomiast gotowa sporo wydać na dobrej jakości szelki (300-400 zł) czy linki spacerowe – mówi.

Psy nie mają wyszukanego legowiska, śpią w łóżku albo wylegają się na używanym „ludzkim” materacu obłożonym specjalnie zamówionym pokrowcem wodoodpornym.

Kasia chce kupić lokalizator dla jednego z psów, który szybciej się oddała i czasem znika z pola widzenia, boi się, że mógłby gdzieś utknąć.

Planuje obozy szkoleniowe (2-3 tys. zł). – Jak ktoś ma możliwość i ochotę wydawać pieniądze na psa, to jest to worek bez dna – mówi. Przyznaje, że chętniej oszczędzi na własnej diecie niż psiej. – Wychodzę z założenia, że jak teraz będę dbać o psy najlepiej jak mogę, będzie mniej problemów w okresie ich starości.

Pijawki to stworzonka do zadań specjalnych

Julia Paprocka pracuje w lecznicy dla zwierząt, ale jej specjalnością poza gabinetem jest hirudoterapia (prowadzi praktykę HirudoPet), czyli przystawianie pijawek zwierzętom, zwłaszcza koniom. Jak mówi, pomaga to przy stanach zapalnych, przykurczach czy opuchliznach. Zwykle kuracja wymaga 3-4 zabiegów, jeden kosztuje 300 zł (trwa do 3 godzin), plus pijawka za 20 zł.

– Pomagam, gdy zoofizjoterapeutka i inni lekarze rozkładają ręce. Pijawki to stworzonka do zadań specjalnych – mówi.

Według niej gdy ludzie żyją w większym komforcie, chcą tego samego dla swoich zwierząt. Nie chcą dla nich cierpienia w chorobie i bólu, tak jak nie chcieliby go dla siebie. Poza tym, z ról stróżujących czy pracujących, zwierzęta awansowały na domowników.

Julia ma swojego konia, a także psa, owczarka francuskiego Beaucerona. Koszty ich utrzymania idą w tysiące, ale ma ze zwierząt olbrzymią satysfakcję. Karmę dla psa wybiera z dobrym składem, kosztuje do 1,2 tys. Lubi go rozpieszczać też surowym mięsem, zwłaszcza wołowiną.

Ale większość pieniędzy oczywiście idzie na konia – opłaty za boks i paszę, ale też fizjoterapię co trzy tygodnie (250 zł za sesję).

– Koń ma masaże, stretching, terapię powięziową, magnetoterapię. Zdecydowanie więcej wydaję na zwierzęta niż na ludzi. Mam potrzebę dbania o słabsze istoty – mówi.

Emerytki nie stać na leczenie psa

Małgosia miała psa Pesta, rudego kundla z odzysku z okrutnie zakreślonym ogonem. Gdy miał 14 lat, zachorował na nowotwór gruczolów okołoodbytowych. Wredna choroba, bo początkowo nic nie widać. Gdy robi się bulwa pod ogonem, stan jest już zły.

Przez półtora roku Gosia wydawała z emerytury na chemię prawie tys. zł miesięcznie, plus po 400 zł za jedną-dwie wizyty w miesiącu. Prócz tego trzeba było dokupywać inne leki i kroplówki. Pesto żył przez ten czas w dobrej kondycji, wychował dwa koty, aż od chemii wysiadły mu nerki i wątroba. W końcu Gosia zdecydowała o uśpieniu.

Na leczenie było ją stać, ale nie wszyscy tak mają. Gdy chodziła z psem do kliniki na kroplówki, spotykała starszą kobietę, która tam przychodziła z kundelkiem też z chorobą nowotworową. Po kilku miesiącach

powiedziała, że na dalsze leczenie nie ma już pieniędzy.

– Większość oszczędności inwestowała w zdrowie psa, a sama zdrowa nie jest. Widziałam, jak rozpacza. Była samotna, dzieci za granicą. Piesek, senior jak ona, był jedyną już bliską istotą – mówi Gosia.

Gosia leczy też jeszcze jednego z kotów, bo ma piasek nerkowy. Potrzebuje badań (ostatnia wizyta z badaniem moczu krwi plus leki kosztowała 380 zł) i specjalistycznej karmy (300 zł miesięcznie).

Do tego kot jest takiej rasy, że trzeba go wyczesywać, żeby się nie sfilcował. To 200 zł raz na 4-5 miesięcy.

– Jeżeli ktoś ma mało pieniędzy i dużo zwierząt, to jest to problem. Wiele osób próbuje leczyć na własną rękę, często kosztem zwierzęcia, choć wszystkimi kieruje tylko miłość. Nawet biedny piesek wzięty z ulicy to też koszt – mówi Gosia.

Karolina i jej partnerka mają 10 królików

Są adoptowane albo uratowane. Dziewczyny widzą, jak odżywają, gdy dostają miłość. Jeśli króliki nie chorują, wydają na nie 400-600 zł. Jak chorują, to i za 2,5 tys. miesięcznie. Najczęściej zdarzają się zatkania jelit. Może się z tego zrobić rozszerzenie żołądka i potrzebna jest operacja. Rok temu jedna króliczka najadła się gałązek, źle pogryzła i zatkała, i musiała spędzić trzy dni w szpitalu (1,7 tys.). Z kolei króliczka Lusja zeżarła kiedyś poduszkę i musiała mieć otwierany żołądek.

Jedna 13-latką od lat walczy z katarem. Miała już otwierany nos, by wyciągać kamyki, które powstają przez bakterie (zabieg plus leczenie 3 tys. zł). Niestety, kamyki odnawiają się. By było lepiej Karolina zainwestowała w koncentrator tlenu (700 zł) i nebulizator (200 zł).

Wkrótce chce królikom kupić pięć nowych kuwetopaśników, łącznie za 1,5 tys. – Leczymy ile się da, póki nie jest to uprzedzona terapia i królik ma szansę na komfort. Jeśli leczenie oznacza przedłużanie cierpienia, to nie – mówi Karolina.

Uszatki mają pączki, tunele, leżanki (od 70 zł). Wszystkie zżerają, więc nie warto mieć ładnych rzeczy, choć chce się je królikom, z miłości do nich, kupować, by przyjemnie było choć przez chwilę.

Psy nie mają NFZ

Michał z Opola przez 12 lat miał w rodzinie Argona, goldena. Już nie żyje. Gdy pies był młody, Michał z każdą pierdołą biegał do weterynarza. Rzadka kupa, do weta. Chyba kuleje, do weta. Badanie wstępne kosztowało 50 zł, potem leki.

– Martwiliśmy się z każdą bzdurą – mówi. Potem Argonowi wyszła dysplazja stawów, objawiała się tym, że po 500 metrach spaceru zaczynał kuleć i piszczeć. No, szkoda psa.

Najpierw zalecono mu pektinotomię, zabieg polegający na wycięciu mięśnia grzebieniastego. Mięsień ten odpowiada za przywodzenie uda, tak więc u psów z dysplazją jest napięty i powoduje ból. To było 10 lat temu, kosztowało około tys. zł, sporo jak na tamte czasy. Nic to nie pomogło nic, pies dalej po spacerach kulął i piszczał.

Ale koleżanka pracowała w dużej przychodni w Kędzierzynie-Koźlu i tam zaczęli wprowadzać zabiegi z użyciem komórek macierzystych. Michał zapisał Argona, zabieg kosztował prawie 3 tys. zł. Pomogło, psu zniknął stan zapalny stawów, przestało go boleć.

– Czy bym się zdecydował dziś na to wszystko? Jasne, Argon to był najlepszy pies świata i nigdy już takiego nie będziemy mieć – mówi.

Teraz ma owczarka niemieckiego, który ostatnio miał zapalenie ucha i trzy wizyty u weta. Dostał tabletki na stan zapalny, sterydy, coś do płukania ucha – łącznie za 800 zł. Niestety psy nie mają NFZ, nie odprowadzają ZUS-u.

Do weta chodzi z córką, bo to jej pies. Mieli umówione szczepienie. Pani osłu-

chuje psa, robi szybki wywiad, zastrzyk ze szczepionką i do widzenia. Michał pyta o cenę. 50 zł, słyszy. Córczka na to, że chyba 5 zł. Przecież wizyta nie trwała nawet 5 minut.

– No widzisz, dlatego tata chce, żebyś była weterynarzem – odpowiedziała lekarka.

W domu Michała są jeszcze rybki, kot i papuga. Na podstawowe utrzymanie idzie 400 zł. Ale sąsiad ma akwarium. Morskie na 700 litrów, tylko prąd kosztuje miesięcznie 1,5 tys.

– Ja z kosztami nie ma problemu. Kupowanie zabawek psu sprawia przyjemność. Z karmą nie wariuje, chociaż może powinienem, bo jest w niej syf. Zwierzątka kosztują, ale nie wiem jak można bez nich żyć. Po Argonie bez psa wytrzymałem trzy miesiące – mówi.

Mój włochaty synek

Iza, właścicielka doga niemieckiego: – Raczej w niego nie przeinwestowuję. Karmę kupuję za 250 zł, nie jest to jeleń z witaminami. Gdy był zdrowy, ubezpieczyliśmy go jednak na 5 tys. zł. Potem przez rok leczylismy go wodną terapią, na stawy. Kosztowało to tylko 1,2 tys. zł, ale potem ubezpieczyciel nie chciał nas ponownie ubezpieczać.

Kasia, właścicielka shih tzu: – Pixel w związku z problemami z kręgosłupem chodzi cyklicznie na akupunkturę, zapobiegawczo (60 zł za zabieg), a w razie kontuzji nawet co drugi dzień przez tydzień/dwa. Dostaje suplementy na stawy i odporność. Posłanie też ma z ortopedycznym materacem.

Nie licząc wizyt u kardiologa za 200 zł każda – pies ma wrodzoną wadę serca, codziennie dostaje leki na niedoczynność tachycy. Średnio raz na dwa miesiące lapie przeziębienie albo zapalenie uszu, wizyty u lekarza i leki kosztują wtedy około 100 zł. Do tego groomer co 5-6 tygodni (180 zł). Jak na Warszawę to tanio – w innych gabinetach ceny są dwa razy wyższe.

Rok temu Pixel miał raka i przeszedł operację za 800 zł, a z USG – tys. zł.

Klaudia: – Mój włochaty synek odkąd się urodził, choruje na zapalną chorobę jelit, więc musi mieć specjalnie dobrane karmy. Kosztują więcej niż moje jedzenie. Do tego bierze lek codziennie do końca życia, który jest sprowadzany z Francji. Miesięcznie wychodzi 900 zł.

Do 4. roku życia średnio co 2 miesiące był u weta, bo od jelit robiły się różnego rodzaju infekcje. Przez to, że był chorowity za „dzieciaka”, raz do roku robimy mu totalny przegląd u weterynarza: badania krwi, echo serca u kociego kardiologa, USG jamy brzusznej, mocz, kał itd. Wydajemy na to 1,4 tys. Ale o członka rodziny, jeśli się go ma, to się dba i nie liczy pieniędzy.

Przemek: – Jednemu z naszych trzech psów wypadł dysk i stracił władzę w tylnych łapach. Tomografia kosztowała prawie 2,5 tys., operacja kręgosłupa 6,1 tys. Wizyty w lecznicy kosztowały prawie 700 zł, wizyty u weterynarza około 500. Teraz trwa rehabilitacja – to wizyty po 200 zł każda.

Oprócz tego codzienne z nim ćwiczyć, wyprowadzam na smyczy i podtrzymującej szmatce, bo wciąż nie chodzi, odsusiewuję, bo nie siusia sam. Dostaje leki co 8 godzin, teraz doszła elektrostymulacja.

Okienko Życia dla małych zwierząt

Magdalena Nowaczyk jest zoopsycholożką, behawiorystką królików i gryzoni, a także zielarką i dietetyczką weterynaryjną. Prowadzi fundację Okienko Życia dla małych zwierząt, zwłaszcza królików, odratowuje je i szuka im domów.

Pomaga opiekunom różnych gryzoni, gdy sprawiają problemy lub nietypowo się zachowują, na przykład gryzą pręty, sikają w domu, są agresywne wobec ludzi i innych zwierząt. Najczęściej chodzi o króliki i szynszyle, rzadziej szukają pomocy właściciele chomików i myszek. – Niektórzy traktują zwierzęta jak przedmioty, inni potrafią poświęcić wiele, by miały wysoką jakość życia. Historii jest dużo – mówi Nowaczyk.

Wspomina klientkę, która długo szukała pomocy dla ciężko chorej szynszyli-seniorki – miała zaburzenia neurologiczne, anemię i cukrzycę. Właścicielka jeździła do różnych lekarzy, szukając porady.

Nowaczyk mówi, że to mit, że małe zwierzę to mały kłopot i mniejsze koszty. W codziennym utrzymaniu – być może, na przykład wydatki utrzymania królika są zbliżone do kota. Choć może być drożej, jeśli wybieramy pokarmy lepszej jakości, dobre siano i lepsze mieszanki ziół.

Ale koszty weterynaryjne są już dużo wyższe u małych zwierząt, bo to mniejszy rynek, mniej specjalistów. W efekcie jej kot ją kosztuje 300 zł, a trzy króliki – około tysiąca.

Zwykły weterynarz często szynszyli nie pomoże, potrzebny jest specjalista od zwierząt egzotycznych albo nieudomowionych. – Ja dojeżdżam do weterynarza 40 km i to jest bardzo blisko. Inni mają 200 km – mówi.

To droższa opieka, bo potrzeba innego sprzętu, mniejszych głowic do USG, innych stetoskopów. Do tego malutkie zwierzęta trzeba poddawać narkozie, by im pobrać krew – gryzaczemu chomikowi czy myszce inaczej się nie da – co zwiększa koszty bardziej niż u psa. Choć u tych najmniejszych krew pobiera się tylko, gdy są chore – trzeba na przykład sprawdzić pracę serca, wątroby czy nerek – bo mają mało krwi i badanie może im zaszkodzić.

U królików potrzebna jest profilaktyka, badania krwi wystarczy robić raz w roku lub co pół roku u starszych. Chyba, że mają chore nerki czy wątrobę, to wtedy co miesiąc. Podstawowa biochemia i hormony tarczycy kosztują 250 zł, bez sedacji i diagnostyki innych chorób, jak encefalitoza, choroba odkleszczowa to kolejne 200 zł. Co pół roku lub co rok trzeba króliki szczepić na choroby wirusowe.

Króliki się też kastruje – 500 zł za samca, 700 zł za samiczkę (czasem trzeba wcześniej zbadać krew).

Dwa z trzech królików Nowaczyk przechodziło też skręt płata wątroby, co wymaga zabiegu w ciągu kilku godzin, bo inaczej zwierzę się wykrwawi. Koszt to 1,5 tys. za jedno zwierzę.

Starsze króliki często potrzebują pomocy kardiologa (wizyta 200 zł) i leków na serce (do 400 zł miesięcznie). Kontrole muszą być częste, bo może trzeba zmienić dawkę leku.

Zadbany gryzoń może też wymagać wizyty u dentysty – trzeba sprawdzić, czy nie przerastają zęby, bo inaczej może się zdarzyć, że trzeba je wyrwać (400-500 zł), albo korygować (kilkaset zł za wizytę).

Królik musi zostać w szpitalu? Jedna dziewczyna za hospitalizację trzech królików dostała rachunek na 12 tys. zł. Niektórzy zakładają więc zbiórki, by opłacić leczenie gryzonia.

Z nimi jest taki problem, że dolegliwości pokazują dopiero, jak ze zdrowiem jest już naprawdę źle. Trudno wylapać wczesny etap choroby i szybko ją zaleczyć, nim stanie się to bardzo drogie. Do tego czasem, by je zdiagnozować potrzebne są wielogodzinne obserwacje, więc właściciele instalują kamery, by na przykład wylapać moment, w którym zwierzę zaczyna być agresywnie. – Często szukanie diagnozy oznacza wędrówkę do różnych specjalistów, króliczego kardiologa, fizjoterapeuty, ortopedy. Trwać to może pół roku, nim lekarze dojadą do jakichś wniosków – mówi ekspertka.

Nowaczyk mówi, że idziemy w dobrą stronę, jeśli chodzi o dbałość o zwierzęta. Jeszcze się zdarza, że ktoś uważa, że nie ma sensu leczyć chomika, jeśli nowy kosztuje 20 zł, ale coraz rzadziej. Zwiększa się świadomość o dobrej diecie zwierząt i profilaktyce. W mediach społecznościowych jest mnóstwo grup wsparcia dla opiekunów i młode pokolenie będzie miało o wiele większą wiedzę niż opiekunowie sprzed 10 lat.

Rozwija się też branża hoteli dla małych zwierząt. Wcześniej zwierzę byłoby raczej oddane, bo ktoś nie planował, że do urlo-

• Według portalu [Weterynarianews.pl](#), rynek weterynaryjny w Europie rośnie każdego roku o

5 proc.

a w Polsce może to być o kilka procent więcej. Wartość globalnego rynku zdrowia zwierząt domowych w 2020 roku wyniosła ponad

18 mld dol.

• Szeroko pojęty rynek zoologiczny rośnie szybciej, bo o prawie

20 proc.

i w Polsce w 2020 roku wyceniany był na

3 mld zł

• W pandemii skorzystała także telemedycyna zwierząt. Według prognoz, w latach 2022–2030 ten rynek ma rosnąć w tempie około

18 proc.

rocznie.

Kasia uważa, że ubezpieczenia warto wykupywać. Znajomy wydał na powikłania po boreliozie u swojego yorka 20 tys. zł.

pu jeszcze będzie żyło. A dziś gryzoniowi kupuje się nocleg. To koszt na przykład 40-50 zł za jednego królika za dobę, przy czym zwykłe opiekunowie mają dwa – tyle co najmniej powinno być w rodzinie stadnego gatunku (jak świnki morskie, szynszyle, koszatniczki) i coraz więcej ludzi o tym wie.

Czasem trzeba umieć się pożegnać

Dr Alicja Janczura mówi, że w ostatniej dekadzie wiele się zmieniło i zdobycze medycyny ludzkiej zaczęły być wykorzystywane także w weterynarii. Po drugie wzbogaciliśmy się i leczenie zwierząt stało się dla wielu osób osiągalne finansowo.

Wiele maszyn, które robi się dla ludzi, są modyfikowane pod potrzeby i anatomię zwierząt. W lecznicy Proton, w której pracuje dr Janczura lekarze przeprowadzają konsultacje neurologiczne, badanie rezonansem magnetycznym oraz badanie płynu mózgowo-rdzeniowego

Najczęściej pacjentami są zwierzęta z padaczką, niedowładami i paraliżem, porażeniami twarzy i nietypowymi zachowaniami. Koszt rezonansu zależy od badanej okolicy oraz wielkości zwierzęcia – to około 1,4 tys. zł na jedną okolicę.

Kilkakrotnie takie badanie, a także dwie operacje, przechodził na przykład owczarek niemiecki Ray, który miał guza mózgu. Opiekunka była zdeterminowana, by go ratować. To było kilka lat temu – pies wciąż żyje.

Inny pies w śnie zaczął ruszać łapami jak w galopie, co w dorosłości nie powinno się już zdarzać. Badanie pokazało, że miał w głowie guza wielkości pięści. Usunąć go można było tylko za pomocą radioterapii, na co opiekun się zdecydował wydłużając psu życie w komforcie. Ile kosztują naświetlania? W przypadku głowy na przykład 30-kilogramowego boksera to koszt około 15-20 tys. zł

– Czasem nawet ja jestem zaskoczona, jak wiele wysiłku opiekunowie chcą włożyć w leczenie zwierząt. Na pewno w dobrej wierze, ale czasem ono nie przynosi życia w komforcie i wtedy nasza, opiekunów, odpowiedzialność polega na tym, że trzeba się pożegnać – mówi dr Janczura.

Widzi, że często zwierzęta są dla ludzi substytutami dzieci. Mówią o psach „synuś”, „córeczka”, albo „idź do taty”. – To pocieszne. Kiedyś jedni właściciele powiedzieli, że nie mogą mieć swoich dzieci i te zwierzęta im je zastępują. Zdarza się też, że zwierzę to jedyny przyjaciel. Niedawno na wizycie pojawiła się właścicielka, która przechodziła diagnostykę pod kątem onkologicznym związaną ze zmianami w odcinku szyjnym rdzenia kręgowego, i okazało się, że jej pies również ma zmiany w tym odcinku. Rozumieli wzajemnie swoje cierpienie – mówi.

Najdroższe zabiegi dla zwierząt? Te chirurgiczne i specjalistyczne, jak radiologia interwencyjna – czyli chirurgia małoinwazyjna wykorzystująca techniki obrazowania na przykład w kardiochirurgii.

Droga jest też ortopedia – wymiana biodra kosztuje 20 tys. zł. Zdarza się, że klienci są zmartwieni i zaskoczeni cenami badań.

– Dla nas, lekarzy weterynarii, koszty też są duże. Musimy ciągle się doszkalać i podnosić kwalifikacje, często zagranicą i za dwie-trzy miesięczne wypłaty – mówi dr Janczura.

Starsza pani wydawała w krakowskiej lecznicy po kilka tysięcy miesięcznie na leczenie kotów. Miała ich kilkanaście, dla części wynajęła mieszkanie. Do lecznicy przechodziła prawie co drugi dzień. Była zamożna, ale w końcu pomagała jej w kosztach rodzina. – Ta pani miała silną potrzebę sprawowania opieki nad kimkolwiek. Czasem leczenie zwierzęcia to kwestia potrzeb nie tylko jego, ale też człowieka – mówi dr Janczura.

Czy widzi w zwierzętach ludzi? – Mówi się, że one są jak dwuletnie dzieci, czują emocje opiekunów. Dla mnie są jak nasi drobni bracia, stworzenia, które potrzebują opieki. Ale priorytetem jest dbanie o człowieka, gdy wchodzi w grę na przykład kwe-

stie bezpieczeństwa, bo pies jest agresywny – mówi.

Relacja pewna i prosta.

Ile można wydać na operację kota, by nie budziło to sprzeciwu – naszego, wewnętrznego, lub kogoś, kto to ocenia?

Częściej ze zrozumieniem spotyka się sytuacja, że właściciel ze względów finansowych nie decyduje się na ratowanie zwierzęcia niż gdy ponosi na nie duże wydatki.

Nikt też się tak nie oburza wydatkiem dużych kwot na przedmioty, samochody czy mieszkanie. Dlaczego na zwierzę nie można ich przeznaczyć?

To przedstawiciele całkiem innego gatunku, ale projektujemy na nich ludzkie zachowania i emocjonalność. Fafik się zawstydzil, Reksio zamyślił, Mruczek jest zazdrosny, Psotka czuje się winna, a Zula to ewidentnie osobowość typu A, więc będzie zero zaskoczenia, jeśli dostanie zawału. – Lubimy je na tyle, na ile widzimy w nich coś ludzkiego – mówi Paweł Drożdżiak, psycholog.

Na takie szczególne podejście zasługują tylko wybrane zwierzęta. Inne są dla nas tylko rzeczami, stanowią pokarm nasz i naszych zwierząt. Weźmy przypadek koni kupowanych za wiele milionów na aukcjach. Można sobie wyobrazić, że ktoś się do takiego konia przywiąże, ale zwykle taki zakup to rodzaj inwestycji, podobnej do kupowania sztuki.

Raczej nie przypisujemy mu cech ludzkich, tylko uznajemy za atrybut naszego prestiżu. Koń oczywiście nic o tym nie wie, tak samo jak nic by nie wiedział o tym, że uważamy go za powiernika w świecie pełnym nieszczerých, wyrachowanych ludzi. On sam dla siebie zawsze jest koniem po prostu i widzi świat tylko po konisku, w sposób całkowicie dla nas niedostępny.

W czym jednak problem z tymi wydatkami? W tym, że trudno albo niemożliwe jest wskazać, gdzie powinna stać granica naszych projekcji. Sprzeciw wobec wydatku 100 tys. na kota to kwestia właśnie tego, że uznajemy taki wydatek za wart wydania na człowieka i nie ma w nas wewnętrznej zgody na to, by uznać zwierzę za równe własnemu gatunkowi. Duże wydatki mogą znaczyć, że ktoś nie rozróżnia zwierzęcia od człowieka.

Stąd się bierze odruch oceniania ekstrawaganckich wyborów opiekunów zwierząt. – Nieświadomie boimy się zrównania nas ze zwierzęciem i przekroczenia granicy międzygatunkowej.

A solidarność w stosunku do własnego gatunku, a nie z wilkami czy słoniami, to podstawa przeżycia – mówi.

Z drugiej strony mamy wydrukowaną potrzebę opieki nad potomstwem i opiekę kierujemy wobec obiektów, które przypominają nam dziecko i się tak zachowują.

Jednak także system ochrony zdrowia jest już tak skonstruowany, że jasno ustawia wartość życia i zdrowia ludzkiego nad zwierzęce. Oczywiście są przypadki, że leki do leczenia ludzi nie są pokrywane przez NFZ, potrzebna jest pomoc fundacji czy ze zbiórki, ale człowieka, co do zasady, leczy się do skutku. Nie mówi się, że „tej pani nie będziemy już ratować, bo by już było za drogo”. Natomiast psiego NFZ-u, nieprzypadkowo, nie ma i to opiekun zwierzęcia decyduje, ile chce wydać na leczenie i kiedy powiedzieć stop.

Przypisywanie ludzkich cech zwierzętom jest nam potrzebne i lubimy je, bo umożliwia formowanie relacji, które wyobrażamy sobie jako podobne do ludzkich, ale pozbawione związanych z nimi ryzyk. Wieloznaczości, oceny, zawiści, rywalizacja. Ze zwierzętami to relacja pewna i prosta.

Pocieszenie w niej często znajdują ludzie samotni, którzy nie dogadują się z resztą ludzkiej społeczności, mają pozrywane więzi albo z różnych względów mają trudność w zbudowaniu nowych relacji. Może się wtedy zdarzyć, że to jedyna relacja, na jaką umiemy sobie pozwolić – z obiektem uproszczonym. ●

weekendówka
106

POD ZNAKIEM KLONOWEGO LIŚCIA

Ósmy czerwca, 2008 roku, niedziela. Circuit Gilles Villeneuve, tor Formuły 1 w Montrealu, 7 wyścig sezonu. Z pole position rusza Brytyjczyk Lewis Hamilton, w McLarenie, drugi najlepszy czas podczas kwalifikacji uzyskał Robert Kubica w bolidzie BMW-Sauber, trzeci jest Kimi Raikkonen w Ferrari. Ta trójka będzie głównymi bohaterami wyścigu.

Hamilton po starcie od razu wysorował się na czoło i odjechał reszcie, ale całą przewagę stracił po tym, jak na tor wyjechał samochód bezpieczeństwa, po awarii Adriana Sutila. Czołówka postanowiła wykorzystać neutralizację wyścigu, by zjechać do boksu i tu nastąpiła druga niemila Hamiltonowi sytuacja – mechanicy jego zespołu nie spisali się tak chwacko, jak zespoły Saubera i Ferrari, i z alei serwisowej Raikkonen i Kubica wyjechali przed Brytyjczykiem.

Przed wyjazdem z alei paliło się czerwone światło, co oznaczało, że w tej chwili nie można z niej wyjechać. Polak i Fin zatrzymali się, koło w koło, Hamilton chyba światła nie dostrzegł, bo wpakował się w Raikkonena. W bolid Brytyjczyka z kolei trzasnął jeszcze Nico Rosberg w Williamsie, ale on był w stanie kontynuować zawody. Dla Hamiltona i Raikkonena był to koniec wyścigu.

Kubica, który po GP Kanady dziękował w żartach Hamiltonowi, że ten uderzył w sąsiada, a nie w niego, z miejsca stał się faworytem do triumfu. Najpoważniejszym rywalem był... jego kolega z teamu, Nick Heidfeld, ale Kubica jechał jak z nut. Najpierw wyprzedził Heidfelda (Niemiec musiał mu ustąpić na polecenie szefów zespołu, bo Polak był po prostu szybszy), a potem wypracował sobie taką przewagę, że mimo konieczności jeszcze jednej wizyty w boksie, zdołał wrócić na tor jako lider i wygrać wyścig.

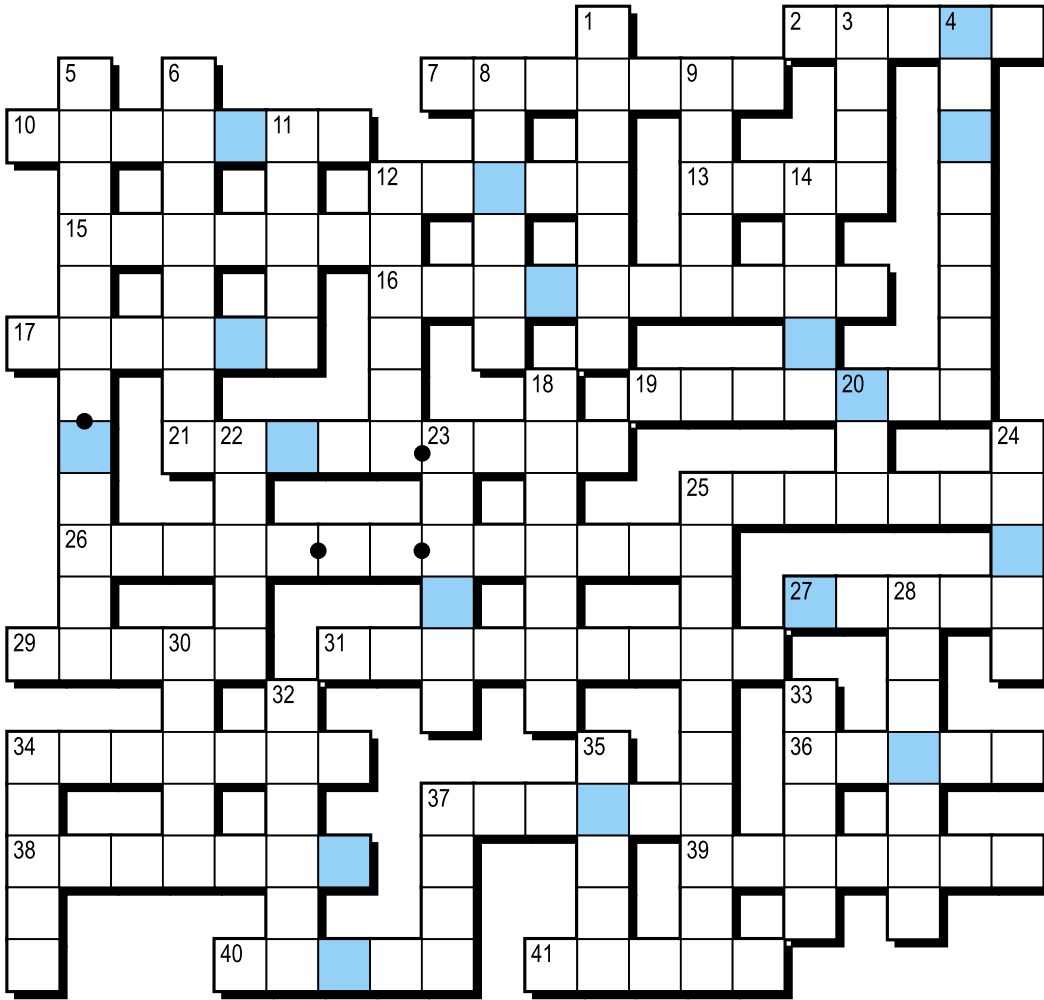
Kubica po GP Kanady objął prowadzenie w klasyfikacji generalnej. Miał 42 punkty, cztery więcej od Hamiltona i Felipe Massy, zaś BMW-Sauber, po podwójnym zwycięstwie swoich kierowców, w klasyfikacji konstruktorów ustępowało jedynie Ferrari (70 pkt. przy 73 włoskiej stajni).

Polak triumfował na torze, na którym rok wcześniej miał bardzo poważny wypadek, kiedy jego BMW-Sauber uderzyło w betonową ścianę. Wspominał po latach, że po wyścigu z gratulacjami przyszedł francuski kierowca Jean Alesi. Rzucił do Kubicy, by nie robił tak jak on, a zagadnięty, o co chodzi, wyjaśnił: Ja wygrałem tylko raz w karierze, w Kanadzie. Dodajmy, że w 1995 roku, w Ferrari.

Kubica, jak pamiętamy, więcej triumfów w F1 nie odniósł, głównie za sprawą koszmarnego wypadku podczas rajdu samochodowego Ronde di Andora w 2011 roku, który przerwał fantastycznie zapowiadającą się karierę.

Ale dziś wspominamy tamten fantastyczny występ Polaka, który dla nas stał się pretekstem do przygotowania „Weekendówki” kanadyjskiej. Będzie więc sportowo, także za sprawą narodowej dyscypliny kraju Klonowego Liścia, hokeja na lodzie.

Andrzej Kulasek
andrzej.kulasek@agora.pl



Rozwiązanie
„Weekendówki” nr 105
z 1.06:

- Poziomo:**
1) Jeżowska 7) pediatria
9) Słonimski 11) opiekunka
12) kodeks 13) elementarz
14) noc 16) znak 19) wiek 20)
Rzecznik 21) bałagan
24) Zagroda 25) ludzie
26) Alley 27) bąk 29) lalki
31) buda 32) zabawka
34) suknia 36) rodzice
37) dziewczynka 40) tatuś
41) Calineczka

- Pionowo:**
1) Jasio 2) żłobek 3) wniosek
4) maskarada 5) grono
6) zapalka 7) piosenka
8) dziatki 10) sklepik
12) kontrola 15) czekolada
16) znajduje 17) kinderbale
18) szczył 19) Wirgiliusz
22) bocian 23) rabczanin
28) Kabaret 30) Maciuś
31) brzdące 33) wydatki
35) becik 38) Cleo 39) Nika

HASŁO:
MŁODE POKOLENIE

KRZYŻÓWKA
PACHNĄCA ŻYWICĄ

Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

- Poziomo:**
2) Bryan, piosenkarz („Heaven”)
7) Kanadyjska Królewska ... Konna (RCMP)
10) Wielkie ... Niedźwiedzie, o skalistych, lesistych brzegach
12) Ryan Gosling lub Leslie Nielsen
13) drzewo kojarzące się z flagą Kanady
15) terytorium Inuitów
16) święty w nazwie rzeki przepływającej przez Montreal i Quebec
17) myśliwy z puszczy Ameryki Północnej

- 19) „Ania z ...”, powieść Lucy Maud Montgomery
21) ... Kanady w 2008 r., wyścig F1 wygrany przez Kubicę
25) Justin, premier Kanady
26) narodowy sport Kanadyjczyków
27) kanadyjski (CAD) lub amerykański (USD)
29) imię Anand, byłej kanadyjskiej minister obrony
31) najdłuższa rzeka Kanady
34) film Jamesa Camerona, z piosenką artystki z określenia 3 pionowo
36) Krzysztof, hokeista, grał m.in. w Calgary Flames
37) Nafciarze z Edmonton
38) Ben, kanadyjski biegacz, bohater afery dopingowej
39) stolica prowincji Ontario
40) ... Księcia Edwarda

- 41) polskie tłumaczenie tytułu przeboju Garou „Gitan”
Pionowo:
1) pisane przez artystę z określenia 5 pionowo
3) Céline, gwiazda popu
4) prowincja między Saskatchewan a Ontario
5) jego największy przebój to „Dance Me to the End of Love”
6) jezioro, a także stolica prowincji z określenia 4 pionowo
8) stolica Kanady
9) terytorium sąsiadujące z Alaską
11) Canadian ..., rzeka w USA
12) Margaret, pisarka („Opowieść podręcznej”)
14) „Ale wielka Kanada to ... jodłowy”, w piosence Jacka Kleyffa
18) Arkady, pisarz i podróżnik („Kanada pachnąca żywicą”)

- 20) pod kamieniami do gry w curling
22) Kolumbia, Peace lub Fraser
23) szacuje się, że w Kanadzie jest ich około milion
24) Alice, laureatka Literackiej Nagrody Nobla
25) Leylah Fernandez
28) Avril, piosenkarka („Complicated”)
30) Shania, piosenkarka („That Don't Impress Me Much”)
32) ssaki w parku narodowym w prowincji Alberta
33) ... kanadyjskie, ziemno-wodne grzyzonie
34) wielkie połacie lasów z przewagą drzew iglastych
35) Matthew, gwiazda sitcomu „Przyjaciele”
37) ... kanadyjska, rogaty ssak z obszarów górskich

Leszek Rydz

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34310976

WSPRZEDAŻY

wysokieobcasy
extra

DUŻO
DOBREGO
CZYTANIA



TEMAT NUMERU:
Wiek to tylko liczba?

EDYTA BARTOSIEWICZ: Mam 59 lat
i chciałabym żyć tak, jak mi się podoba